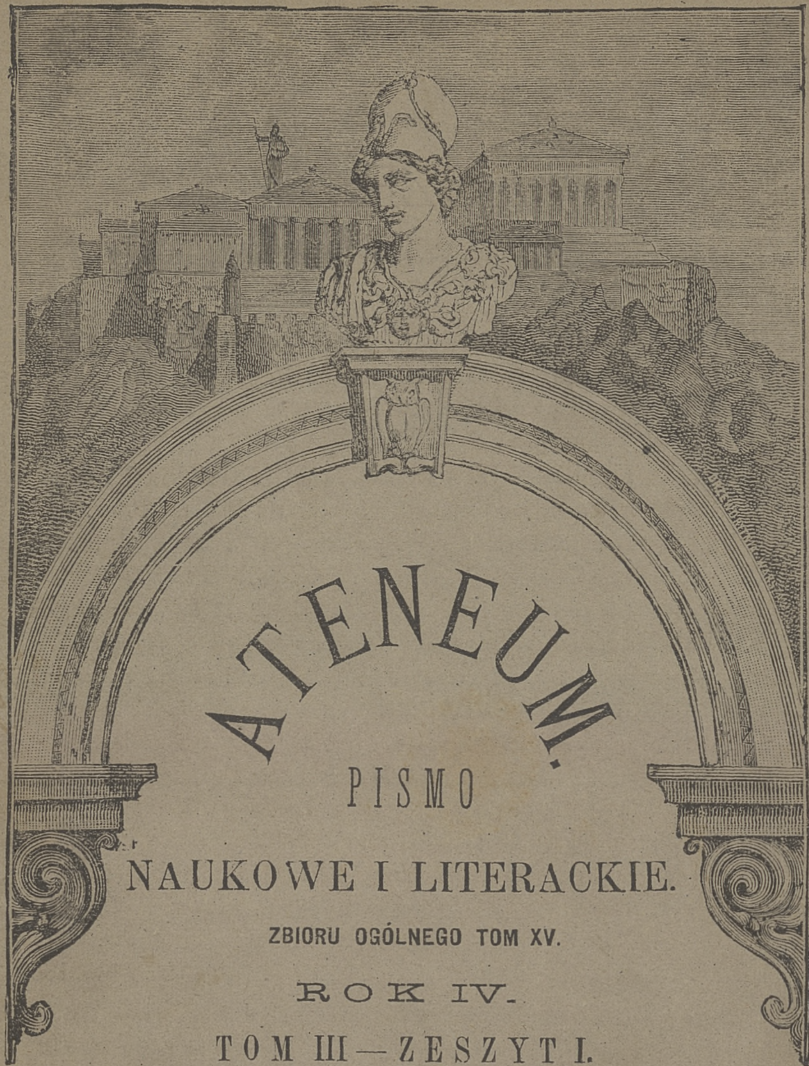


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XV.

ROK IV.

TOM III — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1879.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Lipca r. 1879.

KONIEC RADZIEJOWSKIEGO,

ROK 1704—5.

Burzliwa na przemian, niepewna swych celów i środków, wahająca się ciągle między Augustem, Karolem, niezgodna z samym sobą była w ciągu całego przebiegu wojny szwedzkiéj rola prymasa Radziejowskiego. Konsekwencyi trudnoby się w niéj dopatrzéć, nie mniéj trudno dopatrzéć się ostatecznych jego celów i dążeń, najtrudniéj zasady moralnéj i politycznéj, jaką się kieruje. Najlepiéj uprzytomni nam prawdę naszego spostrzeżenia krótka rekapitulacya szczegółów jego akcyi politycznéj od chwili zgonu króla Jana III. Przez czas bezkrólewia jest wyjątkowo konsekwentym a szczerym zwolennikiem kandydatury księcia Conti, ogłasza go królem na polu elekcyi pod Wolą dnia 27 Czerwca 1697, protestuje przeciw uzurpacyi Sasa, staje na czele rokoszu, reprezentującego opozycyą narodową, wyczekującą ciągle jeszcze przybycia francuskiego księcia, usuwa się z Warszawy do Łowicza, sadowi się tutaj jako prawowita głowa Rzeczypospolitéj przeciw obcemu intruzowi, zajmującemu po Krakowie Warszawę. Trwa owa bezkrwawa wojna prymasa, syna złowrogiéj pamięci Hieronima Radziejowskiego, przeciw uzurpacyi saskiéj aż do miesiąca Maja 1698 a kończy się polubowną ugodą, któréj pośrednikiem jest poseł brandeburski Hoverbeck; ale *jak* się kończy?

Rozpatrzmy się potroszę w *owym końcu* rokoszu, bo jest wielce charakterystycznym a obejmuje swemi szczegółami w dziwnéj zupełności wszystkie moralne i polityczne strony prymasa, bo wykazuje nie mniéj grę jego wewnętrznych namiętności, jak działalność otaczających go na zewnątrz sprężyn i czynników. W charakterze prymasa, w wewnętrznéj jego istocie, by od niéj zacząć, łączą się dziwnie

sprzeczne przymioty i wady. Jest tam duma osobista i świadomość wysokości własnego stanowiska w narodzie, coby ze strony dygnitarza wielkiego państwa z pewnością wadą nie było. Tuż przecież z ową dumą człowieka i powagą dygnitarza łączą się wręcz przeciwne im wady: fałsz, obłuda, dyssymulacya, umiejąca ugiąć owę dumę aż do niżyn podłości. Ma daléj prymas przyrodzony rozum i zdolności, ma ukształcenie, posiada języki, któremi pisząc i mówiąc poprawnie włada. Rozum ten, zdolności i ukształcenie, nie mające w odwodzie odpowiedniego zasobu charakteru, nie opłacają się téż żadnym zyskiem dla kraju. Prymas zdobędzie się od czasu do czasu na publiczny akt, naszpikowany frazesami o dobru ojczystém, o miłości Rzeczypospolitéj; *działalność* jego jednakże nie jest nigdy w stanie dotrzymać frazesowi kroku i łamie się zawsze pod wpływem najczęściéj prywaty, bądź to wywołanéj urazą osobistą, bądź, co gorsza, chciwością, zamiłowaniem zbytku i wygody. Dodajmy do tego ciekawy w swoim rodzaju, fatalny stosunek tajemniczéj i podejrzanéj natury, jaki wiąże prymasa z osobą, o któréj jeszcze będzie szerzéj mowa, a któréj zgubny wpływ staje się coraz widoczniejszym w ostatnich mianowicie latach życia i zawodu politycznego prymasa. Mówimy tu o stosunku sześćdziesięcioletniego pod koniec XVII wieku Radziejowskiego prymasa ze znaną, rozgłośną dziejowo wojewodziną łęczycką, Konstancyą z Niszczyckich Towiańską. Był to stosunek znajdujący naturalną przyczynę i upozorowanie w obec złych języków świata w dalekiém pokrewieństwie. Nie historyi rzeczą, ani, co ważniejsza, *możnością* rozwidnić tajniki owego dziwnego związku aż do ostatecznych jego szczegółów. Być może, iż to był stosunek przyzwyczajenia i zażyłości tylko, jaki się wywiązuje często między tęskniącymi mimowolnie do jakiegobądź rodzinnego i domowego ogniska celibataryuszami a najbliższém otoczeniem, stosunek z pewnością niepodejrzanéj natury, jaki np. wiązał cnotliwego ze wszech miar papieża Grzegorza XVI z rodziną szambelana jego Viglia. Jakkolwiekbądź jednakże, raziło ówczesną opinią publiczną narodową pożycie prymasa z rodziną Towiańskich. Sama Konstancya Towiańska, niewiasta naówczas czterdziestokilkoletnia co najmniéj odznaczała się pewnym zasobem energii, intryganckiéj zdolności, nieograniczonéj chciwości, wybuchającéj często gwałtowności. Wpływ owéj istnéj „*księżéj gospodyni*”, w złém znaczeniu tego wyrazu, na pana jéj i gospodarza w osobie prymasa był niesłychany. Obok niéj znajduje się najdoskonalsze zero w postaci siedmdziesięcioletniego przeszło małżonka, starego Jerzego, Towiańskiego wojewody łęczyckiego, wiernego zwolennika wszelkich ewolucyj zmieniającéj się ciągle polityki prymasowéj, wierniejszego wykonawcy wszelkich skinień, ży-

czeń i rozkazów wszechwładnéj małżonki, będącego w dodatku niby-to marszałkiem prymasowego dworu. Syn, Krzysztof Towiański podczaszy koronny, starosta międzyrzecki, nie był bez zdolności i sprytu na krój naturalnie swego czasu, bo na lepszy go nie stało, ostatecznie jednakże trzymał się także gwiazdy prymasa i lubował w stosunku, który mu przynosił w zysku urzędy, starostwa, wreszcie zaszczytny ożenek z córką w. hetmana koronnego Hieronima Lubomirskiego. Naród, dyplomacya europejska, monarchowie czy to polscy, czy to obcy, pojawiący się czy to osobiście, czy przez reprezentantów na ziemi polskiéj, znają ten stosunek i wyzyskują go szeroko według potrzeby i okoliczności. Dyplomacya i królowie, chcąc trafić do prymasa, zwracają się regularnie bądź to z komplementami, bądź ze złotemi argumentami do wojewodziny łęczyckiéj. Przeciwnicy prymasa, sam król August, chcąc się mścić, chcąc dotknąć osobę prymasa, godzą w osoby rodziny Towiańskich. Dowodem straszliwe sceny na sejmie lubelskim z roku 1703, dalszym dowodem uwięzienie starego, niedołężnego wojewody łęczyckiego przez Augusta, o czém szerzéj jeszcze będzie mowa. Dodajmy, że wojewodzina łęczycka, że cała jéj rodzina nie odstępuje nigdy, ani na krok osoby prymasa, że wszędzie, gdziekolwiek prymas się pojawi, znajduje się obok niego fatalność w postaci kobiéty, którą współczesna złośliwość narodowa darzy nazwą „*kardynałowéj*.“ Należy się jeszcze w ciągu długiego zawodu politycznego prymasa a w interesie dokładności jego czynników i sprężyn, wzmianka o przymierzu, któremu, o ile to jego chwiejne usposobienie dopuszcza, pozostaje istotnie wiernym. *Przymierze* owo wiąże go z domem brandeburskim. Prymas odbiera od piérwszego króla pruskiego listy, w których jest wiernie tytułowanym „*mon cousin*.“ Czy to w Warszawie, czy w Łowiczu, czy w Skierniewicach, czy na różnych sejmach piérwszych lat panowania Augusta II ma sobie dodaną straż brandeburską w dowód uprzejmości i pieczołowitości dworu berlińskiego. Poseł brandeburski, baron Hoverbeck, jest częstym i poufnym gościem prymasa; *politycznie* najłatwiéj trafić do prymasa przez niego. Wskróś całéj zawieruchy wojny szwedzkiéj pozostaje nienaruszonym stosunek przyjaźni między prymasem a dworem berlińskim. Radziejowski skorym uznać zakwestyonowaną ze strony Rzeczypospolitéj królewskość pruską; dom brandeburski utrzymuje z nim ciągłą korespondencyą, ma u niego osobnego reprezentanta swego w Gdańsku, niejakiego Wernera.....

Nawias ten był niezbędnym, nie tylko dla ocenienia i zrozumienia polityki prymasowéj w sprawie rokoszu łowickiego z r. 1698, ale,

co więcéj, stanowi zarazem klucz i podstawę do wyjaśnienia akcyi prymasa aż do ostatnich niemal chwil życia....

Wracając tedy do sprawy rokoszu łowickiego, kończy on się kompromisem, w którym znamienują obecność swą i udział wszelkie zwykłe moralne, polityczne i osobiste czynniki prymasowéj działalności. Pośrednikiem politycznym między królem Augustem a prymasem jest poseł brandeburski Hoverbeck; pośredniczką poufną wojewodzina łęczycka; środkiem pozyskania jéj i prymasa razem gruba gotówka i wspaniałe klejnoty....

Chciwość prymasa zadowolniona, zadowolniona równocześnie i duma dygnitarska, bo poszukiwana tak drogo i tak zabiegle sankcya jego daje dopiéro prawdziwe, prawowite namaszczenie królewskości Augustowéj. Prymas pogodzony nibyto więc z królem, ale czyż pogodzony trwale i na prawdę? W sprawie zastawu elbląskiego, w sprawie uznania królewskości pruskiéj, popiéra interes brandeburski; prawdziwym dopiéro przecież kamieniem probierczym jego wierności dla króla Augusta, charakteru jego akcyi politycznéj staje się burza wojny szwedzkiéj. Pozostanie rzeczą wątpliwą, czy zagadniony o swe zdanie *przed* ową wojną, *doradzał* jéj rozpoczęcie, jak mu to król August późniéj częstokroć wyrzucał. Prymas zaprzeczał prawdzie podobnego zarzutu, a istota rzeczy ginie tutaj między sprzecznemi twierdzeniami dwóch osobistości, nie mających w sztuce przeinaczania prawdy nic nawzajem sobie do pozazdroszczenia. Co natomiast pewna, to że prymas, który Augustowi nie mógł darować nigdy zwycięstwa odniesionego nad sobą w czasie bezkrólewia po Janie III, czeka tylko chwili i sposobności, aby króla Augusta podkopać a samemu sobie, co najmniéj, wytworzyć w Rzeczypospolitéj samodzielne, rozjemcze stanowisko. Chwili takiéj i sposobności dostarczyła właśnie owa doradzana, czy nieodradzana przez prymasa wojna szwedzka. Konszachty jego z wkraczającym do krajów Rzeczypospolitéj nieprzyjacielem króla rozpoczynają się już z rokiem 1701. Pisuje listy do Karola XII zajmującego podówczas Kurlandyą, wchodzi w stosunki z posłem szwedzkim w Warszawie, Wachslagerem, bierze jakoby w opiekę przeciw Augustowi Jakóba Sobieskiego. Podziemna ta robota prymasa przeciw Augustowi, miarkowana raz po raz uprzejmościami i korzyściami *materyalnéj* natury ze strony królewskiéj bądź to na rzecz prymasa samego, bądź na rzecz p. Towiańskiéj czy jéj syna, przeciąga się aż do wiosny roku 1702, czyli lepiéj powiedziawszy, aż do chwili zajęcia Warszawy przez Karola XII. August, wydawszy jedne wici za troje na pospolite ruszenie, cofa się do Krakowa. Najnaturalniejsze miejsce prymasa było przy jego boku.

Prymas tymczasem, odróżniając jak najwidoczniéj interes Rzeczypospolitéj a lepiéj powiedziawszy, swój własny, od interesu królewskiego, pozostaje w Łowiczu i czeka, aż go natarczywość szwedzka wyciągnie z ustronia. Moment ten nadchodzi rzeczywiście. Po pewnych korowodach przybywa prymas w początku Czerwca 1702 do Warszawy, wchodzi w porozumienie z dwoma zaprzysiężonymi wrogami króla Augusta, Rafałem Leszczyńskim, podskarbim koronnym, i Benedyktem Sapichą, podskarbim litewskim, zaprzyjaźnia się z księciem holsztyńskim szwagrem króla szwedzkiego, wyprawia dla dygnitarzy i generałów szwedzkich uczty, odbywa z samym Karolem XII konferencye, z pośród których przemawia dość przezroczyście intencya zrobienia sobie z młodego króla szwedzkiego narzędzia własnéj polityki. Plan ten nie udaje się zupełnie prymasowi; Karol idzie pod Kliszów, Radziejowski wraca do Łowicza. Po bitwie kliszowskiéj staje się prymas po cichu i potajemnie, bądź to z Łowicza, bądź z Warszawy gorliwym rzecznikiem detronizacyi Augustowéj w obozie szwedzkim, wypiérając się podobnéj intencyi publicznie. W téj właśnie porze, w zimie z roku 1702, na 3 znajduje się, po za obrębem wszelkich dążeń i zamiarów politycznych, dotkniętą drażliwie *chciwość* prymasa w nierozerwalnym związku z chciwością rodziny Towiańskich. Gniewają go inkwaterunki i porcye saskie nałożone na prymasowskie dobra, gniewa obecność żołnierza saskiego w międzyrzeckiém starostwie młodego Towiańskiego. Listy jego z téj epoki nie pozostawiają pod tym względem najmniejszéj wątpliwości, a wszystko to razem składa się z początkiem roku 1703 na początek również otwartéj akcyi prymasa przeciw Augustowi. Król zwołuje radę do Torunia, następnie do Malborga; prymas zwołuje do *swego* boku osobną radę do Warszawy. August wydaje ostry protest przeciw prymasowéj radzie, prymas ponawia swe wezwanie do Warszawy wśród uroczystych inwokacyj ojczystego dobra. Ołtarz wystawiony przeciw ołtarzowi, *altare contra altare*, by mówić oficyalną stylistyką owéj epoki; prymas nie powiada jeszcze wyraźnie, aby *jego* rada miała obrócić się wyraźnie i stanowczo *przeciw* królowi, ale stawia niewątpliwie możność ocalenia Rzeczypospolitéj pod jego własną pieczą po za obręb interesu, osoby i obecności królewskiéj. Chwilowy ów pojedynek między królem a prymasem rozstrzyga się również chwilowo na korzyść królewską. Rada prymasowska, zwoływana do Warszawy na miesiąc Luty, na miesiąc Marzec roku 1703 z kolei, pełznie z powodu zbyt szczupłego zjazdu senatorów na niczém. Rada królewska w Malborgu pociąga za sobą ważny rezultat zwołania sejmu *całéj* Rzeczypospolitéj na miesiąc Czerwiec do Lublina. Taż sama wiosna roku 1703 znamienuje charakterystyczny, jakkolwiek nie wy-

jaśniony dotąd w swych powodach zwrot polityki prymasa. Kto nań wpłynął, czy wojewodzina łęczycka, czy Hoverbeck, czy pieniądze Augustowe, czy własna ambicya, nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć. Co pewna tylko, to że miesiąc Kwiecień i Maj roku 1703 zapisują niewątpliwie fakt pewnego oziębienia stosunków między Szwedami a prymasem, kiedy przeciwnie stwierdzają oczywistość zbliżenia się jego do Augusta. W podjętych naówczas negocyacyach pokojowych między Augustem a królem szwedzkim robi się prymas wyraźnym jakoby w Warszawie opiekunem reprezentantów Augustowéj sprawy. Trzeba tylko zręczności i konsekwencyi ze strony Sasa i jego zwolenników, trzeba tylko poruszenia znanych im dobrze działających zwykle skutecznie na prymasa sprężyn, by go pozyskać, trwale może nawet, dla królewskiéj sprawy. Chciała tymczasem, dziwna fatalność, iż właśnie w saméj nieledwie chwili odniesienia na tém polu sukcessu, August zraził sobie i dotknął śmiertelnie przewrotnego, ale cokolwiekbądź wielce potrzebnego swemu interesowi dygnitarza. Prymas uwieńczył swój zwrot na rzecz królewskiéj sprawy ważném, znaczącém ustępstwem; przybył w końcu Czerwca 1703 osobiście na zwołany do Lublina przez Augusta sejm całéj Rzeczypospolitéj. Zdrowy rozsądek nakazywał z podobnéj koncesyi prymasa należycie korzystać. Król August i gorliwcy jego stronnictwa nie zdobyli się na owę dozę potrzebnéj rozwagi. Znane dobrze z dziejów sejmu lubelskiego straszliwe wybuchy namiętności przeciw prymasowi, przypominanie mu zdrady ojcowskiéj, wyrzucenie publiczne podejrzanego stosunku z Towiańskimi, zelżywe wypchnięcie samychże Towiańskich, ojca i syna, z izby obrad sejmowych, zmuszenie samegoż prymasa wśród hałaśliwego zgiełku i dobytych szabel do złożenia kłamliwéj przysięgi, jako nie knował dotąd ze Szwedami żadnych przeciw królowi Augustowi intryg. Rzecz bardzo naturalna, że mściwe, namiętne usposobienie prymasa mogło wrażenie podobnie dotkliwéj krzywdy na tymczasem pokryć, ale że zapomnieć jéj, przebaczyć z pewnością nie było zdolne. Prawda ta miała się niebawem stwierdzić....

Prymas wyjeżdża po sejmie lubelskim do Warszawy, następnie do Łowicza i rozpoczyna znów po krótkiéj przerwie dobrych stosunków z Augustem, niebezpieczne przeciw jego osobie i panowaniu roboty. Król przepędza jesień w Otwocku, w domu wielkiego marszałka koronnego Bielińskiego; następnie wyjeżdża na walną radę do Jaworowa, późniéj do Krakowa, wreszcie około Nowego Roku 1704 do Drezna. Od Września roku 1703 nie widać już prymasa ani na chwilę obok osoby królewskiéj, natomiast zagłębia się w coraz podejrzańsze stosunki z wszystkiemi, nieprzyjaznemi Augustowi

żywiołami. W Sierpniu już r. 1703 pochwycili Sasi kanonika Jasińskiego z listem prymasa do szwedzkiego generała Reuskiölda, w którym go ostrzega o gotującym się przeciw niemu zamachu wojsk Augustowych. Późniéj stają się coraz wyraźniejszemi komunikacye prymasa z obozem Karola XII, z Sobieskimi za pośrednictwem pułkownika Saurbreya, wreszcie z konfederacyą wielkopolską, która zawiązawszy się w Środzie pod wpływem szwedzkim a pod laską marszałkowską Piotra Bronisza, starosty pyzdrskiego, steruje coraz wyraźniéj ku ostatecznemu celowi detronizacyi Augusta. Zemsta prymasa za obelgę lubelską wychodzi w ten sposób coraz wybitnéj na jaw; on sam powoli, ale coraz wyraźniéj na głowę opozycyi polskiéj przeciw Augustowi, na kierownika i autora jego przygotowującéj się zwolna detronizacyi. Robota prymasa w porozumieniu ze Szwedami ku osiągnieniu tego celu postępuje wolnym, ale systematycznym biegiem.

Uniwersały prymasa wyciągają pokątną do tego czasu konfederacyą wielkopolską na widownię stolicy, powołuje jéj walny zjazd do Warszawy na dzień 14 Stycznia 1704. Pod *jego* patronatem i opieką, wśród *jego* nabożeństw i inwokacyi niebios rozpoczynają się obrady konfederacyi, mieniącéj się od chwili pobytu na bruku warszawskim generalną, ciągną przez cały miesiąc Styczeń i połowę Lutego, by po zręcznie przeprowadzonéj przez Arweda Horna intrydze, za pomocą ogłoszenia tajnéj korespondencyi hrabiny Königsmark z Karolem XII, skończyć na dniu 14 Lutego 1704 aktem detronizacyi Augusta.

Do téj chwili widzimy prymasa w dziele zemsty konsekwentnym, idącym ręka w rękę z polityką szwedzką. Po akcie detronizacyi staje się przecież Radziejowski znów niepewnym swéj akcyi i celów, a jeżeli się nie mylimy, odgrywa w tym ponownym zwrocie jego działalności ważną rolę wojewodzina łęczycka i jéj interes rodzinny. Prymas był w zgodzie ze Szwedami, dopóki chodziło o detronizacyą Augusta i dziedzictwo korony dla Jakóba Sobieskiego. Po uwięzieniu tego ostatniego pod Wrocławiem, widzimy go również, jeszcze jeśli nie zwolennikiem, to przynajmniéj nie przeciwnikiem kombinacyi szwedzkiéj, pragnącéj oddać tron polski Aleksandrowi Sobieskiemu. Od chwili stanowczéj jego odmowy przecież, od chwili wystąpienia na scenę niespodzianéj kandydatury Leszczyńskiego, widzimy rozpoczynający się między prymasem a Szwedami z początku tajemny, późniéj coraz to dostrzegalniejszy rozstrój. Posądzano prymasa przy téj sposobności o różne cele i intencye, z których przecież żaden *pewnéj* podstawy nie ma. Młody Towiański był ożeniony z córką w. hetmana koronnego Hieronima Lubomirskiego. Jest tedy

przypuszczenie, że prymas był zwolennikiem kandydatury hetmana, by następnie wakującą w ten sposób buławę oddać w ręce jego zięcia. Miał to być dlań pierwszy stopień świetniejszego może jeszcze na przyszłość zawodu....

Późniéj nieco, w Maju 1704, wchodził prymas po za plecami Szwedów i ku ich niemałemu rozdrażnieniu, w stosunki z dworem wersalskim, by sprowadzić do Polski i osadzić na jéj tronie dawnego współzawodnika Augustowego, księcia Conti. To tylko rzeczą pewną, że prymas, na ten raz już pod niewątpliwym wpływem wojewodziny łęczyckiéj, był stanowczym przeciwnikiem kandydatury Leszczyńskiego, że dwukrotnie raz za razem spowodował udaremnienie wyznaczonych terminów elekcyjnych, że w stanowczym dniu wreszcie 12 Lipca 1704, po gwałtownéj scenie z reprezentantem Karola XII Hornem, zamknął się w swym pałacu wraz z rodziną Towiańskich i nie stanął na polu pod Wolą, z którego wieczorem powrócił wybrańcem łaski szwedzkiéj młody wojewoda poznański. Kluczem do rozwiązania zagadki postępowania prymasowego w obecnym przypadku jest po prostu postawa i wola wojewodziny łęczyckiéj. Pani Towiańska nie mogła znieść myśli, aby ustąpić miejsca staréj matce Stanisława, Annie z Jabłonowskich, więcéj jeszcze korciła ją myśl oddania pierwszeństwa młodéj małżonce Stanisława Katarzynie z Opalińskich. O ile August sam umiał i zdołał wyzyskać czy to prośbami czy argumentem brzęczącéj monety lub błyszczących klejnotów podobne usposobienie wojewodziny łęczyckiéj, nie możemy stanowczo rozstrzygnąć. Tyle pewna jednakże, iż z jakichbądź powodów i pod jakiemibądź wpływami *ona* właśnie była sprawczynią neutralnéj postawy prymasa w dniu elekcyi Leszczyńskiego, aktu mimo swéj bierności właśnie ważnego, bo pozbawiającego neo-elekta wszelkiéj prawnéj podstawy w obec opinii publicznéj narodowéj. Dowody naszego twierdzenia mamy w dużo późniejszym, pełnym gwałtownéj namiętności i cierpkich wyrzutów liście wojewodziny łęczyckiéj do Augusta z dnia 13 Października 1704 z Gdańska (1). „Spodziewałam się N. Panie," mówi pani Towiańska, skarżąc się na uwięzienie swego małżonka przez Sasów, „że po tém, co wycierpiałam podczas owéj rzekoméj elekcyi, że odwróciwszy prawowitą nominacyą neo-elkkta (przez prymasa), że po wszystkich krokach, jakie pan kardynał poczynił odtąd stosownie do życzeń W. K. Mości, że po tém, co *ja sama* uczyniłam na rzecz W. K. Mości, że po tém

---

(1) Rękopism Poznański. Opus Śpileskiego. Dębno. Insignia de Sienno Sieniensciorum. Ex libris Stanislai Żbikowski.

wszystkiém, mówię, *innéj* przyjemności ze strony W. K. Mości, aniżeli ta, którą obecnie odbieram"....

List podobny zwracający się z tak śmiałą, z tak bezogródkową apostrofą do osoby królewskiéj, w połączeniu nadto z tak dziwnie popiérającemi treść jego okolicznościami nie pozwala wątpić o prawdzie swych twierdzeń. Wojewodzina łęczycka sparaliżowała tedy akcyą prymasa na rzecz nowéj elekcyi, wyświadczyła sprawie Augusta niezmierną przysługę, ubezwładniła do połowy jeden z najważniejszych aktów ówczesnéj polityki szwedzkiéj w Polsce. Karol XII, Arwed Horn, Piper, Hermelin zrozumieli też aż nazbyt dobrze doniosłość prymasowego kroku i zajęli względem Radziejowskiego wnet po elekcyi groźną, jeżeli nie wręcz wrogą postawę. Nie obwijając rzeczy w bawełnę, nie bawiąc się z nim w żadne grzeczności i uprzejmości, pogroził mu Horn pożogą dóbr i ciężkiemi inkwaterunkami, jeżeli nie uzna królewskości Stanisława i nie pośpieszy mu złożyć czołobitności. Prymas wahał się przez kilka dni, ostatecznie ustąpił, nie chcąc wystawiać na ruinę dóbr i majętności; dnia 16 Lipca 1704 poszedł oddać Leszczyńskiemu na zamek warszawski akt swego uznania. Wymuszony ten przecież na osobie jego czyn nie zmienia chwilowo w niczém ani jego usposobień politycznych, ani stanowiska prawnego nowéj królewskości. Prymas pozostaje w Warszawie wraz z Arwedem Hornem, wraz z komisarzami szwedzkimi, Wachslagerem i Palmbergiem, wraz z Leszczyńskim, Aleksandrem Sobieskim, biskupem poznańskim Święcickim, Piotrem Broniszem marszałkiem i innemi znakomitościami konfederacyi warszawskiéj, nie wiedząc chwilowo, co robić i gdzie się podziać, stając na uboczu, pogniewany z przeszłości z Augustem, w niezgodzie ze Szwedami w teraźniejszości. A przecież wykazuje jeśli która, to ta chwila właśnie wagę jego osoby i jego stanowiska wśród ówczesnego przebiegu i zawikłań polityki polskiéj, jeżeli o niéj w ogóle być mowa może. Prymas, choćby nawet *ówczesny* prymas, jest nie tylko według prawa publicznego polskiego, ale nadto wedle tradycyi, ogólnego poczucia i usposobienia narodowego wyrazem i warunkiem prawowitości polskiéj. Jest z nim istnie, jak z owemi mistyczno-symbolicznemi bożyszczami ludów starożytnego Wschodu, których posiadanie jest tytułem prawnym panowania nad niemi. Ktokolwiek, czy swój, czy choćby najezdnik jest dość zręcznym lub szczęśliwym, by wejść w posiadanie podobnego symbolu, staje się według wyroku prawa i przeznaczenia niezaprzeczalnym panem narodowych losów.....

Nie chcielibyśmy naturalnie choćby nawet opłakanéj przeszłości naszéj z pierwszych lat XVIII wieku kłaść na równi z religijno-poli-

tycznemi misteryami ludów starożytnéj Azyi, ale rzeczą niewątpliwą, że w owéj podetronizacyjnéj chwili a po nielegalnej elekcyi Stanisława Leszczyńskiego, *prymas* znów właśnie wychodzi na symboliczny wyraz restauracyi zachwianéj prawowitości polskiéj, a że w przeświadczeniu podobnéj wagi i znaczenia jego stanowiska odbywa się około jego osoby istny targ licytacyjny najróżnorodniejszych żywiołów tak polskich, jak wszelkich innych, którym Polska potrzebna. August potrzebuje prymasa, bo wié bardzo dobrze, że głos jego w razie stanowczym może poruszyć szlachecki naród, że dopóki *jego* ręka nie włoży korony na głowę neo-elekta, dzieło królewskości Leszczyńskiego nie jest dlań na prawdę niebezpieczném. Wręcz przeciwnie rozumieją tak Karol XII, jak Leszczyński, iż *bierność* choćby tylko prymasa wystarcza, by cały akt elekcyi z jednéj, detronizacyi z drugiéj strony napiętnować w obec sumienia i poczucia narodowego cechą bezsilnéj i przemijającéj tylko przeciw Sasowi *próby*. Mimo wszelkiéj niechęci tedy, jaką król szwedzki do prymasa żywi, utrzymuje z nim stosunki, nieustanną korespondencyą, naséła agentami, domaga się natarczywie bądź to na tymczasem korzystnych neo-elektowi uniwersałów, bądź koronacyi Leszczyńskiego. Nie inaczéj postępują, jak zobaczymy niżéj, dygnitarze Rzeczypospolitéj i szlachta. *Panowie*, jak to mianowicie ze strony rodziny Lubomirskich będziemy mieli sposobność się przekonać, szukają w prymasie wielce potrzebnego sprzymierzeńca; biédna *szlachta*, tęskniąca za pokojem i wypoczynkiem, wyprawia z sejmików średzkich na mocy *laudów* co chwila deputacye do prymasa, istnie jak do lekarza posiadającego specyfik na uleczenie chorób i dolegliwości Rzeczypospolitéj. Prymas wychodzi tedy tuż po elekcyi Leszczyńskiego, w czasie owego kilkotygodniowego, neutralnego, bezczynnego pobytu w Warszawie na rozjemcę losów Rzeczypospolitéj, a jeśli z pośród wszystkich żywiołów licytujących, jeśli tak wolno powiedziéć, jego osobę, jest jakibądź mający naówczas widoki pewnéj niemal wygranéj, jest nim niezawodnie król August. Znajduje się w przymierzu z wojewodziną łęczycką, ma sposobność i możność korzystania z chwilowego rozstroju między prymasem a neo-elektem i jego patronami, ma nadto porękę Rzymu i nuncyusza Vidoniego. Tymczasem, jak tutaj możemy zauważyć z góry, uzasadnimy zaś nasze twierdzenie szczegółami niżéj, grzeszy polityka Augusta względem prymasa dwulicowością i niekonsekwencyą, która psuje własny interes, która Radziejowskiego gotowego już prawie do zgody zmusza jeśli nie wręcz do przerzucenia się stanowczego w szeregi przeciwników króla, to przynajmniéj do zachowania równie prawie szkodliwéj mu neutralności. Odkładając uzasadnienie powyższego spostrzeżenia na dalszy ciąg

naszego opowiadania, zwróćmy się do osobistych kolei prymasa po elekcyi Leszczyńskiego. Znajdujemy się w drugiéj połowie Lipca 1704. Karol XII ruszył za Augustem w Sandomierskie, następnie na Ruś; August uchodzi mu wciąż bez możności doścignienia, wymyka w drugiéj połowie Sierpnia pod Sokalem ku północy, nareszcie zwraca się ku Wiśle, przeprawia przez nią pod Maciejowicami na lewy brzeg i rusza pospiesznemi marszami ku Warszawie, kiedy generał Brandt posuwa się również ku niéj prawym brzegiem Wisły.

Wobec podobnego zagrożenia stolicy, które się kończy w piérwszych dniach Września jéj szturmem i zdobyciem przez Augusta, pozostają tylko na miejscu Arwed Horn z 1.200 Szwedami, Mikołaj Święcicki biskup poznański i Gembicki starosta nakielski. Natomiast opuszczają zagrożone miasto dnia 29 Sierpnia, na wieść o pochodzie Augustowym, prymas wraz z wojewodziną łęczycką i jéj małżonkiem, z podczaszym koronnym Krzysztofem Towiańskim ich synem, Aleksandrem Sobieskim, Piotrem Broniszem marszałkiem konfederacyi, królem Stanisławem i całą jego rodziną. Nawiasowo powiedziawszy, stanowią wśród owych wypadków dziwną, upokarzającą sprzeczność z żelaznêm bohatérstwem protektora jego Karola XII słabe, nie mocniejsze od Stanisławo-Augustowych, nerwy Stanisława Leszczyńskiego. Całą owę emigracyą wyprowadziła z Warszawy w wilią niemal Augustowego szturmu eskorta kawaleryi szwedzkiéj i odstawiła szczęśliwie do Łowicza. Ztąd przebrali się Stanisław Leszczyński i Aleksander Sobieski do obozu szwedzkiego pod Lwów; cała reszta, nie wyjmując marszałka konfederacyi Bronisza, przeniosła się następnie do Prus: matka i małżonka Stanisława wraz z jednoroczną córeczką Maryą do Brunsberga, prymas zaś, rodzina Towiańskich, marszałek Bronisz do Gdańska. Nas obchodzą naturalnie w téj wędrówce specyalnie koleje *prymasa*. Przy neutralności, jaką wśród i po elekcyi Stanisława Leszczyńskiego zachowywał, nie było dlań miejsca w Polsce. W téj saméj nieledwie chwili, kiedy sznur powozów jego pod eskortą szwedzką zajeżdżał z nim, z Towiańskimi, z licznemi bagażami na podwórze zamku łowickiego, stał się pałac jego w Warszawie pastwą rabunku i mściwego zniszczenia ze strony Augustowego żołnierza. Wszystkie sprzęty i ruchomości złupiono; drzwi, okna, piece potłuczono i powyrzucano. Obejście się podobne zwycięskiego Sasa z jego własnością, nie wróżyło lepszego losu osobie (1). Karol XII był daleko, lada wycieczka Sasów czy Koza-

---

(1) Załuski, *Epistolae* tomus IV, Vratislaviae 1761, str. 371. „Palatium Primatiale et Prinicipis Radzivillii Pocillatoris Regni Residentia, Item Ducis Lubomirscii omni

ków z Warszawy mogła go zachwycić w Łowiczu, oddać jeńcom w ręce Augusta ku podzieleniu losów Sobieskich na Pleissenburgu lub Königsteinie. Zresztą nie objawiał téż prymas szczególnego pociągu do nowéj królewskości Leszczyńskiego, nie chciał bliską i łatwą dosięgalnością osoby swéj w Łowiczu lub Skierniewicach wystawiać się na niebezpieczeństwo nowych jakich nagabywań przymusów i gwałtów ze strony szwedzkiéj. Wśród podobnych okoliczności nie pozostawało nic innego, jak opuścić widownię wojny, jak przenieść się na bezpieczne jakie, neutralne terytoryum, nie rzucając krajów Rzeczypospolitéj. Schronienie takie otwiérała najnaturalniéj prymasowi starodawna, wypróbowanéj wierności dla Polski metropolia handlu baltyckiego, miasto Gdańsk. Tradycyjne to ustronie wszelkich zagrożonych czy przedtém, czy późniéj, politycznych egzystencyj polskich uśmiechało się i prymasowi widokami bezpieczeństwa, wygody, wypoczynku wraz z możnością obserwacyj polskich stosunków i powrotu na widownię, skoroby tego stosowna nastąpiła chwila. Prócz tego przemawiał jeszcze za pobytem w Gdańsku inny wzgląd prywatnéj natury. Znajdowała się w pobliżu Gdańska ekonomia tygenhoffska, będąca w posiadaniu pokutującego teraz w więzieniu Augustowem Jakóba Sobieskiego. Ekonomią tę poddzierżawił Jakób jeszcze za czasów swéj wolności wojewodzie Towiańskiemu. Pobyt w Gdańsku tedy ręczył zarazem za pożądane sąsiedztwo Towiańskich, za towarzystwo, wygodę i bezpieczeństwo nadewszystko saméjże pani wojewodziny. Kiedy więc August rozpościéra się w piérwszych dniach tryumfu po Warszawie, kiedy prymasowy pałac ulega rabunkowi, kiedy partyzanci Augustowi, czy to starosta gnieźnieński Śmigielski, czy kasztelan połaniecki Czermiński wybiérają się na podobny obłów do Łowicza lub Skierniewic, pakuje prymas manatki i rusza wraz z Towiańskimi pod eskortą szwedzkiego korpusu generała Meierfelda, w piérwszéj połowie Września r. 1704, otwartą jeszcze drogą, najprzód do Włocławka, następnie do sterczącego ruiną po przeszłoroczném oblężeniu szwedzkiém Torunia. Po kilkodniowym tutaj pobycie, ciągnie cała ta kawalkada smutnym, jakoby pogrzebowym konduktem ku Gdańskowi. W końcu Września zajechał prymas do Gdańska, zkąd już na widownię polską wrócić nie miał. Wojewoda łęczycki wraz z małżonką osiedli w pobliskim Tygenhoffie. Odtąd to tworzy się powoli około prymasa rodzaj jakoby

---

suo splendore a Cosacis et Vallachis nudata, vina, victualia et supellex direpta, fornaces et fenestrae per furorem concussae et fractae, duo filii ducis causa servitutis ad Residentiam deducti Regis.“

osobnego dworu, na którym nie zbywa na rozmaitych dyplomatycznych agentach monarchów europejskich, na którym w charakterze emisaryuszów politycznych pojawiają się co chwila różne osobistości duchowne, wojskowe, szlachta, często naturalnie bawiący w Gdańsku marszałek konfederacyi Bronisz, niekiedy sam neo-elekt Stanisław, niekiedy w przejeździe do monarchy rosyjskiego angielski dyplomata Witworth, czasem szambelan Karola XII baron Sacken, na którym zaś odtąd dopiéro właściwie rozpoczyna się około osoby prymasa ów wyścig sprzecznych z sobą wpływów i interesów, o którym mowa była wyżéj. Wydzierają sobie prymasa z kolei August i król szwedzki, kołatają doń Leszczyński i rodzina Lubomirskich, odzywa się od czasu do czasu submisyjnie szlachta trapiona wojną, zaznacza przytomność jeśli nie swéj osoby, to swego interesu król pruski Fryderyk I. Nie zbywa tedy w Gdańsku od czasu przybycia kardynała—prymasa na życiu i ruchu. Bawi tu w Oliwie poseł francuski przy Rzeczypospolitéj Opat Dieston de Bonac. Czuwa daléj nad interesem swego pana nie mniéj, jak nad osobą prymasa agent Augustowy pan Stenzel i poséła co dni kilka sprawozdania, znajdujące się do dziś dnia w aktach archiwum drezdeńskiego. Równocześnie rezyduje w Gdańsku jako węzeł komunikacyi między prymasem a dworem berlińskim p. radzca Werner, podszeptujący do ucha Radziejowskiego najczęściéj rady w sensie anti-Augustowym. Następnie zawitają do komnaty prymasowéj Kaweczyński podkomorzy chełmiński lub Czapski kasztelan elbląski jako agenci króla Stanisława; tuż po nich znów jaki p. Ludwik Górzeński, pułkownik Saurbrey lub Stanisław Poniatowski z ekspedycyą króla szwedzkiego lub Pipera, by ustąpić miejsca n. p. księdzu Jałowieckiemu przywożącemu bądź to od w. hetmana koronnego Lubomirskiego, bądź od księdza biskupa przemyskiego Bokuma nominata krakowskiego rady pogodzenia się z Augustem, lub panu miecznikowi poznańskiemu Gurowskiemu i Mikołajowi Bardzkiemu „wysłanym do prymasa dla obmyślenia środków połączenia Rzeczypospolitéj“ od zgromadzonéj w Środzie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego. Dodajmy do tego, że po tych wszystkich deputacyach, korespondencyach, konferencyach, oficyalnych recepcyach odbywa się jako ostatecznie decydująca instancya poufna narada między prymasem i wszechwładną wojewodziną łęczycką, a będziemy mieli zewnętrzny przynajmniéj obraz owych ostatnich kilkunastu miesięcy życia Radziejowskiego na bruku gdańskim. W lustracyi wspomnianych co dopiéro sprzecznych wpływów i interesów, kłócących się o lepszą na dworze prymasa, należy się piérwsze miejsce *Augustowi*. Wspomnieliśmy również wyżéj, że August miał wszelkie widoki powodzenia

u prymasa, że przy szczypcie zręczności i rozumu politycznego zwycięztwo jego na téj widowni było niemal pewném. Tymczasem z niepojętych i niezrozumiałych dla nas całkiem powodów, jest cała akcya Augustowa w stosunku do prymasa stekiem krzyczących sprzeczności i niekonsekwencyj, które ostatecznie nie mogą nie zrazić i nie odstręczyć prymasa od królewskiéj sprawy. August stara się niby to o doprowadzenie do skutku zgody z prymasem, ale równocześnie i wśród owych starań właśnie obraża jego miłość własną, jego chciwość, jego stosunki z rodziną Towiańskich.

Przypatrzmy się szczegółom téj ciekawéj roboty, istnéj tkance Penelopy, prującéj równolegle a wiernie dzisiaj to, co zrobiła wczoraj. W te tropy niemal po elekcyi Leszczyńskiego rozpoczął August za pośrednictwem podskarbiego Przebendowskiego, nuncyusza Vidoniego i wojewodziny łęczyckiéj starania około osoby prymasa, obiecując mu wynagrodzenie szkód, zachowanie wszelkich godności i majętności, byle tylko nie popiérał dzieła nowéj elekcyi, byle, przeciwnie, podał rękę *jemu* w usiłowaniach ratunku. Zgoda mimo wszystko, co się stało poprzednio, była bliską, traktat między układającemi się stronami prawie gotowy. Tak przynajmniéj zaręcza list wojewodziny łęczyckiéj do Augusta z dnia 13 Października 1704, który mieliśmy w ręku. Naturalna konsekwencya rozpoczętéj w tym kierunku akcyi wymagałaby wznosić złote mosty odwrotowi prymasa, by mu ułatwić odstępstwo od Szwedów i Stanisława, by nie doprowadzać przeciw niemu do ostateczności akcyi rozpoczętéj w Rzeczypospolitéj i w Rzymie. Cóż robi tymczasem August? Właśnie, kiedy owa zgoda bliska, kiedy Krzewski wojewoda malborski i owdowiała, bawiąca w Krakowie wojewodzina poznańska Anna z Lubomirskich Małachowska (najsprawniejsza i najenergiczniejsza, nawiasowo powiedziawszy, agentka interesu Augustowego) donoszą królowi, że układy z prymasem stoją jak najlepiéj i zapowiadają jak najkorzystniejszy obrót, skłania August radę łańcucką (z końca Lipca 1704) do uchwał ogłaszających destytucyą prymasa, odnosi się ze skargami do Rzymu, które ściągają na głowę prymasa gromy papieża Klemensa XI, zagrożenie cenzur kościelnych, wreszcie wezwanie stawienia się w przeciągu trzech miesięcy w Rzymie. Skargi te na osobę prymasa wobec Rzymu byłyby jeszcze mniéjszéj wagi, bo psując trochę krwi, stają się właściwie tylko powodem korespondencyi między Klemensem XI a prymasem, w ciągu któréj Radziejowski zręcznie i przytomnie się broni a względny dlań widocznie papież coraz to nowe terminy obecności w Rzymie mu stawia. Po *brevem* z 3 Sierpnia 1704 dochodzi Radziejowskiego dnia 10 Listopada tegoż roku, inne, późniejsze podobnéj treści. Następnie wyznacza Klemens XI pryma-

sowi nowy termin na miesiąc Kwiecień 1705, który kończy się również na niczém, by być odłożonym *ad calendas graecas* i spełznąć na niczém przez następujący wkrótce potém zgon prymasa w Październiku 1705 (1). Nim pójdziemy daléj w rozbiorze szczegółów charakteryzujących politykę Augustową względem prymasa, posłuchajmy odpowiedzi jego danéj papiéżowi na powtarzające się ciągle *brevia*. Dokument ten, nieznany zupełnie dotąd, nieznany nawet Załuskiemu w tyle zasobnym zkądinąd zbiorze urzędowych aktów do dziejów owéj epoki, rozświeca najlepiéj stanowisko prymasa nie mniéj w obec Rzymu, jak samegoż króla Augusta. Jest to akt oskarżenia, wytoczony całym rządom Augusta od początku wstąpienia jego na tron aż do chwili owéj daty, z Gdańska 17 Grudnia 1704 (2). Dokument ten obejmuje treścią swą rozmaite szczegóły, wyprzedzające dotychczasowe nasze opowiadanie. Czytelnik zechce ów nieunikniony zatarg z porządkiem chronologicznym uznać za wytłómaczony koniecznością zaznajomienia go z najważniejszą stroną polityki Augustowéj względem prymasa. „Ponieważ," mówi prymas, „odebrałem *breve* Waszéj Świętobliwości dopiéro dnia 10 Listopada, zastanawiałem się dojrzale, czy mam odpowiadać na rzecz drukowaną już we wszystkich językach a którą, co gorsza, obnoszono po ulicach Warszawy jeszcze przed przybyciem Pana Nuncyusza.

Ojcze Święty, zbliżam się do stóp tronu Waszéj Świętobliwości jako sługa Boży..., pragnę pozwolenia, bym mógł odbyć spowiedź w obec Niéj w celu uzyskania rozgrzeszenia. Ś. p. król Jan III nadał mi biskupstwo warmińskie; wkrótce potém powierzył mi pieczęć Królestwa, jakkolwiek nie ubiegałem się ani o piérwsze, ani o drugą.

Tenże sam król przedstawił mnie dwa razy do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. We dwa lata późniéj, będąc już mianowany kardynałem przez Innocentego XI z własnego jego popędu, przyjąłem arcybiskupstwo, odmówiwszy go poprzednio, by uniknąć zatargu władzy prymasowéj z kardynalską godnością.

Po śmierci wielkiego króla Jana podzieliła się Rzeczpospolita na dwoje i mianowano dwóch królów. Jeden skorzystał, dzięki bli-

---

(1) Archivum drezdeńskie Volumen. *Den Polnisch-Schwedischen Krieg betreffend*. Was der Kronschatzmeister Prebendow am Königl. Preussischen Hofe hierinnen negociiret. 1705.

(2) *Archivum kopenhagskie*. Copie de la lettre du Cardinal Primat au pape Clément XI. — Dodatek przy końcu: „Dieses Schreiben von Cardinal Primat an den Pabsten ist von Rom anhero communiciret worden und aus dem Italienischen ins Französische übersetzt."

skiemu sąsiedztwu, z odległości drugiego. Wkrótce ułożyło się wszystko za pośrednictwem p. kardynała Pauluccego. Poddawszy się wraz z mojém stronnictwem, uspokoiłem królestwo, żyłem w dobréj harmonii z królem a aż dotąd nie znaleziono nieprawości w mojéj osobie. Zimnota względem mnie rozpoczęła się, gdy po traktacie z Portą zawartym w Karłowicach odkryto szerokie i nieograniczone zamiary króla w celu ucisku wolności. Z prowincyi bowiem odleglejszych nie słyszano innych nowin prócz ucisków, rabunków, świętokradztw i bezcześci. W Warszawie natomiast nie widziano innych rzeczy prócz festynów, balów, oper i towarzystw. Najoświeceńsi przewidując, że cała ta robota zmierza do ruiny wolności, postanowili złamać jéj środki przez surową konstytucyą, zmuszającą króla do wyprowadzenia z kraju wszystkich swych wojsk obcych. Posłałem Waszej Świętobliwości owę konstytucyą w excerpcie. Wykonano przecież tylko prawo w części, ponieważ jakkolwiek król oczyścił województwa polskie z wojsk swych, wyprawił znaczną część ich na Litwę pod dwuznacznemi pozorami a za pomocą tego żołnierza rozpoczęto wojnę *via facti* przeciw młodemu królowi, zatrudnionemu w Holsztynie przeciw Duńczykom; która to wojna nie będąc pochwaloną, ani podtrzymywaną przez Rzeczpospolitą, ani przez nikogo (z Polaków), była tak zgubną dla króla i Rzeczypospolitéj, iż jako jedyny środek zapobieżenia ostatecznéj klęsce okazał się *pokój*, w celu którego zawarcia dołożyłem wszelkich starań. Miałem go już w moim ręku, gdyby mi zawistni nie byli popsuli całego dzieła, doradzając królowi zgubne kroki i najzupełniéj z głównym celem sprzeczne, kładąc mu w głowę sejm lubelski, na którym zatracono wszelką nadzieję pokoju. Król szwedzki uwziął się na przedsiewzięcie, którego żaden umysł ludzki nie był mu w stanie wyperswadować. Województwa wielkopolskie skonfederowały się naówczas, podtrzymywane przez tegoż samego króla szwedzkiego aż do wyprzysiężenia się królowi, detronizacyi i nowéj elekcyi. Można jeszcze było wtedy temu wszystkiemu zapobiedz, dla czego téż zalimitowałem zgromadzenie Warszawskie, na którém się znajdowałem za wyraźnem zezwoleniem króla przebywającego wówczas w Saksonii. Ogłoszenie detronizacyi było już bliskiém. Wrócił tedy król do Polski właśnie gdy podjęto na nowo posiedzenia zgromadzenia warszawskiego, gdzie nastąpił akt wyprzysiężenia, które jest zawsze pozwolone każdemu u nas, skoro prawa nie są zachowywane. Odroczyłem ogłoszenie pomienionego aktu przez całych siedmnaście tygodni, bez względu na największe krzyki, aby dać królowi czas do pogodzenia się z Rzecząpospolitą. Król jednakże, który liczył na pomoc wojsk obcych, pogardził tém wszystkiém, zbiérając pewną liczbę szlachty w woje-

wództwie sandomierskiém, gdzie utworzono konfederacyą przeciwną, w któréj przystąpiono do uchwał i postanowień gwałtownych: w skutek czego wielka konfederacya znalazła się zmuszoną posunąć przedsięwzięcie aż do dzieła nowéj elekcyi, które już było rozpoczęte, gdy odebrałem *breve* Waszéj Świątobliwości, drogą którego ofiarujesz swe pośrednictwo przez legata *a latere*. Zadawałem sobie z początku pracę z panem kasztelanem krakowskim i innymi panami, by znaléść sposób odroczenia i odwleczenia elekcyi, lecz ponieważ pan wojewoda poznański posunął już oddawna daleko za pomocą fakcyi i tajemnych praktyk z królem szwedzkim swe ubieganie się o koronę, nie chciało jego stronnictwo nigdy zgodzić się na odroczenie, a nie chcąc nawet przeczekać czasu oznaczonego prawami, popychało jego nominacyą z pewną gwałtownością, o czém Wasza Świątobliwość masz już relacyą. Usunąłem się z wielu innymi od działania tak wybujałego, nie chcąc się nigdy poddać natarczywym nagabywaniom i groźbom króla szwedzkiego, cierpiąc wiele, bez uczynienia przecież najmniejszego kroku ku ulegalizowaniu takiéj elekcyi i nominacyi. Odkąd król polski zbliżał się ku Warszawie, znalazłem się uwolnionym od kłopotu i wyjechałem z marszałkiem konfederacyi (Broniszem), człowiekiem statecznym i rozsądnym do Gdańska, gdzie się znajdujemy jeszcze w tem samém położeniu. Król polski dał naówczas do zrozumienia, iż pochwala moje postępowanie, przez deklaracyą uczynioną panu Nuncyuszowi, iż mi chce wynagrodzić wyrządzoną szkodę i wziąć w opiekę me dobra, lecz żartował sobie z pana Nuncyusza i ze mnie, jak to zwyczajnie czyni. Skoro bowiem przybył do Warszawy, kazał zrabować i zniszczyć moje pałace, jeden arcybiskupi, drugi—należący do mnie prywatnie. Na jego rozkaz złupione i pogwałcone kościoły i klasztory zakonników i zakonnic, zabrano z nich wszelkie depozyta; przez dwa tygodnie otwiérano groby, przebijano mury kościołów, szukając skarbów spustoszono i zniszczono moje pałace aż do niepoznania. Następnie kazał zniszczyć me wsie i miasta, nie oszczędzając mych przyjaciół i powinnych." Wspomniawszy w dalszym ciągu swego listu do papiéża o wypadku, uwięzienia wojewody łęczyckiego, który może być dopiéro przedmiotem poniższego naszego opowiadania, mówi prymas daléj: „Ojcze Święty, nie jestem aniołem, lecz człowiekiem i człowiekiem czułym na krzywdy. Znam władzę króla polskiego, jako i powagę prymasa i kardynała.

Od czasu pierwszego króla polskiego nie widziano podobnego przykładu, z wyjątkiem Bolesława, który zrobił osobę duchowną męczennikiem, nie mogąc słyszéć słowa prawdy z ust biskupa Stanisława. Wszystkie przeszłe przykrości nie mogą iść w porównanie z bar-

barzyństwem i spustoszeniami spowodowanemi przez Sasów. Dobra kościelne są zupełnie zniszczone, biedny lud doprowadzony do ostatniéj nędzy; w wielu miejscach doszło do konieczności zaprzestania służby bożéj. Ktokolwiek więc tę prawdę w obec Waszéj Świątobliwości ukrywa, czyni krzywdę Jéj chwalebnemu papiestwu. Co się mnie tyczy, jestem od czterech miesięcy w stanie obojętności, nie mogąc nic czynić, myśląc jedynie tylko o spokoju i o środkach znalezienia takowego. Nie myślano nigdy o detronizacyi, jako o rzeczy nie wykonalnéj, lecz życzono sobie naprawy, bez której król ani szczęśliwym żyć z nami nie może, ani my zadowolnionymi z niego. Mój urząd zobowiązuje mnie pomyśléć wśród podobnych okoliczności o utrzymaniu swobody, która doprowadzona już prawie do stanu ostateczności, a skoro ją stracimy, jest kościół także straconym. Ponieważ żyłem z honorem i bez nagany aż do sześćdziesięciu lat, niechciałbym pod koniec zasłużyć sobie na zarzut: „*Ruina ta nastąpiła, kiedy Ty zajmowałeś piérwsze stanowisko.*“ Jestem gotów pogodzić się z królem z całego mego serca, lecz życzyłbym sobie równocześnie zgody z Rzecząpospolitą i z prawami, co się nigdy skutecznie stać nie będzie mogło, jeźli nie przez najwyższą powagą Waszéj Świątobliwości. Błagam przedewszystkiém najuniżeniéj Waszą Świątobliwość, byś się nie pozwoliła obałamucić pochlebstwami, jakoby król polski chciał wychowywać swego syna a następcę w religii katolickiéj, lub aby monarcha rosyjski chciał przyjąć tęż samę religią; ani jedno, ani drugie nie ma żadnego prawdopodobieństwa, a gotów jestem ofiarować moję rękę, jak Scewola na spalenie, jeźli w owych obietnicach jest najmniejsza rzeczywistość. Gdyby król polski był prawdziwie katolikiem, byłby sobie w swéj stolicy saskiéj wybrał jaki kościół katolicki pomiędzy tak wielką liczbą kościołów będących w ręku Luteranów. Król angielski Jakób uczynił to pośród narodu o wiele wolniejszego i potężniejszego. Nie słyszeliśmy, aby choć jeden Sas z otoczenia dworskiego był się zrobił katolikiem, a iluż to Anglików przeszło na wiarę katolicką za przykładem swego króla! Boże daj, aby wszystko to, co tu mówię, było fałszywem! Zbliżam się do końca mojego pisania z prawdziwą informacyą, jaką mam zamiar dać W. Świątobliwości o obecnym stanie rzeczy. Król polski byłby mógł zawsze być panem nad siłami nieprzyjacielskiemi, gdyby był korzystał z dobrych rad dawanych mu, aby nie trzymał przy sobie więcéj nad trzy lub cztery tysiące żołnierza dobranego i wiernego. Z tą małą liczbą bowiem byłby mógł łatwiéj uniknąć bitwy i spotkania z królem szwedkim, który szuka jedynie tylko osoby swego królewskiego przeciwnika. Za pomocą téj sztuki byłby się zabezpieczył przeciw ogólnéj nienawiści całego narodu, natenczas tak zgnębionego leżami

zimowemi i rabunkami wojsk saskich, najtwardszych i najbrutalniejszych z pomiędzy wszystkich narodów. Oficerowie są tak nieposłuszni, iż król sam skarżył się często na nich przedemną. Za pomocą téj dobréj rady byłby sobie zjednał współczucie szlachty, a Szwedzi jakkolwiek bardzo grzeczni i udyscyplinowani byliby się mogli stać nienawistnymi narodowi z powodu swéj wielkiéj liczby. Obecnie porównywając jednych z drugimi, lud błogosławi tych a przeklina tamtych. Armia króla polskiego była w ciągu przeszłéj kampanii o wiele liczniejszą, aniżeli armia króla szwedkiego a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie miał nigdy większéj; a zresztą czemuż nie czekał nieprzyjaciela ze stałém postanowieniem stoczenia bitwy? Byłoby to lepszém, aniżeli wystawianie się na ciągłą rzeź od Warszawy aż do granicy szląskiéj, bez zastrzeżenia się nawet przeciw jéj przekroczeniu. Jedyny generał Schulenburg stawiał pewien opór, choć i ten nie byłby dość silnym, gdyby ciemna noc nie była mu przyszła w pomoc. Nie widzę, aby fortuna króla polskiego mogła dojść do lepszego stanu przez wojnę. Sasi nie chcą się bić, nie ufają Polakom, a Rosyanie są mało wprawni do wojny, Kozacy są tylko zdolni do plądrowania kraju, czém król jest tak dalece dotknięty, że uznał za rzecz stosowną odesłać resztę w rodzinne ich strony. Trzeba się starać wszelkiemi siłami o pokój do czego największą przeszkodą zobowiązanie się króla szwedzkiego utrzymania swego elekta Stanisława; trzeba zaś starać się o pokój u *niego*. Zadają sobie pracę przekonania go przez skuteczne przedstawienia, iż nienaruszalność ojczyzny powinna przeważyć przemijającą ambicyą. Wreszcie czekam w pokorze u nóg Waszéj Świątobliwości Jéj rozkazów, bez względu na mój wiek i przeciwne prawa. Zamieszki nie odpowiadają mojéj naturze; lubię pokój, którego tytuł nawet noszę; głoszę prawdę według obowiązku mego charakteru, bronię niezależności kościelnéj, uważając ją za zupełnie zgubioną przez skandaliczny przykład warszawski, który się praktykuje wszędzie po całém królestwie,—jeśli Wasza Świątobliwość nie dostarczysz nam szybkiego lekarstwa przez bullę specyalną exkomunikującą wszystkich tych, którzy podnieśli rękę na rzeczy święte. Przyczém całuję święte stopy Waszéj Świątobliwości (Podp.) *Michał Kardynał Radziejowski.*" Przytoczyliśmy umyślnie w zupełnéj prawie rozciągłości pismo prymasa, które lepiéj od wszelkich wywodów i rozumowań tłómaczy nam stanowisko jego na ustroniu gdańskiém. Prymas pogniewany, jak gorzéj być nie może, z Augustem; nie objawia jednakże dla tego sympatyi dla królewskości Leszczyńskiego. Ganiąc nie bez słuszności i prawdy akcyą wojenną Augusta, przedstawiając go jako człowieka, którego słowu i czystości zamiarów zawierzać niepodobna, występu-

je przecież mimo to wszystko w roli jakoby rozjemcy, życzącego sobie zwycięztwa byle tylko „*poprawionego*“ i rozgrzeszonego króla. Słowem, stanowisko neutralności, które zręczna polityka tak jednéj, jak drugiéj strony bezpiecznie w swoim interesie wyzyskać mogła. Jak już przecież wspomnieliśmy, była cała działalność Augustowa względem prymasa istnym szeregiem ciągłych niekonsekwencyj i przeciwieństw. Co jedna ręka, co jedna chwila zrobiła w kierunku zgody i porozumienia, psuła druga, działając w przeciwnym. Miesiące Wrzesień i Październik roku 1704, piérwsze tygodnie po zwycięztwie warszawskiém Augusta stanowią właśnie chwilę, w któréj król ten stara się mimo skarg u papiéża, najgorliwiéj o zgodę z prymasem. W tym celu zasnuwa się cała siatka najrozmaitszych robót i intryg. Wciągniona do nich nasamprzód niezbędna zawsze wojewodzina łęczycka; widać w nich nuncyusza Vidoniego, widać w drugim rzędzie posła duńskiego Jessena, widać znaną nam już bawiącą w Krakowie Annę Małachowską owdowiałą wojewodzinę poznańską, ciotkę hetmana i oboźnego Lubomirskich. Układy znajdowały się na najlepszéj drodze, jak mówi list Towiańskiéj do Augusta, rzecz zgody była bliską ukończenia, kiedy niecierpliwy, nie obliczający się z następstwami swego działania król wykonał, znów istnie po swojemu, zamach, którego celu i przyczyn naprożnobyśmy się doszukiwali, zwłaszcza, że przedmiotem jego na ten raz była osobistość nie zasługująca doprawdy na zaszczyt podobnego przedsięwzięcia. Był nią „*marszałek dworu*“ (1) prymasowego, siedmdziesięcioletni przeszło małżonek wojewodziny łęczyckiéj. Co właściwie tego rodzaju osobistość Augustowi zawinić mogła i dla czego się jéj czepiał, pozostanie dla nas nierozwikłaną zagadką.

W opozycyi przeciw królowi bierną nader wojewoda łęczycki odgrywał rolę; robił, co mu prymas i małżonka kazali, pozostał spokojnie w domu w dniu elekcyi Leszczyńskiego, wyjechał z Warszawy wraz z żoną i prymasem na kilka dni przed wzięciem stolicy przez Augusta. Przebywając w Tygenhoffie nie mieszał się do niczego; prymas sam nazywa go dość lekceważąco „*hominem magis ruralem, quam curialem.*“ Niepojętą tedy pozostanie rzeczą, co właściwie mogło skusić Augusta do zamachu na niedołężnego wojewodę. Stało się tak jednakże. W piérwszych dniach Października (1704) w nocy z pewnéj soboty na pewną niedzielę pojawił się nagle oddział jazdy saskiéj pod dworem tygenhoffskim, splądrował przedewszystkiém stajnie, obory i stodoły, pozabiérał wszystkie cugi i powozy prymaso-

(1) Powyższy list prymasa do papiéża: „ou (w Tygenhoffie) il a fait tirer du lit par force le palatin de Lencicie mon *maréchal et* allié.“

we, poczém Sasi wpadli do samegoż dworu. Porwanemu z łóżka staremu Towiańskiemu nie pozwolili nawet korzystać z kolasy. Zabrawszy jeszcze w dodatku wszystkie kufry, pieniądze, wszelkie kosztowności, wsadzili więźnia na konia i uprowadzili w szybkim pochodzie wskróś posuwających się właśnie z Warszawy ku Poznaniowi oddziałów armii szwedzkiéj, na Stryków, następnie Szląsk i Wrocław do Saksonnii, gdzie go wraz z biskupem poznańskim Święcickim osadzono w mieście Budyszynie. „Król Imci szwedski," pisze prymas, (1) „dnia 2 Novembris przejeżdżał Dmoszyn X. X. Misyonarzy łowickich fundacyi mojéj; W. K. Mość (Leszczyński) nazajutrz z Królewiczem J. Mcią (Aleksandrem Sobieskim), a P. Wojewodę Łęczyckiego na Stryków o dwie mile ztamtąd wieziono. Był czas uwolnić go jeszcze z Wrocławia." Wypadek ten, dość drobny sam przez się, nie pozostał przecież bez ważnych następstw, przedewszystkiém zaś stał się hasłem zerwania toczących się między Augustem a prymasem negocyacyj pokojowych, nie dość daléj na tém, ciągłą przeszkodą zawiązujących się znów późniéj między nimi układów. Najlepszą miarą alarmu, jaki wypadek ten rzucił na dwór prymasowy w Gdańsku, jest wzmiankowany już wyżéj list francuski wojewodziny łęczyckiéj do Augusta z dnia 13 Października 1704 (2). Wspomniawszy o usiłowaniach nuncyusza Vidoniego i podskarbiego koronnego Przebendowskiego około doprowadzenia do skutku zgody, ciągnie wojewodzina daléj.

„Ten sam los, który dzisiaj łączy województwa Małéj Polski, łączy i nas z królem szwedzkim a W. K. Mość nie znajdzie ani jednéj duszy w Polsce z wyjątkiem żebraków i nędzników nie omieszkujących dworować W. K. Mości,—któraby chciała tracić majątek i przychodzić do nędzy przez chęć przypodobania się bądź to W. K. Mości, bądź królowi szwedzkiemu, bądź neo-elektowi"...

Na domiar złego, kazał czy przynajmniéj pozwolił August zniszczyć prymasowe dobra Skierniewice, Nieborow, Łowicz. Mało zaszczytnego zadania tego podjął się „ze swymi łotrami," według własnego wyrażenia prymasowego, partyzant Augustowy Felicyan Czermiński kasztelan połaniecki, kiedy równocześnie Sasi pustoszyli dobra Racatskie w Poznańskiém bawiącego przy prymasowym boku marszałka konfederacyi Bronisza. Z jednéj strony obraza doznana przez uwięzienie wojewody łęczyckiego, z drugiéj szkoda poniesiona na majątku powtarzają się ciągle jako podstawny akord zawiązu-

---

(1) Rękopism Poznański. List prymasa z Gdańska do Leszczyńskiego dnia 22 Listopada 1704.

(2) Tamże.

jących się ciągle za najrozmaitszemi pośrednictwami negocyacyj między prymasem a Augustem. Najlepszym dowodem, jakim w nich skopułem była osoba uwięzionego wojewody łęczyckiego jest zachowana nam w całości korespondencya podskarbiego Przebendowskiego z misyi jego berlińskiéj. Podskarbi, jeden z głównych powierników i reprezentantów królewskich w obec osoby prymasa, uważa za istną *conditio sine qua non* pokoju wolność wojewody łęczyckiego i upomina się o nią w każdym niemal liście z Berlina od Listopada 1704 do Maja 1705. August pozostaje w obec tych instancyj głuchym, aż w Maju dopiéro roku 1705 przyrzeka Przebendowskiemu, iż odtąd będzie trzymał wojewodę łęczyckiego w przyzwoitym i wolnym areszcie. Nie inaczéj występują jako szkopuł przygotowującéj się zgody spustoszone dobra i majętności prymasowe.

(C. d. n.)

Najznakomitsi komedyopisarze hiszpańscy.

I.

LOPE DE VEGA

Studyum literackie.

(*Ciąg dalszy*).

Przyjrzyjmy się teraz dramatowi, zatytułowanemu *La estrella de Sevilla*.

Mieszkanka Sewilli Estrella, dzięki nadzwyczajnéj piękności *gwiazdą sewilską* zwana, posiada jedynego opiekuna w bracie Busto Tabera i jest narzeczoną Sancheza Ortiz de las Roelas. Król Sanchez, którego potomność dla gwałtownego charakteru nazwała *dzielnym*, w chwili przybycia do stolicy Audaluzyi spostrzegł Estrellę i zawrzał ku niéj namiętnym ogniem. Ponieważ Tabera strzegł silnie honoru swéj cnotliwéj siostry; przeto król, z namowy faworyta Ariasa, probuje uśpić jego czujność za pomocą łask swych i godności.

— Przestaniesz być nadal Taberą — rzekł król, wezwawszy młodzieńca, a będziesz odtąd jenerałem d'Archidon, który ma pełnić rozkazy moje na granicy.

— Ja, królu?... Oddałżem krajowi jakie usługi wojenne — pyta Busto.

— Wiem o tém, że jesteś zdolny bronić mego państwa w czasie pokoju.

— Lecz cóżem zrobił dla ciebie, panie, tu w Sewilli? W czasie wojny byłem prostym żołnierzem, w czasie pokoju *regidorem* (1)?... Niechaj starsi i bardziéj zasłużeni zajmą to stanowisko.

— Zgoda — rzekł Sanchez, a ponieważ jesteś tak szlachetny będziesz odtąd pełnił obowiązki przy moim boku i zamieszkasz, w pałacu.

---

(1) Oficerem milicyi miejskiéj.

Takie łaski musiały naturalnie obudzić podejrzenie Tabery, który też czémprędzéj ostrzega siostrę i jéj narzeczonego o grożącém niebezpieczeństwie. Pragnąc rozmowy z Estrellą, król, pod pozorem zwiedzania miasta, staje niespodzianie przed domem Tabery, któremu oświadcza, że przy téj sposobności chciałby zwiedzić jego mieszkanie.

— Dom mój — rzekł Busto — odpowiedni dla mnie, zaszczupły jest dla króla; za ciasnoby mu w nim było.

— Ależ mój Busto, ja do ciebie przychodzę.

— Umiém odczuć cały ogrom téj łaski i dla tego właśnie nie mogę dopuścić jéj spełnienia. Będzie to stokroć naturalniéj, jeśli ja pójdę złożyć królowi cześć w Alkazarze, boć często łaska zniewagą się staje, zwłaszcza jeśli wyradza podejrzenie.

— A to jakie?

— Powiedzianoby, królu, żeś przyszedł do mojéj siostry, a toby zaszkodziło jéj sławie. Honor jest podobny kryształowi, kala go jeden oddech.

Zawiedzionemu w oczekiwaniach królowi przyrzeka Arias załatwić szybko tę sprawę inną drogą. Jakoż, znalazłszy sposobność pomówienia z Estrellą, oświadcza jéj miłość króla, pragnącego rzucić pod stopy *gwiazdy sewilskiéj* wszystkie skarby Kastylii, dać jéj bogatego męża i obsypać łaskami Taberę.

— Co odpowiesz na to, Estrello? — rzeknie Arias.

— Patrz — odpowiada dziewica, obracając się do kusiciela plecami — na twoje bezwstydne poselstwo jedyną odpowiedzią jest... pogarda!...

— Szlachetna para — rzekł Aryjas, po wyjściu obrażonéj dziewicy; siostra godna braciszka; wielkość rzymska zmartwychwstaje w Sewilli wraz z niemi. Nie zrażajmy się jednak...

Nie dając tedy za wygraną, Arias przekupuje Matyldę, Estrelli niewolnicę, która obiecuje wprowadzić króla w nocy do sypialni swéj pani.

— O któréj godzinie kładzie się spać Tabera?...

— O świcie.

— O któréj król ma przyjść tu?...

— O jedénastéj, Estrella będzie już w łóżku.

Radością króla z negocyacyi Ariasa kończy się akt I.

O naznaczonéj godzinie król został wpuszczony do mieszkania Tabery, ale na szczęście, ten ostatni, wbrew zwyczajowi, powrócił do domu w chwili, gdy Sanchez był już w sali. Busto wchodząc woła:

Busto. Matyldo!...

Matylda. Nieba!... uciekam...

Król. Nie lękaj się!...
Busto. Kto tam idzie?!...
Król. Człowiek!...
Busto. Tu?... i w téj godzinie?...
Twe nazwisko?...
Król. Precz!...
Busto. Niegrzecznyś!...
Po ostrzu méj szpady wyjdziesz!...
Król. Precz ze szpadą!...
Busto. Gdy mieszkanie
Mojéj siostry znieważone!...
Ktoś jest?... prędzéj!... mów bo zginiesz!...
Król. Puść mię!...
Busto. Ja tu rozkazuję.
Król. Puść, powtarzam—jestem szlachcic!...
Czci twéj nigdy poniewierać
Nie myślałem, chcę ją zwiększyć!..
Busto. W dziwny sposób!...
Król. To rzecz moja!...
Busto. Miecz nas porachować musi!...
O honorze mówiąc, twarz swą
Po źrenice w płaszczu kryjesz?!...
Gdy kto kogo uczcić pragnie,
Zniewagi mu nie wyrządza!...
Za miecz chwytaj, bo przysięgam
Zginiesz!...
Król. Stój!... bo król przed tobą!...
Busto. Kłamstwo, królby mię nie zhańbił!...
Sam... bez świty... fałsz nikczemny!...
Obrażasz króla, nędzniku
Przypisując mu czyn podły!...
Król poddanych nie znieważa!...
Tém powiększasz wściekłość moję
Zginiesz!... w obec krzywdy króla
Jam gotów zapomnieć własną!...
Czy ty nie wiesz, jaką karę
Prawa boskie i światowe
Przeznaczają dla każdego,
Kto o podły czyn monarchę
Śmié posądzać!...
Król. (n. s.) To zniewaga!...
Jestem król.. powtarzam jeszcze!...

Busto. Nie wierzę!... Tu z postępkami
Imię króla jest niezgodne...
Wszak honoru król jest źródłem
A ty pragniesz méj niesławy!...

Dawszy królowi dostateczną naukę, Busto nie miał zamiaru posuwać się daléj, po chwili więc taką mu daje odprawę:

Wychodź ztąd ktokolwiek jesteś
I nie waż się mienić królem,
Gdy postępki twe nikczemne!...

Oburzony tym policzkiem Sanchez dobywa szpady i rozpoczyna walkę, którą przerywa wbiegająca z pochodniami służba. Aby nie być poznanym, król ucieka. Busto, zapewniwszy się, że Estrella nic nie wiedziała o zamiarze króla, przedewszystkiém pod oknami jego pałacu zabił przedajną niewolnicę „żeby poznano, iż nie brak Brutusów dla ukarania Tarkwiniuszów,“ a następnie postanowił przyspieszyć ślub siostry, któréj radość w skutek tego nie miała granic. Ale gniew króla pragnie zemsty: „musi zginąć,“ rzekł Arias, dowiedziawszy się o rezultacie niefortunnéj wycieczki. Jednakże przyczyna śmierci Tabery musi pozostać tajemnicą; trzeba ją upozorować. W tym celu Arias sprowadza Sancheza de Ortiz de las Roelas, którego związek z Estrellą był w tajemnicy i przedstawia go królowi jako człowieka niesłychanéj odwagi i bezgranicznie przywiązanego do tronu. W chwili właśnie, kiedy Busto, gotów dobrowolnie kraj opuścić, pisze do Ortiza, w przedmiocie przyspieszenia jego ślubu, Sanchez staje przed królem.

— Interes mój wymaga śmierci człowieka; śmierć ta ma zostać tajemnicą. Ciebiem wybrał do téj misyi — rzekł król.

— Czy jest przestępcą?...

— Tak!...

— Więc pocóż tu tajemnica?... Zresztą, jeśli przewinienie jego nie wielkie, przebacz mu królu.

— Nie bronić go masz, lecz zabić!... Jak sądzisz, czy powinien umrzéć człowiek, który przeciw swemu królowi miecz podniósł?...

— Na stosie!...

— A więc ów człowiek dopuścił się téj zbrodni.

— Ja sam, królu, żądam teraz jego śmierci; zginie, choćby był moim bratem.

Król. Spotkawszy go gdzie w ustroniu
Możesz zabić.
Ortiz. Wielki królu,
Mnie Roelę i żołnierza
Zdrajcą dziś uczynić pragniesz?...

Jaż mam zabić bezbronnego?...
Pierś o pierś chcę stoczyć walkę
Czy na placu, czy w ulicy;
Niech Sevilla świadkiem będzie!...
Kto bez walki w piersi uderza,
Nigdy hańby swéj nie zmaże...
Mówisz, panie, że jest winny:
Więc zabiję go jak rycerz,
Ale nie morderczą dłonią!...

— Dzialaj, jak chcesz — rzekł król, dając Ortizowi dokument, który miał go od wszelkiéj odpowiedzialności uwolnić.

— To zbyteczne — odparł Roela niszcząc papiér. Słowo króla wystarcza.

— Jakiéj żądasz za to poświęcenie nagrody?...

— Nic, prócz ręki téj, którą kocham.

— Zgoda — rzekł Sanchez, podając Ortizowi papiér, w którym się nazwisko przestępcy zawiérało.

Wyszedłszy na ulicę, Ortiz spotkał posłańca Estrelli, która w liście pełnym głębokiego uczucia zawiadamia kochanka o bliskiém połączeniu i prosi, aby jak najprędzéj przybywał. Uszczęśliwiony młodzieniec odprawia posłańca z wiadomością rychłego przyjścia, sam zaś otwiéra papiér królewski, z którego dowiaduje się osłupiały, że ma zginąć z jego ręki... Busto Tabera!... W piersiach Ortiza toczy się straszna walka; nie wierząc własnym oczom, przebiega po raz drugi fatalne pismo i woła:

Jam zgubiony!...... Cóż uczynić!.....
Wszak królowi dałem słowo!......
Jestem szlachcic!...... Mamże teraz
O Estrelli już zapomniéć!......
Nigdy!... Busto żyj!... On rękę
Przeciw swemu wzniósł królowi
I żyć będzie?...... Busto zginie!......
Co za męki nieskończone
Sprawia mi to imię Busto!...
Jeśli pójdę za uczuciem,
Skalam honor swój na zawsze!...
Lecz jestże kto, coby umiał
Serca oprzéć się potędze!...
Na wygnanie pójdę... zginę...
By on nie padł z mojéj ręki!...
Jeśli król go zgubić pragnie
Dla Estrelli?... On by przez nią

Miał umiérać!... Niechaj żyje!...
Lecz król fałszem się nie kala......
Nie!... Wybrańcem on jest Boga!...
O tak!... Busto umrzéć musi!...
Prawo zgwałcić mię nie może......
Miłość moja gniew łagodzi.........
Ma król słuszność?... Nie wiem... ale......
Posłuszeństwo dlań jest prawem!......
Jeśli winny.... Bóg go skarze!......
Ubóstwiana przebacz, *Gwiazdo!*...
Dla mnie większéj kary nie ma
Nad tę, że cię stracić muszę!........

Kiedy tak Ortiz pasuje się sam z sobą, spotyka właśnie Taberę i zmuszonemu do walki przyjacielowi pierś przeszywa. Padając, woła Busto:

Busto. Stój!. śmiertelną mam już ranę.
Ortiz. Com uczynił nieszczęśliwy!.... .
Busto. Żegnaj, bracie, po méj śmierci
Opiekunem bądź Estrelli!...

Obłąkany prawie Ortiz mówi do zbliżającego się oficera:

Jestem Kain!.. patrz jam Abla
Niewinnego zamordował.
Tam trup!.. Zabij mię natychmiast!...

Gdy się to dzieje, Estrella, uzupełniając przed zwierciadłem strój ślubny, słucha z rozkoszą sprawozdania sługi, który zwiastuje swéj pani rychłe przyjście kochanka. Piękna ta scena stanowi niezmiernie dramatyczny kontrast z przedstawionemi wyżéj wypadkami. Nagle oczom dziewicy ukazuje się straszny widok... Służba policyjna wnosi do pokoju martwe ciało: to krwią zbryzgany trup brata!... Skamieniałą na ten widok dziewicę urzędnik pociesza temi słowy:

Mordercę twojego brata
Sprawiedliwość już dosięgła!..
Estrella. Któż nim jest?...
Gusman. Don Sancho Ortiz!...
Estrella. Czy myśl moja obłąkana!...
Busto martwy!... Sancho Ortiz
Jest mordercą mego brata!...
Sanchez!... Boże!... to za wiele
Zgryzot dla jednego serca!...
Sancho Ortiz!... Jeżli moja
Pierś nie pęknie, jest... kamieniem!...

Na téj scenie kończy się akt drugi.

Don Sanchez, badany w więzieniu przez sędziów, nie chce wyznać przyczyn, które go do pojedynku z Taberą skłoniły. Zniszczywszy dokument, któryby stanął w jego obronie, spodziéwał się, że król sam go uniewinnić nie zaniedba. Milczał tedy uparcie. Estrella tymczasem staje przed królem, błagając sprawiedliwości: „Straciłam brata i małżonka, jestem sierotą na świecie, oddaj mi królu mordercę, chcę być sama jego sędzią. Król daje proszącéj pierścień, mający roztworzyć więzienie jéj kochanka, do którego wchodzi Estrella, gęstym woalem okryta.

Estrella. Wolny jesteś, wychodź z Bogiem...
Czemu stoisz?... Nie trać czasu.
Sługa odda ci rumaka
I w piéniądze zaopatrzy...
Ortiz. Pozwól nogi ucałować.
Estrella. Czas ucieka... Jedź!...
Ortiz. Wprzód muszę
Zbawcy swego wiedziéć imię.
Estrella. Jam kobiéta, która tobie
Jest oddana. Wychodź spiesznie!...
Ortiz. Ja nie wyjdę ztąd, jeżeli
Twarzy swojéj nie odkryjesz.
Estrella. (odsłaniając się) Patrz!... jeżeli to cię skłoni!..
Ortiz. Przebóg... gwiazda mojéj duszy!...
Estrella. Miłość zemstę zwyciężyła!...
Kocham cię, więc pragnę wiecznie
Być dla ciebie szczęścia gwiazdą!...
Ortiz. Ha!... więc łaski promieniami
Obsypujesz swego wroga!...
Zkądże litość ta nademną?...
Chceszże wolność dać mordercy
Twego brata?... Gdy on zginął,
Jam żyć dłużéj nie powinien.
Estrella. Miłość moja potężniejsza.
Pragnę życie twe ocalić!...
Ortiz. A ja umrzéć tylko pragnę.
Estrella. Czemu?...
Ortiz. Aby ciebie pomścić!...
Estrella. Za co?...
Ortiz. Nie wiesz?... Za mą zdradę...
Estrella. Tyś okrutny!...
Ortiz. Sprawiedliwy!...
Estrella. Karzesz mię...

Ortiz. Ubóstwiam tylko...
Estrella. Czém dowiedziesz?...
Ortiz. Moją śmiercią!...
Estrella. To zniewaga!...
Ortiz. Krzywdziłbym cię
Żyjąc dłużéj!...
Estrella. Jeszcze słowo!...
Ortiz. Dość?...
Estrella. Gdzie dążysz?... powiédz!...
Ortiz. Na śmierć!...
Estrella. Żyj swobodny!...
Ortiz. Jakiém prawem?!...
Estrella. Któż obwinia Cię?...
Ortiz. Twa wzgarda!...
Estrella. Kocham cię!...
Ortiz. Pierś moja głazem!...
Estrella. O czém myślisz?...
Ortiz. O honorze!...
Estrella. Idź szaleńcze i umiéraj!...
Ja twéj śmierci nie przeżyję!...

W miarę jak się zbliżał dzień sądu, niespokojność króla wzrastała. Z jednéj strony nie chciał wyjawić przyczyny śmierci Busta, z drugiéj znów wstydził się swego czynu i pragnął więźnia ocalić. Przywoławszy tedy każdego z sędziów osobno dał im poznać wyraźnie, że banicya byłaby dostateczną karą dla Ortiza. Sędziowie przyrzekli osądzić sprawę w tym duchu i... ogłosili wkrótce obwinionemu... wyrok śmierci!. Sprowadzono wreszcie skazanego do pałacu, gdzie odegrała się ostatnia wspaniała scena dramatu.

Sędzia. Sancho Ortiz!...
Ortiz. Wielki panie
Połóż koniec méj niedoli!...
Busto z mojéj ręki zginął
Niech krwią — jego krew się zmaże!...
Król. Kto ci kazał zabić Busta?...
Ortiz. Papiér.
Król. Z jakim był podpisem?...
Ortiz. Gdybyż papiér mógł sam mówić!?...
Potargany, milczéć musi!...
Ja wiem tylko, żem człowieka
Najdroższego mi na świecie
Zamordował. Patrz!... Estrella
Żądać śmierci méj przychodzi!...

Król. Rękę twoję dam, Estrello,
Jednemu z najpiérwszych panów,
Ale w zamian chcę od Ciebie
Łaski twéj i przebaczenia.
Ortiz. Więc dla tego mi przebaczasz
Że król za mąż cię wydaje?...
Estrella. Tak, dla tego.
Ortiz. Czyż ta zemsta
Starczy tobie?...
Estrella. Najzupełniéj!...
Ortiz. Gdy się chęci twe spełniają
Biorę życie — choć ze wstrętem.
Król. Wychodź z Bogiem!...
Sędzia. Jak to królu!...
To zniewaga dla Sewilli!...
Musi umrzéć!...
Król. Król wasz chyba,
Bom ja skazał Busta na śmierć!...
Ortiz. Mój honor już ocalony!...
Walczyłem z rozkazu króla.
Król. Prawdę rzekł...
Sędzia. I to wystarcza.
Król. Cześć dla cnót dzielnego miasta!...
Ortiz. Na wygnanie, królu, pójdę
Gdy spełnisz swą obietnicę.
Król. Mów!...
Ortiz. Przyrzekłeś mi o panie
Rękę téj, którą zażądam.
Król. Prawda...
Ortiz. U nóg twych, monarcho,
O Estrelli błagam rękę.
Estrella. Jam zamężna.
Ortiz. Ty?...
Estrella. Tak, panie!...
Król. Ja słowa dotrzymać muszę.
Estrella. Niech się stanie twoja wola,
Jestem twoją!
Ortiz. Jam twój, droga.
Król. Czegóż braknie?...
Ortiz. Dusz złączenia.
Estrella. Tak—małżeństwa!... A to nigdy
Nie nastąpi!...

Ortiz. Wracam słowo.
Estrella. Ja nawzajem. Przy swym boku
Mieć wiecznie mordercę brata
Ciężki żywot.
Ortiz. Dla mnie również
Ciągły widok siostry tego,
Który, mając miłość moję
Najniewinniéj padł z méj ręki,
Byłby... ach!....
Estrella. Jesteśmy wolni!...
Ortiz. Wolni?...
Estrella. Żegnaj!...
Ortiz. Bądź mi zdrowa!...
Król. Chwilkę.....
Estrella. Najjaśniejszy panie!...
Ten, kto mego zabił brata
Nigdy mężem mym nie będzie.
Chociaż kocham go nad siły (oddala się płacząc).
Ortiz. Kochając — muszę nieszczęsny
Wyrzec się jéj!... słuszna kara!... (wychodzi).
Król. Wielkie dusze!...
Arias. Co za stałość!...
Sędzia. Takich ludzi ma Sewilla...
Clarindo. Usłyszeliście tragedyą
Którą Lope wam poświęcił
I Sewilskiéj odtąd *gwiazdy*
Nigdy pamięć nie zaginie!...

Zbyteczném byłoby, sądzę, wykazywać piękności tego prześlicznego dramatu, same one rzucają się w oczy. Zrobimy tu tylko parę uwag.

Główny motyw téj sztuki — walka miłości z honorem i obowiązkiem — przypomina Cyda, ależ co za różnica!... Ze stanowiska prawdy życiowéj i etyki, *Gwiazda sewilska* stoi nieskończenie wyżéj od Cyda, którego bohatérka nie dorasta Estrelli. Ksymena, dowiedziawszy się o śmierci ojca, dużo mówi o swéj zemście, teatralnie boleść swoję opisuje i żąda śmierci Rodryga, ale jednocześnie ani na chwilę nie traci nadziei, że wszystko się skończy pomyślnie i w rezultacie oddaje rękę człowiekowi, który jéj ojca zamordował. Estrella przeciwnie, kochając Sancheza i wierząc w jego miłość, aż nadto czuje, że własną ręką zburzyć gmach swego szczęścia, jest to więcéj niż umrzéć; śmierć bywa wtedy dobrodziejstwem. To też ona ogromu cierpień swoich deklamacyą nie poniża, dzikiéj zemsty nie żąda,

uczucia nawet swego dla mordercy brata nie tai i, mogąc dać wolny bieg sprawiedliwości, Sancheza od śmierci uwalnia; ale téż przy całéj, naturalnéj zresztą względności dla kochanka, nie zostawia najmniejszego choćby podejrzenia w umyśle widzów, że kiedykolwiek żoną jego zostanie. Pod wpływem najczystszéj miłości swego serca musiała być na wskróś kobiétą, ale w obec pamięci brata umié być stanowcza i niewzruszona. Ztąd pochodzi, że przy wielkiéj sympatyi dla bohatérów „Cyda,“ po przeczytaniu sztuki czujemy niesmak, gdyż autor całą nawet kunsztownością dramatycznego artyzmu nie ujarzmił naszych zasad moralnych, które protestują silnie przeciwko połączeniu istot, krwawém widmem ojca rozdzielonych. Tam, przeciwnie, abnegacya Estrelli, pełna bohatérstwa i gołębiéj niemal słodyczy, budzi w nas najwyższe uwielbienie, jakkolwiek to bohatérstwo dziewicy, niezmierne względnie do potęgi jéj uczuć dla kochanka, nie przekracza jednak granic zwykłego obowiązku i wydaje się owszem najnaturalniejsze w świecie w obec prawdy psychicznéj i niezbłaganych praw ludzkości. Współczując z Estrellą głęboko i podziwiając jéj męztwo, przyznać zawsze musimy, że inaczéj zrobić nie mogła. A przecież tam chodziło o *ojca*—tu o *brata*—gruba różnica!...

Zaznaczymy także w téj sztuce bałwochwalczy stosunek władzy królewskiéj do narodu, jaskrawo występujący w barbarzyńskiém zaślepieniu Sancheza i wybitną rolę hiszpańskiego bożyszcza — honoru — który dla działających w dramacie osób jest rodzajem igły magnesowéj na falach życia.

Rozbierzmy jeszcze jeden dramat p. t. *Castigo sin Venganza* (Kara nie zemsta).

Książę Ferrary, spędziwszy młode lata na rozpuście, postanowił już w jesieni swego życia ożenić się, na szczególne żądanie swych poddanych. Po wybraną córkę księcia Mantuańskiego Kasandrę wysłał książę naturalnego syna Fryderyka, niechętnego małżeństwu swego ojca, mającemu pozbawić go tronu, w razie, gdyby Kasandra obdarzyła księcia potomkiem. Odznaczający się męztwem i pełen niepospolitych zalet umysłu był Fryderyk bożyszczem ojca, który wcale nie taił, że następstwo po sobie, jemu przeznacza. W drodze, odpoczywając w cieniu lasu ze swym orszakiem, usłyszał nagle przeraźliwe krzyki o ratunek. Fryderyk biegnie w tę stronę i po chwili przynosi na rękach kobiétę omdlałą. Była to właśnie piękna Kasandra, która, opuściwszy swój orszak, dla wyszukania cienistego miejsca podczas skwarnego południa, odważyła się, ze służącą tylko, przebyć rzekę w swéj karecie, która ugrzęzła w piasku, wywołując przestrach kobiét. Wypadek ten jest początkiem fatalnéj katastrofy. Fryderyk olśniony pięknością swéj macochy pokochał ją całym

ogniem młodości. Odtąd rozpoczyna się w jego duszy straszna walka występnego uczucia z honorem, która pogrąża go w pewien stan bezwładnéj melancholii. Oto próbka jednéj z tych agonij, nurtujących w duszy bohatéra:

Fryderyk. Wyobraźnia to szalona! (Akt I. Scena XIV) (1).
Batin. (sługa) Co?... szalona?... Cóż nowego?...
Fryderyk. Dobrze mówią, że to życie
Snem jest i że snem jest całe;
Gdyż nie tylko człek w uśpieniu,
Ale jeszcze i na jawie
Takie marzy dziwolągi,
Jakie nigdy zgnębionemu
Obłąkaniem nędzarzowi
Do umysłu przyjść nie mogą!...
Batin. Słusznie mówisz — toć czasami
Śród licznego towarzystwa
Siedząc, chciałbym, ot z fantazyi
Sąsiadowi dać policzek,
Lub innemu zdusić gardło!...
Kiedy stoję na balkonie,
Zdaje mi się i drżę cały,
Że zeń spadnę i kark skręcę!...
Gdy na pogrzeb jaki idę,
Śmiać się bierze mnie ochota.
Widząc graczów, jam gotowy
Rzucić świecznik im na głowy!...
Jeśli piją—śpiewać pragnę.
A gdy jaką damę widzę,
To w szalonéj wyobraźni
Wziąć za włosy ją zamierzam.
I twarz wstydem mi się krwawi,
Tak jak gdybym to uczynił!...
Fryderyk (do siebie). Jezu!... Boże ratuj!... Zgińcie
Straszne mary snów na jawie!...
Jaż tak myślę i tak marzę!...
Tak przyrzekam sobie... roję!...
Takie plany snuć się ważę!...
Dość już!... straszne to szaleństwo!...
Batin. Ty ukrywasz coś przedemną!...

---

(1) Lope de Vega Obras escogidas. Madrid 1874. Biblioteca nacional economica.

Fryderyk. Słuchaj — to nie rzeczywistość
Więc przed tobą nic nie skrywam,
Boć fantazyi myśl zuchwała,
To duch pozbawiony ciała.
A co snem jest człowiekowi
Tajemnicy nie stanowi!...
Batin. Gdybym ci téż podpowiedział
Zaprzeczyłbyś?...
Fryderyk. Raczéj wprzódy
Nim to zgadniesz—kwiat na niebie
Gwiazdy w sadzie tym wyrosną!...
Batin. Więc posłuchaj czy się mylę:
Że macochę swoję kochasz
To mówiłeś sam do siebie!...
Fryderyk. Milcz!... przekleństwo!... straszna prawda!...
Lecz czyż mogę winić siebie
Gdy myśl wolna?...
Batin. I tak bardzo,
Że w jéj błyskawicznym locie
Duszy ludzkiéj nieśmiertelność
Przegląda się jak w zwierciadle!...
Fryderyk. Szczęsny książę!...
Batin. Co się zowie!...
Fryderyk. Niemożebném zda się—jednak
Jam zazdrosny już o niego!...
Batin. Żadne dziwy—gdy człek wspomni
Że Kasandrze lepiéj było
Żyć dla ciebie!...
Fryderyk. Miłość taką
Tylko grób uleczyć w stanie.

Choroba Fryderyka staje się coraz widoczniejsza, a skutki jéj z każdym dniem bardziéj zatrważają. Zarówno książę, jak dwór cały daremnie w domysłach się gubią; nikt nie może przyczyny melancholii Fryderyka odgadnąć. W rezultacie przypuszczają to tylko, że małżeństwo księcia jest jedyną przyczyną choroby jego syna. Kasandra tylko, płonąc najgorętszém uczuciem dla Fryderyka, przenika stan jego duszy, a wreszcie z nadzwyczajną zręcznością tajemnicę odkrywa. Całą tę znakomitą scenę piérwszego porozumienia się kochanków podajemy niżéj bez skrócenia i, zgodnie z oryginałem, w kwintillach.

Kasandra (spostrzegając Fryderyka). Akt II. Scena XVI.
Hrabia! O ja nieszczęśliwa!...

(Po chwili) Gdym gotowa do obrony
Cóż się lękać?...
Fryderyk. (n. s.) Już przybywa
Słodki miecz, choć obnażony,
Co mi serce wskróś przeszywa.....
O nadziemska ty piękności!...
Kasandra. Wiecznież rozpacz tobą miota,
Smutek w twojém sercu gości?..
Fryderyk. Nieśmiertelna to zgryzota
Proszę waszéj wysokości.....
Kasandra. Melancholia niszczy zdrowie,
Więc i postać ty masz chorą!...
Fryderyk. Wściekłe troski w mojéj głowie,
Język o nich nic, Senoro,
Prócz, że własne—nie wypowie!...
Kasandra. Mogłażbym ja z twojéj twarzy
Noc rozproszyć... wyznaj śmiało!...
Moja miłość twą przeważy!...
Fryderyk. Otwarłbym ci—duszę całą,
Ale trwoga wciąż na straży!...
Kasandra. Miłość twoich trosk przyczyną
Mówisz....
Fryderyk. Smutek mój i chwała
Z jéj srogości tylko płyną.
Kasandra. Że chce miłość być zuchwała
Z dziejów powieść mam jedyną.
Antyjochus zakochany
W swéj macosze — w oczach ginie.
Z serdecznych udręczeń rany......
Fryderyk. Zmarł?... to zrobić mógł jedynie!...
Mój los bardziéj niezbłagany!...
Kasandra. W smutku Ojca myśl spowita,
Więc lekarzów rój gromadzi;
Lecz chorobę któż odczyta,
Kto cierpieniu tam zaradzi,
Gdzie nurtuje miłość skryta!...
Aż Erostrat, co z księgami
Więcéj niż Galen zbratany,
Poznawszy się z cierpieniami,
Zgadł truciznę... źródło rany,
Między sercem a ustami.
Wziąwszy puls chorego woła:

Niech się dworskie damy zbiorą
Jak najprędzéj....

Fryderyk. Myśl wesoła
Czyż przypuszczać mam, senoro,
Że duch jaki mówić zdoła?..

Kasandra. Gdy weszła jego macocha
Z pulsowych uderzeń mowy
Poznał, że ją pacyent kocha
Na swą zgubę...

Fryderyk. Podstęp nowy!.....

Kasandra. Wszak historya to Antyocha!...

Fryderyk. I zbawił go od cmentarza?...

Kasandra. Nie zaprzeczaj, Hrabio, ale
Tobie takiż los zagraża!...

Fryderyk. Może wzbudzę gniew twój....

Kasandra. Wcale!...

Fryderyk. A współczucie?...

Kasandra. Tak!..

Fryderyk. Nie zraża
Słów tych brzmienie... a więc, pani...
Jam już stracił bojaźń bożą
I książęcia... miłość rani
Bezwzajemna... serce trwożą
Jéj szaleństwa... zginę dla niéj!...

Kasandra. Bóg i książę... dwa te słowa
Śmiertelném przejmują drżeniem;
I myśl szepcze mi grobowa,
Że kto rozbrat wziął z sumieniem,
Od kary się nie uchowa!..
Jedna tylko na to rada:
Zrzec się oczu twych i mowy;
Wtedy... coś mi przepowiada....
Albo troska zniknie z głowy
Lub śmierć zjawi się tu blada!...
Stroń odemnie... Bóg przebaczy...
Ja unikać ... nie, nie mogę!....
Życie wydrzéć sobie raczéj!..

Fryderyk. I jam w śmierci gotów drogę!...
Wartoż dłużéj żyć w rozpaczy!.....
Rękę podaj mi raz jeszcze...
Błagam... nie odmawiaj tego...
Co sprowadza śmierci dreszcze!..

Kasandra. Prochu—przed płomieniem strzegą!...
Fryderyk. Pocóż myśli te złowieszcze!...
Kasandra. Zgoda!.. lecz uprzedzić muszę,
Że jad łatwo przejdzie z dłoni
By na wieki zatruć duszę!..
Fryderyk. Syreną śród morskiéj toni
Byłaś dla mnie: na katusze
Dźwięk twéj pieśni mię prowadzi....
Umrzéć trzeba!.....

Na nieszczęście książę Ferrary, wezwany przez papiéża na wodza jego zastępów, zostawia rządy kraju i opiekę nad żoną w ręku syna i tym sposobem ułatwia kochankom swobodne oddanie się nie hamowanéj już niczém namiętności, która wkrótce przestała być nawet tajemnicą dla dworu, a w szczególności dla Aurory. Kuzynka ta Fryderyka, wychowując się z nim od dzieciństwa, sądziła, że zostanie jego żoną. Tymczasem nieobecność księcia trwała króciéj, aniżeli się spodziewano. Oddani występnym pieszczotom kochankowie dowiadują się, ku wielkiemu swemu przerażeniu, o rychłym powrocie księcia.

Kasandra. Już przybywa?.. (Akt III scena V)
Lucrecya. Tak senoro.
Kasandra. To pośpiesznie!..
Lukrecya. By cię ujrzéć
Całą świtę swą zostawił.
Kasandra. Nie wierz temu!.. Lecz co do mnie
Jabym chętniéj śmierć ujrzała!...

Po wyjściu służącéj wchodzi Fryderyk.

Kasandra. A więc, hrabio, już przybywa
Książę, pan mój....
Fryderyk. Tak senoro.
Mówią, że jest nie daleko.
Dobrze miłość swą objawia!...
Kasandra. Ha!.. umieram.. gdy pomyślę,
Że widywać się nie będziem
Tak jak teraz....
Fryderyk. Śmierćby nawet
Dla miłości méj nie była
Tak okrutna, jak ten powrót
Kasandra. O! Hrabio... ja zmysły tracę
Fryderyk. Ja już dawno swe straciłem!...
Kasandra. Jam bez duszy!...

Fryderyk. Ja bez życia!..
Kasandra. Cóż nam pozostaje..
Fryderyk. Umrzéć!.
Kasandra. Nie masz innych lekarstw?..
Fryderyk. Nie ma!..
Bo gdy ciebie los mi wydrze,
Pocóż jeszcze żyćbym pragnął!..
Kasandra. Więc zapomnieć tyś już gotów?..
Fryderyk. Od dzisiaj udawać będę,
Żem w Aurorze rozkochany,
Nawet ręki jéj zażądam
Od książęcia, by odwrócić
Podejrzenia, gdyż wiem pewno,
Że w pałacu nas szpiegują.
Kasandra. Piekło!... zazdrość czyż nie starczy...
Poślubić ją... tyś szalony!..
Fryderyk. Zobopólny los nam każe
Tak postąpić.
Kasandra. Co?.. przez Boga!..
Ty się dziś najgrawasz ze mnie,
Gdyś najpiérwszą był przyczyną
Méj zgryzoty!.. Wszystko raczéj
Wyznam gdy mię szarpać będziesz;
Twoję zbrodnię i mą zdradę!...
Fryderyk. Senoro!..
Kasandra. Zakończmy o tém
Fryderyk. Słuchają nas..
Kasandra. Nie dbam wcale!..
Tysiąc razy wprzódy zginę,
Niż ty w związki wejdziesz ślubne!...

Co to za głęboka znajomość natury ludzkiéj a w szczególności serca kobiéty!... Skoro tylko książę powrócił, znalazł między innemi papiérami, które na niego czekały bilet bezimienny, który mu odkrywa jego hańbę.. „Hrabia i księżna splamili twój honor i łoże“ mówi tajemnicze pismo, jeśli będziesz umiał udawać, sam się o tém przekonasz“... Wściekłość księcia nie ma granic. „Synu niewierny woła ze zgrzytem strasznego gniewu, chciałbym cię zamordować i wskrzesić, ażeby potém tyle razy wydzierać ci serce, ile razy mógłbym cię jeszcze do nędznego życia powołać. Czyż kara będzie dla mnie zemstą... kto karze, ten się nie mści“.....

Fryderyk, aby odwrócić podejrzenie ojca, dręczony wyrzutami sumienia a może i zniechęcony już do kochanki, postanawia, wbrew

znanéj nam groźbie Kasandry, prosić księcia o rękę Aurory. Kasandra znów, lękając się bardziéj tego związku niżeli śmierci i hańby, prosi księcia o rękę Aurory dla markiza Carlosa, który oddawna pragnął gorąco tego małżeństwa.

Książę. Markiz spóźnia się niestety
Hrabia żądał jéj w zamężcie!..
Kasandra. Hrabia żądać mógł Aurory?!..
Książę. Tak Kasandro!..
Kasandra. Hrabia?!...
Książę. Właśnie!..
Kasandra. Książę mówi—wierzyć muszę.
Książę. Uzwględniłem jego prośbę
I ślub jutro się odbędzie.

Wieść ta niby piorunem uderza w serce Kasandry, która, rozstawszy się z księciem, spotyka właśnie Fryderyka i niby zraniona tygrysica wyrzuca zdradzieckiemu kochankowi jego podłość. Na nieszczęście książę, który od czasu owego listu nie spuszczał z oka występnéj pary, chcąc się dotykalnie o jéj zbrodni przekonać, podsłuchał nieopatrznéj mowy kochanków i wykonywa straszną zemstę, którą poprzedza taki monolog:

Będę ojcem, nie małżonkiem!..
I niebieska sprawiedliwość
Na występek ten bez wstydu
Karę bez zemsty wymierzy.
Honoru żelazne prawa
Żądają tego niezłomnie,
By publiczna kary jawność
Nie zdwoiła mojéj hańby!..
Podłéj Kasandrze związałem
Przed chwilą ręce i nogi
I by stłumić krzyk jéj srogi
Pełne usta szmat napchałem
Gdym jéj rzekł: plugawą żonę
Zamorduje dłoń wspólnika
Strętwiała!... Ha!.. dreszcz przenika!...
Serce zemstą rozognione
Może takie znieść męczarnie,
Lecz gdy przyjdzie zabić syna....
Krew się w żyłach moich ścina
Taką rozpacz któż ogarnie!..
Miłość ojca!... precz odemnie!..
Ojców—Bóg szanować każe:
A on świętéj czci ołtarze

Hańbą obluzgał nikczemnie!...
Idzie!... Boże dodaj siły!.....

Fryderyk. Wieść w pałacu się rozniosła,
Że Aurorę dałeś ojcze
Markizowi de Gonzaga.
I że w krótce do Mantui
Wyjeżdżają ztąd oboje.....

Książę. Nie wiem czy ta wieść prawdziwa,
Gdyż dotychczas mojéj woli
Nie usłyszał markiz jeszcze.
Rzeczy stokroć poważniejsze
Trapią umysł mój znękany.

Fryderyk. Ten kto rządzi trosk ma wiele!..
Cóż zajmuje cię w téj chwili?..

Książę. Synu mój!.. ferrarski szlachcic
W towarzystwie innych zdrajców
Spiski przeciwko mnie knuje.
Kobiéta, której się zwierzył
Tajemnicę mi odkryła!..
Głupiec, kto kobiécie wierzy,
Roztropny, kto jéj pochlebia!..
Zdrajcy przybyć tu kazałem,
Pod pozorem ważnéj sprawy;
Gdym w téj sali zamkniętemu
Opowiedział jego zbrodnie,
Zemdlał—a ja wtedy łatwo
Przywiązałem go do krzesła
I okryłem suknem ciało,
By ten, kto mu pierś przebije
Nie widział nędznika twarzy,
Gdyż Italii kłócić nie chcę...
Ty przybyłeś a więc chętnie
Powierzam ci sprawę całą
I zastrzegam tajemnicę.
A więc dobądź szpady, Hrabio
I odbierz mu nędzne życie...,
Ja tu u drzwi czuwać będę.
Niechaj oczy me świadkami
Twéj dzielności pozostaną.

Fryderyk. Czy doświadczyć chcesz mię, panie
Czy naprawdę ci zbrodniarze
Spiskowali przeciw tobie?...

Książę. Kiedy ojciec *złe czy dobre*
Swemu dziecku spełnić każe,
Czyż się ono sprzeczać będzie?...
Precz ztąd, tchórzu.. ja sam pójdę...
Fryderyk. Wstrzymaj szpadę swą, zaczekaj!..
Czegóż miałbym się obawiać,
Gdy przeciwnik jest związany!..
Tylko nie wiem co to znaczy....
Czuję dziwne serca drżenie!...
Książę. Zostań, babo!...
Fryderyk. Ha! już idę!..
Polecenie twe wystarcza!..
Ale przebóg (waha się)
Książę. Precz nędzniku!
Fryderyk. Stój!.. natychmiast!.. gdybym znalazł
Tam Cezara.... w twéj obronie
Tysiąc zadałbym mu ciosów!..
Książę. Patrzę... (Fryderyk wychodzi, zostawiając drzwi otwarte)
Idzie... miecz wyciąga....
Ten sam wyrok mój wykonał,
Kto jest wstydu mego sprawcą!..
Do mnie służba!.. straż czém prędzéj....
Niechaj wszyscy tu się zbiorą!..
Czy kto widział taką zbrodnię!...
Hrabia zamordował księżnę,
Żeby dziecko jéj przepadło,
Po którém dziedzictwa pragnie!...
Niechaj spadnie jego głowa
Książę, pan wasz rozkazuje!...
Markiz. Co! Kasandrę!...
Książę. Tak, Markizie!..
Markiz. Nie powrócę do Mantui
Aż on z mojéj ręki zginie.
Książę. Patrzcie!. z mieczem pokrwawionym
Idzie zdrajca!..
Fryderyk. Co to znaczy?...
Ja odkryłem twarz człowieka,
Którego kazałeś zabić
I znalazłem......
Książę. Milcz!.. dość tego
Na śmierć z nim!...

Markiz. Tak niech umiéra!....
Fryderyk. Ojcze!. za cóż ja mam zginąć!..
Książę. Tam na sądzie Boga, zdrajco!...
Opowiedzą ci przyczynę!..

Wszystkie miecze zwracają się ku Fryderykowi, który broniąc się wychodzi. Po chwili Markiz wraca, oznajmiając, że Hrabia już nie żyje.

Książę. W téj zgryzocie oczy pragną
Widzieć go razem z Kasandrą
(przynoszą dwa trupy)
Kiedy sprawiedliwość karze
Nie mści się...
Batin. Tu, panowie,
Kończy się *kara bez zemsty*
Co Italją przeraziła
A Hiszpanii jest przykładem!...

Dramat ten, któremu niepospolitych zalet odmówić niepodobna, osnuty został na posępnéj historyi z XV w., z któréj Bajron zaczerpnął także wątek do poematu *Parisina*. Utwór ten wyszedł z pod pióra poety w r. 69 życia, co dowodzi, że geniusz L. de Vegi nie starzał się.

Postaramy się teraz przedstawić wszystkie ujemne i dodatnie strony prac dramatycznych Lope de Vegi.

„Dramat," mówi Fryderyk Schlegel, „można tylko jako sztukę traktować. Skrupulatne obmyślenie planu i konsekwentne tegoż przeprowadzenie jest niezbędne w dramacie, jeżeli takowy ma być odzwierciedleniem treści naszego życia, nie zaś jedynie błyszczącéj jego powierzchni" (1). Pewna część utworów dramatycznych Lope de Vegi, mierzona skalą powyższéj definicyi, nie wytrzymuje krytyki. Są to sztuki, które się przedstawiają jako konglomeraty scen pojedyńczych, wybornie pomyślanych i kunsztownie przeprowadzonych, ale nie mających ze sobą żadnéj spójni organicznéj, żadnego związku rozumnego. Wytrąćmy jeden z tych luźnych epizodów, robi Schmidt słuszną uwagę, a w całości szczerby nie będzie (2). Z uwagi na zupełny brak planu, sztuki te *dramatycznemi nowelami* nazwać można. Żaden poeta w świecie nie nagromadził w romansach, opowiadaniach i dramatach tyle bogatéj i ponętnéj inwencyi, tyle interesujących sy-

(1) Geschichte der alten und neuen Literatur. Wien 1815 T. II—121.
(2) Leopold Schmidt. Ueber die vier bedeutendsten Dramatiker der Spanier. Bonn 1858—8.

tuacyj, tyle powikłanych motywów, ile ich właśnie te dramatyczne nowele zawiérają, a jednak należą one do utworów miernych poety ze względu na surowość tego olbrzymiego materyału i nieuzasadniony stosunek pojedyńczych części do ogółu (1), o który zresztą i ówcześni widzowie nie troszczyli się wielce. Tracono z oczu całość a zajmowano się głównie doskonałością pojedyńczych epizodów samych w sobie.

Akcya dramatyczna nie we wszystkich pracach Lope de Vegi wypływa z kolizyi namiętności, lecz tu i owdzie jest wynikiem fatalizmu poprzednich, od woli działającéj osoby niezależnych faktów, co zmniejsza wartość artystyczną utworu i sprowadza niejednokrotnie rozwiązanie gwałtowne i nie dość naturalne. W związku z wadą powyższą stoi zarzut Ticknora, że autor nadużywa dyalogu do rozwałkowania fabuły, z uszczerbkiem dla charakterów sztuki (2). Dyalogi te są w istocie za olbrzymie, dochodzą bowiem niekiedy do 300 wierszów i mają charakter przeważnie opisowy jak w noweli.

Przyjąwszy za zasadę, że słuchacz pozostać winien jak można najdłużéj w niepewności co do rozwiązania sztuki, do tego stopnia nadużywał scenicznego zawikłania, że ono w rezultacie zamiast się naturalnie rozwiązać, musiało się częstokroć rozerwać z niemałą dla prawdopodobieństwa krzywdą. Takiém np. namacalném dorzuceniem nowéj a zbytecznéj nici dla większego zawikłania intrygi odznacza się rola Liseny w pięknéj komedyi „*Amar sin saber a quien.*“

To ryzykowne rozcinanie mocno poplątanych węzłów dla połączenia np. himenem kilku par jednocześnie lub sprowadzenia dramatycznego efektu wyrzuca słusznie autorowi już Buterweck (3). Nieprawdopodobieństwem rozwiązania grzeszy np. *Lo cierto por lo dudoso*, gdzie małżeństwo Henryka z Joanną dokonane przez Arcybiskupa Sewilli, na mocy jakiegoś szczególnego qui pro quo, razi hazardownością pomysłu. Nie więcéj prawdopodobna jest rola Aleksandra w „*Fałszywéj prostaczce*“ i stosunek tego awanturnika do Dyjany. Jako zaś dowód zbytecznego zagalopowania się autora w tym kierunku służyć może „*Fuerza lastimosa*, gdzie dziewięcioletni jenerał Don Juan, syn bohatérki dramatu, dowodzi osobiście armią hiszpańską.

Wszystkie te ujemne strony działalności dramatycznéj Lope de Vegi mają źródło w niesłychanie płodnéj fantazyi autora i w bez-

---

(1) Schack loc. cit. II. 360.

(2) Ticknor loc. cit. 622.

(3) loc. cit. 377.

przykładnéj gorączce tworzenia, która nie pozwalała na wykończenie artystyczne większéj ilości utworów, pisanych pod wpływem chwilowego natchnienia. Ten pośpiech w tworzeniu stawiał poetę często w niezgodzie z geografią, historyą lub etnografią. Tak np. każe flocie wylądowywać w Węgrzech; Saint-Denis nazywa krajem górzystym, Paryż otacza oliwnemi drzewami i w ogóle, podróżując w dziełach swoich po całym świecie, wszędzie unosi z sobą Hiszpanią.

W czasach Lope de Vegi rozpowszechnił się był w literaturze hiszpańskiéj tak zwany *gongoryzm* (od twórcy Gongory) albo *cultism*, zasadzający się na oblekaniu najzwyczajniejszych myśli w formę wyszukaną i przesadną. Że Lope de Vega przez długi czas nie tylko opiérał się temu prądowi, lecz i przeciwko niemu występował, dowodzą częste i satyryczne wycieczki, jakie w pracach jego przeciwko gongoryzmowi spotykamy. W *Castigo sin venganza*, ośmieszając kultistów powiada, że mówią *kulti dyabelskim* językiem. W *Las Bizarias de Belisa* heroina sztuki, mówiąc o wadach swéj rywalki dodaje „Ta kobiéta, mówiąca stylem wyrafinowanym i w języku dla nikogo w Kastylii niezrozumiałym, którego od matki nauczyć się nie mogła“... W inném miejscu, napisawszy sonet w modnym garonie, takim kończy go dyalogiem: „Rozumiesz, Fabio, com ci powiedział? Naturalnie. Kłamiesz, Fabio, gdyż ja sam własnych słów nie rozumiem. W *Amistad* y *Obligacion* pewien człowiek rekomenduje się innemu jako poeta. Czy piszesz zwyczajnym stylem, pytają tego ostatniego, czy nowomodnym? Nowomodnym odrzekł poeta. Bardzo dobrze, w takim razie mogę cię użyć do pisania moich sekretów. Dla czego? Żeby ich nikt nie zrozumiał. Po dwudziestoletniéj walce z kultistami Lope pogodził się wreszcie z Gongorą i od tego czasu tu i owdzie szpecił swoje utwory stylowemi wybrykami. Oto np. w *El mejor alcalde el rey* Sanche, wieśniak, mówi do króla: Oczy moje, zazdroszcząc ustom, chciały piérwsze wypowiedzieć ci swoję skargę. Albo w kawalerze Olmedo cała tyrada Rodryga w I-m akcie, kolekcyą głupstw przez donnę Jnezę ochrzczona, jest także objawem gongoryzmu.

Przeważną jednak ilość naciągniętych a przesadnych metafor oraz zbyt sztucznych a dyalektyką przeładowanych zwrotów i obrazów, rażących cudzoziemca w niektórych pracach Lope de Vegi, policzyć należy na karb wrodzonego Hiszpanom zamiłowania do kunsztowności stylowéj, odziedziczonéj w spadku po Arabach.

Najświetniejszą stronę talentu Lope de Vegi jest inwencya, wytwarzająca nie nadzwyczajne okoliczności lub wypadki, ale treść faktyczną, która zasadnicze idee jego sztuki obleka w ciało; posiada

on zdolność wyprowadzania przeróżnych sytuacyj i katastrof z rozwoju charakterów i ze stosunków pomiędzy działającemi osobami a zewnętrznemi wypadkami. W każdym z lepszych dramatycznych utworów przedstawia nam bogaty obraz kolizyj wypadków życiowych, usposobień, uczuć i motywów, które powiązane koniecznym łańcuchem przyczyn i skutków kroczą do swego celu. Teatr jego stara się o jak największą różnorodność materyi, o skrupulatne przedstawienie wszystkich momentów życia i roztoczenie w całym obszarze wielkiego obrazu świata. Chwytał on w przelocie, nakształt dzisiejszego dziennikarstwa, wszystkie wrażenia chwili obecnéj, choćby one z najdalszych stron płynęły. Za przykład w tym względzie służyć nam może historya Dymitra Samozwańca, któréj niewyraźne echo, odbite i na przeciwległym krańcu Europy, skrystalizowało się w dramacie *El gran duque de Moscovia.*

W r. 1605, Otrepiew walczy z Borysem a w 1606 już ginie; musiał tedy dramat Vegi powstać bezpośrednio po upadku Borysa, skoro autor do tytułu *El gran duque de Moscovia* dodał jeszcze *y emperador perseguido* (wielki książę moskiewski czyli *prześladowany monarcha*), co zdaje się wskazywać, że Vega nie wiedział jeszcze o zamordowaniu Dymitra i powszechném wówczas jego mianie... samozwańca.

Jeśli weźmiemy pod uwagę właściwy naszemu poecie nadzwyczajny pośpiech w napisaniu tego utworu, odległość i niejasność wypadków, które mu za wątek dramatyczny posłużyły, a wreszcie zupełne prawie niewtajemniczenie się w charakter krajów, będących areną dramatycznéj akcyi w téj sztuce, jak również absolutną nieznajomość narodowego organizmu wziętych do odtworzenia postaci; to przyznać musimy, że względnie do powyższych warunków, Lope de Vega wywiązał się z historycznego zadania dość szczęśliwie, jakkolwiek z drugiéj strony „El gran duque de Moscovia" należy, pod względem artystycznym, do utworów poety miernych i słusznie dziwić się można Rappowi, że go w swoim „Spanisches Theater" umieścił (1).

Do sztuki, oprócz mnichów, strzelców, oficerów, żołnierzów, służby i ludu wchodzi aż 37 osób działających, z których jedne, jak Basilio, Teodoro, Juan, Demetrio, odpowiadają etymologicznie ruskim imionom Wasili, Feodor, Iwan i Dymitr; niektóre jak Margarita i hrabia wojewoda inflancki mają przypominać Marynę i jéj ojca Mniszha, sędomirskiego wojewodę; inni wreszcie działacze téj sztuki są jedynie płodem poetycznéj fantazyi autora. Z Polaków, oprócz

---

(1) loc. cit. T. III.

króla Zygmunta, występują dwaj karmazyni Tschanski Sewerski; motorem zaś i najważniejszą w rzeczywistości osobą jest sługa Dymitra Rufino, Hiszpan, zkąd widzimy, że autor, przeniosłszy się z dramatycznym aparatem aż na północ, nie mógł i tutaj nawet obejść się bez hiszpańskiego *gracioso*.

W 1-m akcie, niewątpliwie najlepszym, prowadzi nas poeta do Moskwy, gdzie w sali tronowéj Kremlu spotykamy się z Iwanem Groźnym i dwoma jego synami Feodorem i Janem, z których piérwszy jest podług Vegi nie bratem Dymitra, głównego bohatéra sztuki, ale ojcem.

Iwan jest faworytem ojca i domniemanym następcą tronu z krzywdą starszego, lecz znienawidzonego Feodora, którego syn Dymitr mieszka w Ugliczu, pod opieką wiernego sługi Lamberta. Skoro jednak car spotkał pewnego razu na schadce romansowéj Rodulfa, jednego z bojarów swego dworu, z Elżbietą, żoną młodszego syna, dał jéj policzek a następnie położył trupem Iwana, który ośmielił się stanąć w obronie żony. Ta ostatnia scena, jak nie mniéj cała postać srogiego władcy, skreślona jest śmiało, a co dziwniejsza najzupełniéj zgodnie z historyą. Zabójstwo Iwana przyprawia o śmierć mordercę, a na osieroconym tronie zasiada niedołężny Feodor, który z całém zadowoleniem oddaje ster rządu Borysowi. Ten ostatni obietnicą ślubu z owdowiałą Elżbietą skłania Rodulfa do zabicia Dymitra, który jednak, dzięki bohatérskiéj ofierze Lamberta, ocalał od pewnéj śmierci. Wierny ten opiekun, dowiedziawszy się od Rufina, że życiu Dymitra niebezpieczeństwo zagraża, kładzie własnego syna w łóżku księcia i tym sposobem ocala swego pana. Rodulf, zamordowawszy syna Lamberta, zwiastuje śmierć Dymitra Borysowi, który tym sposobem odziedzicza bez przeszkody tron Feodora.

Akt drugi odbywa się przeważnie w Inflantach, gdzie, uciekłszy z klasztoru przed pogonią, schronił się był Dymitr wraz z Rufinem na dwór hrabiego wojewody, wasala króla polskiego, i pełnił obowiązek posługacza w jego kuchni.

Akt ten jest o wiele słabszy od piérwszego, a na odznaczenie zasługuje tu chyba scena w Kremlu, o wiernie miejscowym charakterze, gdy Borys rozkazuje wyrzucić oknem astrologa, wieszczącego fatalną nowinę ocalenia Dymitra.

Akt III, rozpoczynający się w Warszawie, jest stanowczo najsłabszy. Dawszy się poznać hrabiemu wojewodzie, zyskuje Dymitr jego pomoc i poparcie króla polskiego a mając już wojska, rozpoczyna walkę z Borysem, który, spotkawszy się z Dymitrem na placu boju, sam sobie pierś przebija.

Poczém następuje związek bohatéra sztuki z Małgorzatą a Rufina—z Feodorą. Żywioł ten zresztą erotyczny, który zwykle jest dla Vegi najwdzięczniejszém polem popisu, w „Księciu moskiewskim“ całkowicie chromieje, a nawet, ściśle mówiąc, nie ma w sztuce żadnego prawie znaczenia.

W odpowiedniém ugrupowaniu działających osób, we właściwém użyciu światło-cieniów i w sztuce odtwarzania charakterów zgodnie z zasadniczą ideą dramatu,—Lope de Vega stanął na wyżynach bardzo rzadko dosięganych. Ludzie wszelkiego stanu i wieku od starców aż do dzieci, od królów i grandów aż do bandytów i zbrodniarzów poruszają się u niego z właściwą sobie charakterystyczną siłą.

Miłość z nieodłączną od niéj zazdrością jest najpotężniejszym czynnikiem w utworach Lope de Vegi; gdy wybucha, czujesz w niéj wtedy cały ogień krwi hiszpańskiéj; gdy się oddaje marzeniom, wydobywa ze swego łona niewyczerpane potoki romantycznych tyrad i uniesień. Miłość usprawiedliwia tu wszystko, a pod sztandarem téj zasady bohatérowie i bohatérki intrygują wszędzie z bezgraniczną śmiałością. Ze szczególném téż upodobaniem przedstawiał L. de Vega typy niewieście, ukazując je zawsze w świetlanych barwach. Nikt chyba nie odzwierciedlał z taką serdecznością, ogniem i prawdą uczucia stałości i energii do jakiéj kochająca kobiéta jest zdolna; nikt z podobną subtelnością nie odkrywa labiryntów jéj serca i nie kroczy wszystkiemi ścieżkami, jakie w niém miłość wyżłobiła, począwszy od lękliwego drgnięcia strun miłości, aż do bezwzględnego poddania się namiętnym jéj uraganom. Co to za różnobarwna galerya przedziwnych typów niewieścich. Weźmy np. taką Elwirę w pięknym dramacie „Najlepszym sędzią król.“ Ileż wdzięku, głębokości uczucia i stałości w téj córze wieśniaczéj strzechy!..... Rozkochany na śmierć Sancho wyrzuca lubéj, że dotąd nie zdecydowała się zostać jego żoną.

Sancho. Czyjaż wina żeś nie moją?..
Elwira. Twoja, Sancho.
Sancho. Moja?.. nigdy!..
Już ci nieraz serce do dna
Otwierałem—tyś milczała!..
Elwira. Mógłżeś lepszéj nad milczenie
Wyczekiwać odpowiedzi?!..
Sancho. A więc winniśmy oboje!..
Elwira. Na rozsądku ci nie zbywa
A nie wiesz, że my kobiéty

Mówić umiemy milczeniem
I zezwalać... odmówieniem....
Czyśmy czułe, czy okrutne
Darmo sądziłbyś z pozoru,
Lecz odwrotną stosuj miarę!...

Sancho. Bardzo dobrze!.. Mogęż prosić
O twą rękę?.. Milczysz, droga,
Więc zezwalasz—wyśmienicie!...

Elwira. Tylko nie mów ojcu memu,
Że ja tego związku pragnę...!

To samo dziewczę, porwane przez rozwiązłego panka, umié z bohatérstwem przeciwstawić potęgę niezłomnego uczucia rozszalałym namiętnościom średniowiecznego magnata. Błagalne obietnice i groźby, jakich jéj Telio nie szczędzi, nie mogą zachwiać żelaznéj stałości Elwiry, która rozpaczającego pod kratami jéj okna kochanka pociesza, że „choćby miała ponieść tysiąc śmierci—zostanie czystą."

Laurencya w „Fontovejune" jest typem nie mniéj ciekawym. Rozumna, przezorna i dumna ta mieszczanka, traktująca z góry płeć brzydką, imponuje młodzieży niepospolitą siłą duszy i prawie męzkim charakterem.

— Witam panie, rzekł Frondoso, zbliżając się do Laurencyi i jéj towarzyszek.

— A to co, Frondoso?. my panie?..

— Stosuję się do mody. Alboż to bakałarza nie nazywają licencyatem, głupca rozumnym. Czyż nie mówią o fanfaronie, że ma minę wojskową, o bufonie, że przyjemny, a o junaku, że bohatér. Wyliczyłbym tysiąc przykładów, które mię upoważniają do nazywania was *damami*.

— To prawda. Podobno w mieście tak się przez grzeczność wyrażają. Lecz znam ja innych, którzy mówią przeciwnie. Człowiek poczciwy jest dla nich nudnym; powściągliwy—smutnym; surowy—okrutnym; czuły—gamoniem; stałego nazywają głupcem, grzecznego—pochlebcą; miłosiernego—hipokrytą; chrześcianina—ambitnym. Alboż nie utrzymują, że zasługa jest szczęściem, prawdomówność—bezwstydem, a cierpliwość—podłością?... Dla nich uczciwa kobiéta jest głupia, najpiękniejsza uchodzi za malowaną; a niech się tylko okażemy cokolwiek towarzyskie i wesołe, już nas traktują jak..... Dość tego.. sądzę, że ci ta odpowiedź wystarczy.

Kiedy Ferdynand Gomez rozpasał się na najohydniejsze bezeceństwa i pod strzechy biednych mieszkańców miasteczka wnosił hańbę; kiedy Frondoso dostał się do więzienia a Laurencya wpadła w ręce

siepaczów;—ojciec téj ostatniéj, Estevan, zebrał dzielniejszych mieszkańców na naradę. Zaledwie rozpoczęły się rozprawy, wpada z rozpuszczonemi włosami Laurencya.

— Puśćcie mię—woła—wszakże ja mogę znajdować się na radzie mężczyzn. Jeśli głos mój nie zaważy, da się słyszéć przynajmniéj. Czy poznajecie mię?...

Estevan. Nieba!.. jestże to moja córka!..

Juan. Czy nie poznajesz Laurencyi?..

Laurencya. Niestety... Inną przychodzę, niż byłam, więc się wahaniu ojca nie dziwię.

Estevan. Moja córko!.. dziecko moje!...

Laurencya. Już mię tak nie nazywajcie!..

Estevan. A to dla czego, mój skarbie?...

Laurencya. Bo tyrani, którym pozwoliliście mię porwać, nie pomszczeni. W waszych oczach Ferdynand Gomez kazał mię uprowadzić do swego domu, a wy, nikczemnym pasterzom podobni, pozwoliliście żarłocznemu wilkowi porwać z pośród siebie słabą owcę. Ileż sztyletów zagrażało memu łonu, ile gróźb strasznych, ile dzikich gwałtów, żeby czystość moja poddała się ich wstrętnéj żądzy. Nie mówiąż wam o tém włosy moje w nieładzie, nie widzicież śladu zadanych mi razów i krwi, która jeszcze z ran moich płynie... I wyście męże szlachetni... wyście ojcowie i krewni.. a serce wasze nie pęka z bólu na widok moich męczarni?.. Wyście nie mężczyzni, lecz bojaźliwe jagnięta... Nam oddajcie swój oręż... Skoro nie czuli jesteście jak stal i kamień, skoro jesteście barbarzyńcami jak tygrysy .. Nie.. tygrys nawet ściga myśliwca, który mu dzieci małe porywa i rozdziera go w sztuki, nim napastnik zdąży się rzucić w bałwany morskie!.. Lecz wy, skoroście tchórze, skoro nie macie wnętrzności, skoro Hiszpanami nie jesteście... i znosicie, że tyrani hańbią wam żony i córki, pocóż stroicie się w szpady... po co sztylety nosicie... Kądziel dla was!.. Tak!. przez Boga!. my same, my kobiéty zmażemy hańbę swoję w krwi tyranów, a osiągnąwszy zwycięztwo, okryjemy was wzgardą, ozdoby niewieście i stroje wam oddając. Bez procesu i sądu komandor kazał powiesić Frendosa,—i was to czeka, a wtedy cieszyć się będę, że „Fontovejun“ wyludni się nareszcie z istot podłych!!...

— Umrzyjmy wszyscy!.. niech żyją nasi królowie!.. śmierć zdrajcom i tyranom!... oto okrzyki, które piorunna przemowa Laurencyi wywołała. Podobny skutek wywarło energiczne wystąpienie Sanchy w *Las famosas Asturianas.* Gdy Nuno Osorio prowadzi Arabom, jako haracz, sto młodych dziewcząt, między któremi była jego narzeczona, ta odkrywa bezwstydnie piersi swoje i pół noga postępuje

śród żołnierzów, patrząc im w oczy. Nuno odwraca się od kochanki, nie mając odwagi spojrzéć na nią; gdy nagle w bliskości stacyi, na któréj czekali Maurowie, Sancha okryła się najstaranniéj i odzyskała wstyd dziewiczy. Zapytana przez kochanka o przyczynę takiego postępowania, odpowiedziała ze wzgardą.

— Czegóżbym się miała w waszém gronie wstydzić swéj nagości; wszakże jesteście kobiétami!... Potrzebujeż dziewica zasłony i lękliwego wstydu wpośród istot tak słabych i bojaźliwych jak ona sama?. Maurowie są rycerzami, ich więc kobiéta lękać się może i wstydzić. Gdybyście byli mężczyznami, oddaliżbyście własne siostry i żony na pastwę cudzoziemcom?....

Zawstydzeni żołnierze mszczą się na wrogach i wchodzą zwycięzko do Leonu.

Bohatérkami są również kobiéty w sztuce *Las donzellas de Simancas*. Traktat, który oddaje dziewczęta Maurom, wymaga, żeby były zdrowe i całe. Biedne ofiary, przed ich wydaniem, schroniły się do jakiéjś wieży, z któréj zbliżającym się Maurom odpowiadają:

— Wy żądacie haraczu z kobiét całych i zdrowych, już my odtąd nie mamy dla was wartości i to mówiąc, okazują, każda z osobna, jednę rękę zgruchotaną. Wolały się dobrowolnie skazać na kalectwo, niż być pastwą Arabów.

Każda z nas pozbawiona jest jednéj ręki, lecz gdybyście na to nie uważali, zostaje nam jeszcze po jednéj, którą śmierć sobie zadamy. Bardzo naturalnie Arabowie musieli się ukorzyć przed bohatérstwem tych dziewic i zrzekli się nadal barbarzyńskiego haraczu.

Dorota złotooka (*La nina de plata*) jest także energiczną dziewczyną, a jakkolwiek lubi hołdy, nie daje się jednak uwieść nawet sidłom królewskim i miłość swą dla Don-Juana zachowuje. Joanna w „*Lo cierto por lo dudoso*“ pogardza tronem dla miłości, a romantyczna Arlaja w „*El Bastrado Mudarra*“ wyrzeka się wysokiego stanowiska dla chrześciańskiego więźnia.

Żelazną stanowczością charakteru wzdumiewa nas Dona Maria w *La moza de cantaro*. Młody Diego, starający się o jéj rękę, znieważył ojca Maryi, w skutek czego został aresztowany. Dona Maria zawoalowana udaje się do więzienia Don Diega, który uradowany pozornie życzliwém obejściem się dziewicy, pragnącéj niby pojednać dwie rodziny, otwiéra ramiona, aby ją objąć w uścisku i otrzymuje śmiertelną ranę w piersi, którą mu zadaje Dona Maria sztyletem, mszcząc się zniewagi ojca. Wybornéj znajomości serca kobiét, dowiódł Lope de Vega w „Psie Ogrodnika,“ gdzie Diana zakochana w swym sekretarzu nie chce zaślubić kochanka, ze względu na jego niższość socyalną; nie pozwala mu jednak zaślubić innéj.

Niemały podziw wzniecała u współczesnych sztuka L. de Vegi, z jaką umiał on przedstawiać najniższe klasy ludu, jak wieśniaków, pastérzów itp. Lope de Vega był na wskróś Hiszpanem i to go robi tak drogim w oczach jego współbraci. Czuł on, myślał, kochał i nienawidził w harmonii ze swym narodem. Znał on wszystkie tony, które się najgłębiéj w serca jego współziomków wciskały i umiał je w pełnych akordach odtwarzać. Żaden środek wzbudzania w słuchaczach sympatyi nie był mu obcy; owładnął on wszystkiemi poetycznemi żywiołami, tkwiącemi w tradycyach i historyi, w wierze i życiu hiszpańskiego narodu; tak, że umiał stare, na pół już przebrzmiałe podania dawnych czasów do nowego życia powołać i ku rozbudzeniu najszlachetniejszego narodowego uczucia spożytkować. „Małżeństwo w śmierci“ „Fontovejune,“ „Król Wamba“ i wiele innych utworów do téj kategoryi należą. Żaden poeta w świecie nie przedstawił tak wielostronnie i wyczerpująco dziejów i podań swego ludu jak Lope (1). Był on tak przepełniony miłością swéj ojczyzny, że nie zaniedbał żadnéj sposobności, aby sławę i honor swego ludu oraz czyny wielkich narodowych bohatérów Hiszpanii uwiecznić. Łatwo wyobrazić sobie można, jak schlebiał narodowéj dumie taki „Kolumb,“ w którym rozwija poeta wiekopomne czyny wielkiego męża. Albo np. gdy kładzie w usta Don Bertranda (*El casamiento en la muerte*) taki opis Hiszpanów: „Słuchaj, Karolu, słów starego Bertranda. Hiszpania to kraj straszny, nieprzystępny i górzysty; naród, który w niéj mieszka jest energiczny, stworzony do oręża, nieujarzmiony i dumny. Strzeż się iluzyj!... Tu chodzi o Bernarda de Carpio, który się gotuje do pomszczenia krzywd swoich z dzielnemi Asturyjczykami i Leonem. Ci ludzie nie lękają się ani skwaru ani mrozu“......

Albo cóż wyrówna entuzyazmowi, jaki rozbudza w Hiszpanach proroctwo o wielkości ich narodu, obwieszczone śpiącemu Bernardowi de Carpio przez duchy, które występując jako personifikacye Kastylii i Leonu przepowiadają rycerzowi świetne zwycięztwo nad wrogami:

— Bernardzie, obudź się i do broni!... wołają duchy, znikając.

— Tak!.. budzę się, Kastylio!. tak.. budzę się, Leonie!.. Aniołowie święci!.. co znaczy ta niebieska wizya!.. Nadeszła chwila zdobycia pancerzów i szyszaków złoconych!. Święty Jakóbie!.. Towarzysze!.. do broni!.. Jestem Bernard de Carpio!...

---

(1) Carriere: Die Kunst in Zusammenhang der Culturentwickelung und die Ideale der Menschheit. Leipzig 1873 IV—408.

Typy męzkie odznaczają się w utworach L. de Vegi rycerskością. Oto próbka: Fabius (*La fuerza lastimosa*) z polecenia króla aresztuje przyjaciela swego Henryka.

— Proszę cię o twoję szpadę!...

— Moję szpadę?..

— Tak, hrabio, błagam cię o nią.

— Nie oddałbym jéj nikomu innemu prócz ciebie. Od czasu jak jestem twym przyjacielem, używałem jéj zawsze na twe usługi. Oddaję ci ją teraz. Chętnie można oddać szpadę temu, komu oddałoby się życie!...

— Ty jéj nie oddajesz, hrabio, lecz ją zamieniasz na moję. Taki jak ty człowiek nie może być w chwili gdy go aresztują rozbrojony. Przyjmuję twą szpadę, ponieważ jesteś moim więźniem, lecz oddaję ci moję jako zakład przyjaźni, którą obecnie czuję dla ciebie więcéj niż kiedykolwiek.

W innóm miejscu np. (*Amar Sin Saber a quien*) Don Juan znalazł się przypadkiem na miejscu odbytego przez nieznanych sobie ludzi pojedynku, w którym jeden z zapaśników został zabity. Szczęśliwy rywal uciekł w porę a policya, znalazłszy obok trupa, przechodzącego tamtędy Don Juana, wzięła go do więzienia. Ponieważ tłómaczył się, że nie on był przeciwnikiem zabitego, więc szukano nieustannie winnowajcy, który wreszcie schwytany staje do naocznéj konfrontacyi z Don Juanem.

— Czy uznajesz pan tego człowieka za mordercę Don Pedra, spytał sędzia.

Sytuacya drażliwa, rzekł do siebie zapytany. On to jest niewątpliwie, ależ byłoby podłością świadczyć o tém... Bił się dzielnie, jak człowiek honorowy, gubić go więc nie mogę. Wolę zostać w więzieniu, dopóki się o niewinności mojéj nie przekonają. Poczém, zrobiwszy to rycerskie postanowienie, rzekł głośno:

— Przypatrywałem się kawalerowi temu z jak największą uwagą, to nie on. Tamten był starszy i miał brodę czarniejszą a cerę bledszą. Możecie uwolnić tego pana. Winnego uwolniono, a Don Juan pozostał w więzieniu.

Albo np. co to za rycerska, wspaniała postać tego Don Alonza (Kawaler Olmedo). Uszczęśliwiony miłością kochanki wraca od niéj śród nocy, aby rodzicom donieść że żyje, że cało i zwycięzko stoczył walkę z bykami. Śród drogi odbiéra kilkakrotne ostrzeżenia, aby się wrócił, gdyż czeka na niego zdradziecki rywal i grozi mu śmiercią. Przeczucia nawet złowieszcze zwiastują mu bliskie niebezpieczeństwo, ale czyż podobna się wracać!..

— Wróć się, panie, nie przejeżdżaj tego strumienia, prosi rolnik.

— Krzywdziłbym imię swoje, gdybym się lękał. Cóżby powiedziano o mnie, gdybym się cofnął. Po chwili rolnik zniknął i nagle zabrzmiał głos w ciemności.

— Kto tam?...

— Człowiek!... Czy go nie widzisz — odpowiada śmiało Don Alonzo.

— Stój! ..

— Jeśli potrzebujecie czego, panowie, to proszę do mnie — mieszkam ztąd niedaleko.

— Złóż broń!...

— A to na co?...

— Aby ją oddać.

— Czy wiesz kto jestem?...

— Kawaler d' Olmedo, pogromca byków.

— Nędznicy!... nie przestraszy mię wasza liczba.

— Tu nie chodzi o mą odwagę, lecz o śmierć twoję. Ognia!...

— Zdrajcy—rzekł Alonzo, ugodzony śmiertelnym ciosem — bez broni palnéj nie wydarlibyście mi życia?...

Obok dzielności charakteru, mężczyźni L. de Vegi odznaczają się bezgraniczném posłuszeństwem i czcią dla królów.

— Powstań — rzekł król do Busta, klęczącego u stóp monarchy (Estrella...).

— Pozwól mi tak pozostać. Jeśli królom taką cześć winniśmy, jaka się *ołtarzom świętym* okazuje; to u nóg twych, najjaśniejszy panie, jest moje właściwe miejsce.

W „Losie opłakanym“ aresztowany z rozkazu króla Henryk nie pyta wcale o przyczynę tego uwięzienia, pomimo swéj niewinności, „gdyż nie godzi się pytać królów o źródło ich rozkazów.“ Tenże sam Henryk posłuszeństwo swoje dla króla posuwa tak daleko, że zgadza się na zamordowanie najzacniejszéj żony, aby zaślubić córkę królewską, która wskazując Henryka jako sprawcę swéj niesławy, domaga się wejścia z nim w związki małżeńskie.

Król. Dziś wieczór będziesz mężem méj córki.

Henryk. Królu!...

Król. Ani słowa!... Fabius!...

Fabius. Najjaśniejszy panie!...

Król. Pójdziesz z hrabią!... Niechaj sto ludzi otoczy jego mieszkanie.

Henryk. Jeśli już śmierć ta jest konieczna, uwolnij mię panie od skandalu. Wszakże ja korzyść odnoszę— straż więc zbyteczna— ale

tajemnica powinna być zachowana, ze względu na króla... na infantkę!...

Król. Upozoruj więc śmierć tę według woli i wróć natychmiast.

Po chwili niezmiernie dramatyczna scena odgrywa się w mieszkaniu żony Henryka, który przybywa do Izabeli wraz z Fabiusem, aby jéj zwiastować śmierć blizką.

Izabela (widząc ich pomieszanie). Cóż to?... Co się stało?... Przestraszacie mię panowie!...

Fabius. Nie wiem, pani, czy będę miał dość odwagi......

Izabela. Płaczecie?... i ty Henryku nie śmiesz mówić?... Cóż się stało, mój Boże?... Czyżby mój widok łzy wam z oczu wyciskał?...

Henryk. Niestety!...

Fabius zdobywa się wreszcie na odwagę i wyznaje Izabeli całą prawdę.

Izabela. Więc to jest ów sekret—owa fatalna tajemnica?... Ależ ja sądziłam, że Henryk na śmierć skazany!... Żyj, mój Henryku, żyj długie lata!... Gdyś ty przy życiu, cóż znaczy koniec méj egzystencyi!... Ja nie z boleści płaczę: to radość, wywołana wzniesieniem się hrabiego, te łzy wyciska. Skoro jednak masz zostać królem — błagam cię o jednę łaskę: wszak to przywiléj panowania!... Ty mi jéj nie odmówisz, Henryku, wszak prawda?... Mam z tobą troje dzieci; nie chcę, żeby poznały obcą matkę!... Wypraw je do Hiszpanii, do hr. Barcelony, mego ojca. Dzieciom osieroconym lepiéj będzie przy dziadku, niż przy ojcu!... Ty to zrobisz, Henryku, przez pamięć minionego szczęścia, w imię chwil dawnych naszéj miłości!... Jeśli Bóg, mimo grzechów moich powoła mię do siebie; modlić się doń będę za ciebie, mój najmilszy, i za infantkę, żonę twoję a mą królowę.

Kiedy zrozpaczony a słaby Henryk przyrzeka spełnić jéj wolę, Izabela tak mówi daléj:

— Jeszcze jednéj łaski, panie, ostatniéj!...

— Jakiéjże łaski żądać możesz od swego kata.

— Pozwól mi ujrzéć swe dzieci.

— Idź, Fabiuszu, lękam się, czy zniosę ten widok; ależ niebo samo pragnąć musi, żeby takie męczeństwo miało aniołów za świadki.

Po chwili wraca Fabius z dziećmi.

Izabela. Posłałam po was, dziatki moje, żebyście usłyszały ostatnie moje słowa, pójdźcie tu do mnie... jeszcze bliżéj!... Mam wkrótce umrzéć, moje dzieci, nie z własnéj winy... nie za zbrodnie... Umieram... bo wszystko co się rodzi umiérać musi. Oddaję duszę moję Bogu, ciało ziemi a łzy hrabiemu, który kiedyś będzie ich potrzebował. Błagam cię, mężu, abyś mi przebaczył, jeżlim kiedy w czémkolwiek zawiniła. Związek nasz trwał niedługo... śmierć nas rozdziela.

Nie mam nic do przekazania!... Wyście dzieci jedyném mojém bogactwem. Don Juanie, tyś już rozsądny, posłuchaj ostatniéj méj woli... Wzbraniam ci zapytywać kiedykolwiek hrabiego o przyczynę méj śmierci... Złamany fatalną koniecznością — musiał jéj uledz!... Zapomnijcie o dniu dzisiejszym!...

Henryk. Izabelo... dosyć...

Izabela. Juanie!... Będziesz odtąd ojcem dla sióstr swoich. Mam nadzieję, że będziesz posłuszny.

Don Juan. Gdzie ty idziesz, Senoro?...

Izabela. Na śmierć, moje dziecko.

Don Juan. Weź mię z sobą, matko.

Henryk. Skróć to rozdzierające pożegnanie!

Don Juan. Dla czego każesz jéj umierać, ojcze?...

Izabela. Nieszczęście jego i los fatalny chcą tego. Nie proś nigdy Boga, aby pomścił śmierć moję!...

Don Juan. Jeżeli Bóg ją widzi, na cóż zda się nasze milczenie.

Henryk. Markizie, zabierz te dzieci.

Don Juan. Ach, mój ojcze, mój biedny ojcze!!...

Izabela. Uściskaj mię, Don Juanie... i ty Laurencyo i ty Lizardo, sierotko mała, żegnam was po raz ostatni!......

Wszystkie dzieła L. de Vegi noszą na sobie charakter wybitnie romantyczny, posiadają jakiś wdzięk niewymowny, jakąś niewysłowioną świeżość i naiwność i ów czar poezyi, która najdrobniejszy przedmiot ponętną barwą i kwiatami przystroić umié.

Wiedząc, że ziemia nie jest ani padołem płaczu, ani ścieżką kwieciem usłaną i że wskutek tego życie człowieka splata się zawsze z łez i uśmiechów, L. de Vega, każdy swój najpoważniejszy nawet dramat ożywiał szczęśliwym prawie zawsze komizmem. Reprezentantami tego żywiołu są zwykle sługusi (gracioso), za pan brat ze swemi chlebodawcami przestający i zawsze niewyczerpanego humoru pełni. Citron (Amar sin saber a quien), Beltran (El acero de Madrid), Zulemilla (Piérwszy Fajardo), Pelagiusz (Najlepszym sędzią król) i setki innych—są to postaci, które piérwszorzędną rolę w komedyach odgrywają. Że im na dowcipie nie zbywa, oto przykład. Kiedy Sancho (El mejor alcalde el rey) rozpacza nad losem swéj kochanki, porwanéj przez zuchwałego magnata, sługa jego Pelagiusz zapewnia pana, że Elwira nie jest zhańbiona.

— Zkąd wiesz o tém — spytał Sancho.

— Gdyby był Elwirę już zhabił, byłby ją nam przecież odesłał — odpowiada dobrodusznie famulus.

Wszystkie sztuki L. de Vegi przeplatane są zawsze żartem lub ironią, ale dowcip jego nosi tylko charakter niewinnéj wesołości, nie

przechodzącéj nigdy w gorzką satyrę. Jest to kardynalna różnica tego pisarza od Moliera n. p., albo innych komedyopisarzów. Nigdy on nie szydzi ze społeczeństwa w którém żyje i nie stara się okrywać ludzi śmiesznością dla nauki lub przykładu, a malując przeróżne typy, nie ma wcale na myśli ani poprawy, ani tém mniéj ich kary.

Komedye duchowne L. de Vegi są w takim samym stopniu wizerunkami hiszpańskiéj religijności owego czasu, jak jego właściwe komedye świeckie wiernemi fotografiami ówczesnych obyczajów. „W Literaturze,“ mówi Rettel, gruntowny znawca Hiszpanii (1), „nie znam trudniejszego zadania jak to, na które L. de Vega się odważył i pewno tą drogą nikt by się za nim puścić nie ośmielił. Jakiéj wiary, a nawet powagi trzeba, aby podobne traktować przedmioty; jakich zdolności, aby chłodem pedanckich alegoryj nie zmrozić publiczności; jakiéj siły twórczéj, ażeby ożywić teologiczne abstrakcye. Wszystkie te figury interesują jak najrealniejsze osoby; słuchacz i czytelnik z natężeniem czeka rozwiązania, zapala się entuzyastycznie porwany ich akcyą i raduje najsilniéj szczęśliwém rozwiązaniem.“

Reasumując to wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli przyznać musimy z Schackiem, że L. de Vega błyszczy wszędzie ogniem geniuszu, który mniéj lub więcéj wszystkie jego dzieła przenikał. Zarówno w całości, jak w szczegółach okazuje się wszędzie skończonym mistrzem, wszędzie ożywia nas najświetniejszém bogactwem fantazyi, najdobroduszniejszym i najmilszym humorem, szlachetnością i czystością sposobu myślenia i wzrokiem, nawskróś przeszywającym głębie duszy. Czytając jego utwory wkraczamy w świat zupełnie nowy, poetyczny; atmosfera, jaka tu nas otacza, jest tak podniosła, tak czysta, iż zdaje nam się, że w obec takich ludzi zaczynamy nabiérać lepszego wyobrażenia o swéj naturze.

Komedye Vegi — to nieprzejrzana okiem wystawa obrazów, namiętności i dążeń ludzkich, ich miłości i nienawiści oraz powikłań losowych. Co za bogata i potężna, a zawsze z innéj strony uderzająca uwagę naszę różnorodność wydarzeń!... Co za wdzięk i słodycz w scenach galanteryi i miłości, jaki swobodny humor w żartach. Co za rozmaitość w cudownych igraszkach trafu!.. A we wszystkich tych obrazach co za poprawność ogólnych rysów!... Co za blask oświetlenia... jakie ciepło kolorytu!...

Indywidualne życie przebija u L. de Vegi daleko więcéj niżeli u Kalderona. Hiszpanie krzywdzą siebie i swój dramat, twierdzi

(1) „Gazeta Warszawska“ 1858 r. Nr. 227.

sprawiedliwie Carriere (1), uważając za reprezentanta Kalderona, tonącego w mgłach mistycznych; starsi poeci są swobodniejsi od niego i świeżsi.

Powodzenie swoje zawdzięczał L. de Vega do pewnego stopnia poetycznéj sztuce pisania. Czar jego wiersza, czasem niedbałego, ale prawie zawsze świeżego, potoczystego, jest ogromny, a wszystkie możliwe miary wierszowe z jednakiém uprawiał powodzeniem. Wiersz L. de Vegi posiada zadziwiającą harmonią, łatwość i elegancyą. Styl zaś zarówno naturalny jak stosujący się do przedmiotu jest zawsze szlachetny, pełen artyzmu i dosadny. Prawdopodobnie żaden komiczny poeta nie umiał tak szczęśliwie połączyć godności poezyi z lekkim a żywym dyalogiem. Dykcya jego posłuszna jest woli mistrza i przechodzi zręcznie od lekkiéj i figlarnéj rozmowy przez wszystkie stopnie wyrażenia aż do najwyższéj poetycznéj siły.

Komedye późniejszych poetów przewyższają utwory Lope de Vegi niektóremi wybitnemi zaletami; Tirso de Molina pełnością humoru i kolorytem pojedyńczych obrazowych sytuacyj; Kalderon matematyczną kunsztownością planu, Alarcon wybornemi obrazami obyczajów i charakterów; lecz w harmonii wszystkich wzmiankowanych zalet, w zespoleniu bogatych i uderzających szczegółów, w dzielnie ukształtowanéj budowie całości, w któréj zarówno charakterystyka jak intryga walczą o lepsze — nikt Lope de Vegi nie przewyższył.

---

(1) Loc. cit 398.

Julian Adolf Święcicki.

(D. n.)

INSTYTUCYE ZIEMSKIE

W CESARSTWIE ROSYJSKIÉM

Samorząd miejscowy, jego organa, charakter i środki.

I.

Organizacya zarządu miejscowego (prowincyonalnego) w guberniach wielkorosyjskich, która ma być rozciągnięta na gubernie zachodnie a następnie i na Królestwo Polskie, opiéra się na rozdziale saméj sfery działalności między odrębne organy dwu żywiołów: czysto administracyjnego (rządowego) i ziemskiego (społecznego). Wprawdzie dwa te pierwiastki w każdém państwie biorą udział w zarządzie miejscowym; ale właściwość ustroju rosyjskiego polega na tém, że nie organy zarządu miejscowego złożone są z kombinacyi obu wspomnionych żywiołów w celu zobopólnego kierowania pewnemi sprawami, lecz naodwrót same sprawy, same przedmioty zawiadywania rozdzielone są między administaracyą rządową z jednéj, a reprezentacyą ziemską z drugiéj strony. Innemi mówiąc słowami, na zachodzie widzimy mieszany z dwu pierwiastków (rządowego i społecznego) skład zarządu miejscowego, zawiadujący wspólnemi sprawami; kiedy w Rosyi znajdujemy przeciwnie, że w organizmie zarządu, oba żywioły, koronny i społeczny, ustanowione są całkiem odrębnie, że władze rządowe zawiadują jednemi sprawami, ziemskie zaś (i miejskie) innemi. Tym sposobem konieczny między obu organami związek występuje jedynie w formie pomocy udzielanéj rozporządzeniom ziemstw w sferze ich atrybucyi przez administracyą państwową oraz w poddaniu działalności ziemskiéj kontroli wyższéj rządowéj administracyi.

Łatwo sobie wystawić charakterystyczne cechy obu wspomnianych typów ustroju miejscowego zarządu. W piérwszym, odrębność składowych pierwiastków nie przeszkadza jedności w działaniu.

Władza wykonawcza służy osobom, które albo mianowane są przez rząd, albo znajdują się w zależności od mianowanych przezeń prezydentów lub prefektów. Rozważanie zaś wszystkich spraw dotyczących interesu miejscowego, rozkład ciężarów, ułożenie budżetu, wybór osób na urzędy obiéralne, uchwalanie obowiązujących dla całéj ludności i administracyi miejscowéj przepisów a wreszcie i kontrola nad całym biegiem spraw, wszystko to należy do rad zarządu miejscowego, różnych stopni, złożonych z wybiéralnych przedstawicielów społeczeństwa. Drugi typ organizacyi, jak go widzimy w całości zarządu miejscowego (koronnego i ziemskiego) w Rosyi, t. j polegający na odrębném, samodzielném istnieniu obu pierwiastków, każe przypuszczać podwójne zarządy, a zarazem nieuniknioną zależność jednych od drugich, tylko że nie wzajemną. Niedogodności tego systematu mogły być usunięte jedynie o tyle o ile można było; po piérwsze: rozgraniczyć ściśle sferę działalności jednych od drugich instytucyj i powtóre nadać instytucyom reprezentacyjnym dostateczną samodzielność w zakresie nadanych im przez ustawę atrybucyj.

Przedewszystkiém tedy należy rozważyć o ile było możliwe ścisłe określenie sfery działalności ziemstwa, o ile odrębne istnienie instytucyj ziemskich jako osobnych organów społecznych wydzielonych z ogólnego zarządu spraw miejscowych mogło im zagwarantować odpowiednią siłę żywotną oraz ten stopień samodzielności, który jest niezbędny do zarządzania jakiemikolwiek sprawami. Ma się rozumiéć samo przez się, że przy rozpatrywaniu położenia sprawy ziemskiéj spotkamy się z pewnemi brakami. Są one nieuniknione w każdéj sprawie, cały téż sereg rozległych reform, które wprowadzone zostały w Rosyi w ciągu jednego pięciolecia od r. 1861 do 1866 nie mógł się naturalnie od nich ustrzedz. Lecz jednocześnie musimy z góry zaznaczyć, że już samo powołanie przedstawicieli ludności do udziału w zarządzie sprawami miejscowemi w reformie ziemskiéj, a przez nią i w wykonywaniu sądownictwa pokojowego, bez względu na formę urzeczywistnienia tego udziału, stanowi olbrzymi krok naprzód i niewątpliwy postęp w obec dawniejszego stanu rzeczy. Doniosła ta reforma nie na całe jednak państwo rozciągniętą została: nie korzystają z niéj ani gubernie zachodnie Cesarstwa, ani Królestwo Polskie; znajdują się one przez to jeszcze w tém samém położeniu, którego niedogodnościom w guberniach wielkorosyjskich rząd przez wprowadzenie instytucyj ziemskich zapobiedz nadal uznał za konieczne i pożyteczne. Z dalszéj osnowy pisma naszego okaże się, że zarówno konieczna potrzeba tych instytucyj, jak i rzeczywiście płynące z nich pożytki nie podlegają najmniejszéj wątpliwości; z tego

przeto nasuwa się naturalny wniosek, że rozciągnięcie prawa o ziemstwie na Królestwo Polskie i gubernie zachodnie pomyślnieby oddziałać musiało na dobrobyt tych krain.

Atoli gdy rzetelne zaznajomienie z jakimkolwiek przedmiotem nie jest możliwe bez krytycznego poglądu, dla tego w tém tylko znaczeniu prosimy przyjąć to wytknięcie braków, bez którego niemożliweby było wyjaśnienie saméj natury ziemskiéj działalności tak jak ię ona w rzeczywistości przedstawia.

Sferą działalności instytucyj ziemskich w następujący sposób określa ustawa z dnia 1 Stycznia (v. s.) r. 1864. „Celem zawiadywania sprawami dotyczącemi miejscowych *gospodarczych* dogodności i potrzeb każdéj gubernii i każdego powiatu ustanawiają się instytucye ziemskie gubernialne i powiatowe.“ Potém idzie w ustawie wyliczenie przedmiotów, wchodzących w zakres atrybucyi zarządu ziemskiego. Tu należą: zarząd majątkami, kapitałami i pieniężnemi poborami ziemstwa; urządzanie i utrzymanie gmachów i dróg zostających pod opieką ziemstwa; zabezpieczenie środków do życia na wypadek głodu (1); zarząd zakładami dobroczynnemi; sprawa wzajemnego ubezpieczenia gubernii; starania około rozwoju miejscowego handlu i przemysłu; udział głównie pod względem gospodarczym i w oznaczonych granicach w sprawie oświaty ludowéj, zdrowia publicznego i więzień; pomoc w zapobieganiu zarazie na bydło; zabezpieczanie zasiewów od szarańczy i innych szkodliwych owadów i zwierząt; wypełnianie włożonych na ziemstwo obowiązków w zakresie zarządu państwowego (cywilnego i wojskowego); udział w sprawach służby pocztowéj; rozkład państwowego podatku gruntowego, ustanawianie, rozkład i wydatkowanie miejscowych, specyalnych poborów, gubernialnych i powiatowych; dostarczanie (za pośrednictwem władzy gubernialnéj) rządowi wiadomości dotyczących miejscowych potrzeb ekonomicznych i robienie co do nich (tąż drogą) przedstawień; wreszcie dokonywanie wyborów.

Zanim zwrócimy uwagę na ustrój organów ziemskich, należy zastanowić się nad zamieszczonéni w ustawie określeniem roli instytucyj ziemskich. Według tego określenia byłaby ona tylko *gospodarczą* (choziajstwiennyja). Lecz już z przytoczonego wyliczenia czytelnik

---

(1) W Cesarstwie istnieje nieznana u nas instytucya społeczna, mająca na celu zabezpieczenie ogółu ludności od klęski głodowéj. W oznaczonych miejscowościach znajdują się magazyny zbożowe, do których utrzymywania i napełniania zbożem obowiązana jest ludność. Na oznaczenie tego posiada język rosyjski wyraz „narodnoje prodowolstwije,“ nie mający odpowiadającego mu w polskim. (Przyp. Red.)

widzi, że instytucye ziemskie z woli samego prawa nie są bynajmniéj wyłącznie gospodarcze, jeżeli tylko nie będziemy wyrażeniu temu nadawali zbyt obszernego znaczenia; opieka nad ubogimi a nawet środki zaradcze przeciw głodowi, oraz działalność budownicza a szczególniéj sprawy sanitarne i udział w urządzaniu szkół, są to funkcye, których gospodarczemi we właściwém znaczeniu nazwać wcale nie można.

Co się tyczy samodzielności instytucyj ziemskich, to już przy opracowaniu reformy konieczność nadania im jéj, wprost przyznana została. W pracach komisyi, któréj poruczone było ułożenie ustawy, wyrażony został pogląd następujący: „jeżeli gubernia i powiat uznawane są pod względem miejscowych interesów gospodarczych za odrębne, posiadające pewną samodzielność jednostki, to instytucyom ziemskim, stanowiącym ich reprezentacyą, należy nadać rzeczywistą i samodzielną władzę w zarządzaniu sprawami gospodarstwa miejscowego powiatu, i gubernii.“ Ale właśnie w tém leży szkopuł, że interesów gospodarczych niepodobna ściśle odgraniczyć od spraw zarządu ogólnego. Jakoż, z jednéj strony sfera atrybucyi ziemstwa, jakeśmy to widzieli, nie redukuje się wyłącznie do spraw gospodarczych, z drugiéj zaś i miejscowa państwowa administracya nie była i nie mogła być usunięta od wszelkiego udziału w tych sprawach. Widać to już z samych słów ustawy, według których do praw i obowiązków ziemstwa należy *udział* w sprawie oświaty narodowéj, zdrowia publicznego i więzień, oraz *pomoc* przy zapobieganiu zarazie na bydło, przy zabezpieczeniu zasiewów i t. d. Jeżeli ziemstwom co do tych spraw przyznano udział i pomoc, to samo przez się z tego wynika, że w takich, choćby gospodarczych sprawach, pozostawiono udział i pomoc drugiéj stronie, t. j. miejscowéj administracyi rządowéj.

Tak więc zupełne odgraniczenie pod względem rodzaju spraw jest niemożliwe. Wszelako na tém nie koniec. Wydzielone z ogólnego zarządu instytucye ziemskie musiały pomimo to pozostawać z niemi w pewnym związku, a przy odrębnéj ich egzystencyi związek ten jedynie przez poddanie ich nadzorowi naczelnika gubernii mógł być ustanowiony. Nadto, ponieważ ziemstwo postawione jest po za obrębem ogólnéj administracyi, dla wykonania zatém swych rozporządzeń musi, bądź co bądź, uciekać się do pomocy administracyi rządowéj. Tak np. ziemstwo ma prawo nakładania na mieszkańców opłat, ale egzekwować je może tylko za pośrednictwem policyi. Taka organizacya nie mogła w praktyce osiągnąć celu zamierzonego przez komisyą t. j. nadać ziemstwu „rzeczywistą samodzielną władzę.“ Nie będąc organem ogólnego zarządu, nie mogło ziemstwo otrzymać

rzeczywistéj władzy; samodzielność jego jest ograniczona z dołu uciekaniem się do pomocy policyi, z góry zaś—poddaniem go kontroli gubernatora.

Wprawdzie i rządowe instytucye, prócz właściwéj policyi, zwracają się do téjże o wykonanie swych rozporządzeń; lecz one przecie stanowią cząstkę tylko jednego i tegoż samego organizmu administracyjnego a nie odrębne organizmy. Komisya zaś, która opracowywała ustawę o instytucyach ziemskich, miała właśnie na celu wytworzyć z nich odrębne organizmy społeczne. „Instytucye ziemskie," rozumowała komisya, „nosząc na sobie charakter miejscowy i społeczny, nie mogą oczywiście wejść w skład rządowych gubernialnych lub powiatowych instancyj i nie mogą też ulegać hierarchicznéj podwładności służbowéj, ani też mieć w zależności od siebie jakiéjkolwiek z władz rządowych. Z drugiéj strony ulegając prawom ogólnym *na téj saméj zasadzie* jak rozmaite stowarzyszenia i osoby, mają instytucye ziemskie prawo do pomocy i wykonywania prawnych ich żądań przez osoby i instytucye rządowe." Rozumowanie to było zasadne pod tym względem, że ponieważ nie miano na myśli wcielania instytucyj ziemskich w skład ogólnego zarządu, przeto też nie mogły one w żaden sposób ani ulegać zwierzchnictwu służbowemu, ani też mieć pod sobą jakichbądź organów władzy administracyjnéj. Ale porównanie ziemstw z pojedyńczemi stowarzyszeniami, osobami prywatnemi nie można nazwać zupełnie ścisłém, bo sama przecie komisya miała zamiar nadania im „rzeczywistéj i samodzielnéj *władzy*" w zarządzeniu sprawami gospodarczemi gubrnii i powiatów. A zatém ziemstwo w stosunku do prawa jest czémś zupełnie różném od rozmaitych stowarzyszeń i osób prywatnych; jest ono delegacyą władzy. I rzeczywiście służy mu prawo uchwalania szczególnych i miejscowych podatków t. j. jedna z najistotniejszych atrybucyj władzy.

Pierwotnie cała kwestya mogła się przedstawiać w sposób następujący: władza rządowa powołała do pomocy sobie w sprawach zarządu miejscowego samychże mieszkańców; w jakiéjże organizacyi to współdziałanie dwu pierwiastków, administracyjnego i społecznego, mogło mieć najwięcéj jedności i siły? Czy w takiéj, że administracya miejscowa połączyłaby się z reprezentantami społeczeństwa w jednych instytucyach dla wspólnego kierowania jednemi i temi samemi sprawami, przyczém każdy pierwiastek odgrywałby właściwą mu rolę: jeden zajmując się rozpatrywaniem spraw i kontrolą, drugi zaś—wykonywaniem? Czy też organizacya ta ma być tego rodzaju, że dla zamieszczonego współdziałania same sprawy należy rozdzielić według ich istoty na niegospodarcze i gospodarcze, i każdy ze współdzia-

łających pierwiastków uorganizować w osobną instytucyą; z których jedna, społeczna, ulegałaby z konieczności kontroli wyższéj władzy administracyjnéj? W żaden sposób nie można zaprzeczyć, że pierwsza organizacya przedstawiałaby więcéj dogodności, ponieważ miałaby w sobie więcéj jedności, bo w niéj pierwiastek społeczny posiada' by więcéj rzeczywistéj władzy w zarządzie sprawami miejsco- których ścisły podział na gospodarcze i niegospodarcze n możliwy.

Odrębne istnienie instytucyj ziemskich najmniéj odpowiada . sadniczemu poglądowi saméj komisyi, która ją opracowywała a mianowicie, że „gubernia i powiat uważane są pod względem miejscowych, gospodarczych spraw za osobne, za mające pewną samodzielność jednostki. Interesa gubernii i powiatu, choćby tylko gospodarcze, powierzone są obecnie nie całkowitym organom, które reprezentowałyby gubernią i powiat jako odrębne całości, ale instytucyom dwojakiego rodzaju, przyczém o zupełnéj samodzielności stron obudwu nie może być mowy, bo jedna z nich koniecznie musi być silniejsza od drugiéj. Ale i tam nawet, gdzie poszczególne instytucye ziemskie występują z pewną samodzielnością, wywołują inną jeszcze niedogodność. W samych już poglądach komisyi przeprowadzona była zasada wyłączenia władzy administracyjnéj, od spraw powierzonych ziemstwu. Przy tém komisya tak rozumowała: „Doświadczenie nauczyło, że udział dwu, różnych co do swéj zasady władz w zarządzie miejscowemi sprawami gospodarczemi nie przynosi wielu pożytecznych rezultatów i doprowadza albo do zupełnego prawie zniesienia prawnego wpływu jednéj z nich na przebieg spraw, albo do sporów o atrybucyą i wzajemnego antagonizmu organów jednéj i téj saméj władzy, antagonizmu, wywołującego zamieszanie i niedołęztwo w działalności; albo wreszcie obustronne usunięcie ich od należytego wypełniania obowiązków.“ Wszystko to było zupełnie słuszne, ale z tego wypływałoby daleko logiczniéj połączenie pierwiastków administracyjnego i społecznego w jednych instytucyach dla wspólnego zarządu wszystkiemi sprawami, aniżeli stworzenie instytucyj współrzędnych, i do tego instytucyj różnych w zasadzie swojéj dla zawiadywania osobnemi rodzajami spraw miejscowych. Rodzaje spraw tych z natury swéj nie mogą być dokładnie rozdzielone a zatém i zarząd niemi każe przypuszczać wzajemną pomoc obu władz, z czego znowu wypływają wszystkie tylko co wyliczone niedogodności. Praktyka rzeczywiście wykazała z biegiem czasu niemało przykładów, albo uszczuplenia prawnego wpływu jednéj ze stron na załatwianie spraw, albo sporów a nawet wzajemnego antagonizmu, albo też obu-

stronnego uchylania się pod pretekstem z jednéj strony, że „to rzecz ziemstwa,“ a z drugiéj, „że my nic nie możemy zrobić.“

II.

Trzeba się rzeczywiście zgodzić, że zasadniczemu poglądowi komisyi o „odrębności“ guberni i powiatu jako samodzielnych jednostek, daleko więcéj odpowiadała taka organizacya zarządu miejscowego, jaką widzimy n. p. w Prusach. System zarządu miejscowego uległ tam w ostatnich latach zupełnéj reorganizacyi i obecny ustrój istnieje na mocy prawa z r. 1872 o zarządzie powiatowym i z r. 1875 o zarządzie w prowincyach. Zasadniczą cechą wyróżniającą ten systemat od organizacyi ziemstw w Rosyi jest zupełna jednolitość niższego zarządu miejscowego, poczynając od powiatu (Kreis). W zarządzie prowincyi (gubernii), istnieje jeszcze rozdwojenie, w tém znaczeniu, że nadprezydent (gubernator) nie reprezentuje władzy wykonawczéj sejmu prowincyonalnego, lecz przeciwnie strzeże legalności jego postanowień. Ale atrybucye tego sejmu prowincyonalnego , odpowiadającego zgromadzeniom ziemskim gubernialnym, są daleko większe aniżeli w Cesarstwie, i nie jest on wykluczony ze składu ogólnego zarządu; jest on bowiem i zgromadzeniem ziemskiém i radą gubernatora zarazem. Zawiaduje wszystkiemi sprawami gospodarczemi bez wyjątku i ma prawo nie tylko wydawać obowiązujące rozporządzenia, ale nawet uchwalać kompletne statuty prowincyonalne. Rozdwojenie występuje na jaw w tém, że organem wykonawczym sejmu prowincyonalnego, jak już było powiedziane, nie jest nadprezydent, ale osobne władze ziemskie: komitet prowincyonalny (gubernialny ziemski zarząd) i dyrektor krajowy (Landesdirector, prezes gubernialnego zarządu ziemskiego) wybiéralny, ale zatwierdzony przez króla. Te to osobne, wybiéralne przez sejm prowincyonalne władze wykonawcze zarządzają sprawami gospodarczemi.

Tak więc i w pruskiéj gubernii występuje rozdwojenie, lubo, powtarzamy, sejm prowincyonalny uważany jest za organ ogólnego zarządu nie zaś za reprezentacyą „osobnych stowarzyszeń,“ albo „osób prywatnych;“ stanowi on przepisy miejscowe dla wszystkich obowiązujące. Rozdwojenie w tym stopniu, w jakim występuje w pruskiéj gubernii, zachowane zostało dla tego, że w prowincyi (gubernii) prawodawca zawsze widział, przedewszystkiém jednostkę rządową a nie społeczną. Ale za to w powiecie (Kreis) — bo okręg regencyjny (Bezirk), pomijamy jako jednostkę nie posiadającą ze względu na jéj formacyą samodzielnego życia — nie ma już żadnego rozdwojenia

Tu, t. j. w powiecie a także w niższych jego poddziałach piérwiastek państwowo-administracyjny i społeczny ściśle są połączone w całkowicie uprawnionych organach ogólnego zarządu wszystkiemi sprawami. Naczelnik powiatu, landrat, skupia w swém ręku władzę wykonawczą zarządu ogólnego zarówno jak ziemskiego. Mianuje go król, lecz zgromadzenie powiatowe przedstawia kandydatów na ten urząd z pomiędzy właścicielów ziemskich i komisarzów obwodowych. Landrat więc jest prezesem zgromadzenia powiatowego i zarazem przez toć zgromadzenie bywa wybiérany. Słowem, jeżeliby w Rosyi władza administracyi państwowéj powierzona była prezesowi powiatowego zarządu ziemskiego, mianowanego przez rząd z pomiędzy przedstawionych ze strony ziemstwa kandydatów, to byłoby to bardzo podobne do tego, co widzimy w pruskim powiecie. Zgromadzenia powiatowe wybiérane bywają podobnie, jak w Rosyi, na trzech stanowych zjazdach wyborczych: właścicieli ziemskich, delegowanych od gmin wiejskich i od miast. Zarząd powiatowy, wybrany przez zgromadzenie powiatowe, nie jest już, jak komitet prowincyonalny, wyłącznie ziemskim tylko organem, lecz ma w swém ręku zarząd i wykonywanie spraw administracyi ogólnéj.

Powiaty dzielą się następnie na obwody (Amtsbezirke), obejmujące kilka gmin miejskich i majątków ziemskich; tu ogólnemi organami władzy rządowéj i społecznego (gminnego) samorządu są: komisarz obwodowy (Amtsvorsteher) i pozostający pod jego prezydencyą zarząd obwodowy. Jak zarząd tak i komisarz są wybiéralni; komisarza wybiéra zgromadzenie powiatowe a zatwierdza nadprezydent, zarząd zaś składa się z reprezentantów gmin wchodzących w skład obwodu. Zarząd obwodowy zawiaduje zarazem sprawami policyjnemi i gospodarczemi. Nareszcie zarząd gminny złożony jest z sołtysa i dwóch ławników, wybiéranych na zebraniach a zatwierdzanych przez landrata, na przedstawienie komisarza obwodowego. Władza policyjna komisarzów obwodowych i sołtysów, choć są oni osobami wybiéralnemi, wykonywana bywa w imieniu króla.

Należy dodać, że wszystkie te władze wybiérane bywają w Prusach nie na trzechlecie, jak w Rosyi urzędnicy ziemscy, lecz na dwa trzechlecia, i że ich samodzielność zabezpieczona jest od wszelkiéj samowoli organów administracyi centralnéj, przez sądy administracyjne, które istnieją w każdym powiecie, okręgu regencyjnym i w każdéj prowincyi, tak, że jest ich trzy stopnie. Sąd taki składa się z członków mianowanych po części przez władzę najwyższą lub naczelne organy administracyjne, poczęści przez reprezentantów miejscowych. Tak n. p. do sądu administracyjnego prowincyonalnego dwu członków mianuje król, trzech zaś — sejm prowincyonalny.

Przyznać należy, że system ten przedstawia zupełnie skończoną całość. Pierwiastki, rządowy i społeczny, łączą się tu w jednych i tych samych organach, a każdy z nich ma swą właściwą rolę, przy czém im niższy stopień zarządu, tém silniéj przeważa piérwiastek społeczny, tak że w dwu najniższych stopniach, obwodzie i gminie (oraz mieście), władza administracyjna całkowicie jest w ręku wybiéralnych reprezentantów ludności.

Ażeby wykazać na czém mianowicie polegają niektóre luki w organizacyi instytucyj ziemskich w Rosyi należało po przedstawieniu ogólnego teoretycznego poglądu stwierdzić toż samo przykładem praktycznym innéj organizacyi. Jeżeli teraz przypomnimy, że w zarządzie miejscowym, tak jak tenże uorganizowany został w Rosyi, górowało właśnie zupełne rozdwojenie piérwiastków, administracyjnego i ziemskiego, począwszy od gubernii a kończąc na najniższych komisarzach obwodowych (stanowoj pristaw), a nawet na *urjadnikach* z jednéj, a gminie (wołost') z drugiéj strony; że instytucye gminne w Rosyi— „wołość“ i gromady miejskie noszą na sobie charakter ściśle stanowy, bo wyłącznie włościański, i nie mają żadnego związku z instytucyami ziemskiemi; że nareszcie kwestye z powodu kolizyi administracyi z ziemstwami wynikające rozstrzyga wyższa administracya; to braki organizacyi rosyjskiéj same przez się na jaw występują.

III.

Już wyżéj przytoczone było określenie celu i sfery działalności instytucyj ziemskich, według ustawy z 1 Stycznia r. 1864. Teraz przyjrzyjmy się składowi tych instytucyj i głównym zasadom warunkującym ich działalność. Instytucye ziemskie dzielą się na gubernialne i powiatowe. Jak w gubernii tak i w powiecie ziemstwo składa się ze zgromadzenia i zarządu. Zgromadzenie gubernialne złożone jest z członków wybiéralnych przez zgromadzenia powiatowe na lat trzy; liczba członków w zgromadzeniu gubernialném zależna jest od liczby członków zgromadzeń powiatowych i oznaczona jest w prawie, począwszy od 15 (w gub. ołonieckiéj) do 100 (w tambowskiéj). W trzech gubernialnych zgromadzeniach ziemskich (petersburskiém, moskiewskiém i chersońskiém) biorą udział członkowie wybrani przez rady miejskie (dumy) Petersburga, Moskwy i Odessy. Na zgromadzeniach gubernialnych przewodniczy gubernialny marszałek szlachty, jeżeli najwyższa władza nie wyznaczyła do tego kogo innego. Zgromadzenie gubernialne wybiéra z grona swojego téż na lat

trzy prezesa i członków zarządu ziemskiego. Członków zarządu bywa od dwóch do sześciu. Pobiérają oni równie jak prezes zarządu z funduszów ziemstwa pensyą, w ilości oznaczonéj przez zgromadzenie gubernialne, któremu prawo pozostawia do uznania: wyznaczyć im pensyą lub téż nie. Członkom jednak zgromadzenia nie może ziemstwo wyznaczać pensyi, bo osobne, uzupełniające prawo z d. 30 Maja 1866 zabroniło zamieszczać w budżecie ciężarów ziemskich jakikolwiek rozchód na rzecz reprezentantów ziemskich.

Zgromadzenie ziemskie powiatowe składa się z członków wybiéranych oddzielnie na zjazdach: właścicieli ziemskich, wyborców miejskich, reprezentantów gromad wiejskich. Aby mieć prawo udziału w tych zjazdach trzeba mieć: co najmniéj 25 lat wieku, nie pozostawać pod śledztwem i sądem, nie być skazanym wyrokiem sądowym lub gminnym i być poddanym rosyjskim. Kobiéty i małoletnich posiadających wymagany cenz majątkowy reprezentują na zjazdach pełnomocnicy lub opiekunowie. Każdy z obecnych nie może mieć więcéj nad dwa głosy t. j. jeden swój, a drugi z upoważnienia. Cenz wymagany jest następujący:

1) W zjeździe właścicieli ziemskich biorą udział osoby, posiadające w powiecie ilość ziemi oznaczoną rozmaicie w różnych miejscowościach, począwszy od 200 dziesiatyn (w wielu powiatach) do 800 (w dwóch powiatach gub. wołogodzkiéj); daléj osoby, posiadające majątek nieruchomy wartości nie niższéj od 15.000 rs., albo zakłady przemysłowe lub gospodarcze równéj wartości, albo z obrotem rocznym od 6.000 rs., następnie pełnomocnicy instytucyj, stowarzyszeń i spółek posiadających takież majątki lub zakłady, nareszcie zaś pełnomocnicy od kilku właścicieli ziemskich, instytucyj lub spółek, posiadających majątek niższy co do rozległości lub wartości od powyższéj normy, ale nie mniejszy od $^1/_{20}$ części téjże normy. Ci drobni właściciele wybiérają od siebie pełnomocników na zjazd wyborczy na osobnym przygotowawczym zjeździe. Należy dodać, że z cenzu gruntowego korzystają właściciele bez względu na to czy ziemia znajduje się w ich bezpośredniém użytkowaniu, czy téż oddana jest włościanom na stałe *użytkowanie* lub wypuszczona komukolwiek w dzierżawę; wyłączają się jednak działy, wykupione przez włościan, i to od chwili zatwierdzenia umowy o wykupno.

2) Na wyborczych zjazdach miejskich biorą udział osoby, mające świadectwa handlowe, fabrykanci i właściciele zakładów przemysłowych i handlowych z obrotem rocznym od 6.000 rs., właściciele nieruchomości miejskich oznaczonéj wartości, która wynosi od 3.000 do 500 rs., według liczby mieszkańców miasta (piérwszą kate-

goryą stanowią miasta mające przeszło 10.000 ludności) i wreszcie pełnomocnicy jak na zjazdach właścicieli ziemskich...

3) Zjazdy wyborcze gromad wiejskich złożone są z wyborców wyznaczonych przez zebranie gminne z ich łona tak, żeby w zjeździe brała udział co najmniéj trzecia część uprawnionych członków zebrania gminnego, i żeby każda gromada wiejska (sielskoje obszczestwo) miała wśród nich przynajmniéj jednego reprezentanta. Zjazdy wyborcze wiejskie odbywają się osobno w każdym rewirze sądowo-pokojowym.

Liczba członków wybiéranych w każdym powiecie przez zjazdy wyborcze od każdego z trzech stanów: właścicieli ziemskich, mieszczczan i reprezentantów gromad wiejskich, określona jest według liczby właścicieli ziemskich, ludności miast i wsi, ilości ziemi i wartości majątków. Stosunek liczebny członków w powiatach jest zwykle taki, że członków z pomiędzy właścicieli ziemskich bywa nieco więcéj niż z pomiędzy ludności wiejskiéj, a z pomiędzy mieszczan mniéj niż z każdego z obudwu tych stanów (rzadka tylko liczba ich przechodzi 10, podczas gdy piérwsze dwa stany przewyższają cyfrę 20). Dla dokładniejszego zrozumienia przytaczamy przykład rozdziału członków według stanów: w powiecie nowogrodzkim od właścicieli ziemskich 20, od gromad wioskowych 17, od miast 8; w riazańskim cyfry te są: 29, 21, 9, w porzeckim (gub. smoleńska) — 14, 11, 3; w królewieckim (gub. czernihowska) 12, 12, 7. W powiatowém zgromadzeniu ziemskiém przewodniczy marszałek szlachty—prezesa zarządu powiatowego wybiéra zgromadzenie a zatwierdza gubernator.

Wyżéj już przedstawiliśmy ogólny zarys spraw, należących do atrybucyi instytucyj ziemskich. Obecnie dość będzie wykazać granicę między sferą działalności ziemskiéj gubernialnéj i powiatowéj. Instytucye gubernialne mają pod swém kierownictwem sprawy, dotyczące wszystkich lub kilku powiatów, a nadto po za temi ogólnemi kwestyami klasyfikują gmachy, drogi, podatki, szpitale i przytułki na gubernialne i powiatowe, zawiadują sprawami dotyczącemi otwarcia jarmarków i przystani, wzajemnego ubezpieczenia, rozdziału między powiaty tych podatków państwowych, których rozkład powierzony jest ziemstwom, rozstrzygają kwestye co do rozkładu podatków powiatowych w razie wynikłych sporów, nareszcie rozpatrują skargi wnoszone na działalności zarządów ziemskich. Powiatowe zarządy ziemskie rozkładają podatki w powiecie, rozdzielają drogi na powiatowe i wiejskie, dają pozwolenia na targi, kiermarsze, utrzymują drogi holownicze i wykonywają dotyczące powiatu rozporządzenie w sprawach ziemskich gubernialnych.

Zgromadzenia ziemskie gubernialne i powiatowe zgromadzają się raz w rok, piérwsze w końcu Grudnia, a drugie we Wrześniu. Termin posiedzeń dla piérwszych wynosi dni 20, dla drugich—10, lecz może być przedłużony za zezwoleniem gubernatora (dla powiatowych) i ministra spraw wewnętrznych (dla gubernialnych). Minister ma również prawo zwoływać i pozwalać na zebranie nadzwyczajnych posiedzeń zgromadzeń ziemskich. Postanowienie zgromadzeń ziemskich co do wielu spraw, wymienionych w prawie, muszą być zatwierdzone przez gubernatora lub ministra spraw wewnętrznych. Wszystkie jednak postanowienia komunikują się gubernatorowi, który powinien w ciągu dni 7 zawiadomić zarząd o tém, że się zgadza na nie lub nie; brak zawiadomienia w tym terminie równoznaczny jest ze zgodzeniem się. W razie niezgodzenia się gubernatora, zgromadzenie ziemskie powtórnie rozpatruje kwestyą i stanowi o niéj ostatecznie. Postanowienie to ulega wykonaniu, lecz gubernator ma prawo, na swą osobistą odpowiedzialność wstrzymać wykonanie tych decyzyj, które uważa za nieprawne, następnie zaś oddaje całą sprawę na rozstrzygnięcie senatu. Też same prawidła istnieją dla stosunków między ziemstwem a ministrem spraw wewnętrznych, temu ostatniemu jednak służy do rozpatrzenia uchwał ziemskich termin dwumiesięczny, poczém w razie niezgodności sprawa idzie do senatu. Zarządy odbywają swe posiedzenia, przez cały czas na który były wybrane. Przedstawienie ziemstw nieuwzględnione przez ministra idą pod decyzyą komitetu ministrów.

IV.

Czy wiele zdziałały do téj pory ziemstwa? Jeżeli zwrócimy uwagę na rozległość ich zadania i na to, że wszystko, co dotyczy dobrobytu publicznego, od wieków leżało odłogiem, uznać wypadnie rzeczywiście, że wszystko, czego dokonały ziemstwa, jest kroplą w morzu. Tak należy rozumiéć głos prezesa zarządu gubernialnego riazańskiego, księcia Wołkońskiego (1), o tém jak stoi sprawa po dziewięcioletniéj pracy ziemskiéj. „Dla komunikacyi wewnętrznéj,“ pisze ks. Wałkoński, „mamy nędzne drogi z nędznemi w połowie mostami i groblami nie zawsze i nie wszędzie możliwemi do przebycia. Na zabezpieczenie od głodu wyjałowione pola i puste, zamknięte magazyny. Dla zachowania zdrowia, czyste powietrze a i to dla większéj

(1) Obzor ziemskoj diejatelnosti Riazanskoj gubernii od 1866 po 1875.

części ludności, po za domem, zaś dla chorych trzy szpitale wiejskie i dwanaście miejskich, z których przy trzech jest tylko po jednym lekarzu na szpital i na cały powiat. Dla wspiérania ubogich, na całą gubernią trzy przytułki na 60 mężczyzn i 50 kobiét. Dla zabezpieczenia od pożarów, ciasno zabudowane zaułki po wsiach i dachy słomiane na drewnianych budowlach. Na zaprowadzenie w tém wszystkiém porządku, ogromne zaległości w podatkach ziemskich i nie całe 400 szkółek elementarnych na 1½ miliona ludności.“ Jednakże skreśliwszy taki obraz zasłużony ten w sprawach ziemskich pracownik, dodaje: „Lecz wstrzymujemy się z oskarżeniem pracowników ziemskich piérwszego dziesiątka lat,“ a następnie wykazuje główną ich zasługę, uorganizowanie saméj pracy włożonéj na ziemstwo.

Nie można zaprzeczyć, że instytucye ziemskie nie ziściły tych nadziei, które obudziła ustawa roku 1864. Ale nadzieje te były przesadzone i nie uwzględniały ani tych środków, jakie otrzymały ziemstwa do wypełnienia swego zadania, ani warunków działalności, w których stawiły je same ustawy z r. 1864. Mała tylko cząstka podatków gubernialnych ziemskich, która istniała do roku 1864, ustąpiona została ziemstwom; nie oddano im téż całego kapitału przeznaczonego na zapasy zbożowe, a przytém w jego użytkowaniu należało się stosować do przepisów ustawy o zapobieganiu głodowi. (Ustaw narodnawo prodowolstwia). Zakłady dobroczynne, dostały się ziemstwu w bardzo opłakanym stanie. W tym względzie ważne są piérwotne sprawozdania; dla przykładu podamy dosłownie dwa podobne świadectwa z piérwszego roku działalności ziemskiéj. Zarząd gubernialny kostromski wyrażał się, że „zakłady dobroczynne zdane były w takim stanie, że odrazu wymagały bardzo ważnych napraw, a kapitałów przekazano mało.“ Petersburski zarząd wykazywał, że kapitału na zapasy zbożowe (prodowolstwiennyj kapitał) zdano zaledwie 50%.“ Zarządy: gdowski, szlisselburski i nowoładogski téjże gubernii tak opisywały stan oddanych ziemstwu szpitali: „gmachy prawie się walą ze starości i zniszczenia, lekarstw, bielizny i innych utensyliów nie tylko że nie było w należytéj ilości, (w gdowskim szpitalu w dniu odbioru onego przez zarząd na 16 chorych nie wszyscy mieli na sobie bieliznę), ale i to, co istniało, było tak złe i stare, że nie mogło być używane.“ Co się tyczy stanu dróg, petersburski zarząd gubernialny tak się wyraził: „ściśle mówiąc, nie masz u nas środków komunikacyi a tylko najnędzniejsze drogi. Naprawiane one bywają sposobem szarwarkowym, lecz ponieważ szarwark gubernialny z natury swéj jest niemożliwy, przeto i naprawa ta tym sposobem nie mogła być urzeczywistniana...... Mosty, rowy i groble zastaliśmy w nie

lepszym stanie; wszystko zgniło i waliło się; nie odebraliśmy ani jednéj dobréj budowli" (1).

Z wyjątkiem tylko co wspomnianych specyalnych funduszów, które okazały się albo niewystarczającemi dla swych właściwych celów, albo też nie ulegały dowolnemu rozporządzeniu ziemstw, jako przeznaczone na wydatki obowiązkowe, ziemstwa na wszystkie inne, przekazane im w ustawie cele otrzymały jedno tylko źródło dochodów, prawo obciążania ludności nowemi podatkami. Ale jednocześnie i podatki państwowe stopniowo wzrastały, a na ziemstwa włożono nowy, ogromny wydatek na utrzymanie władz sądowo-pokojowych. Nadto i prawo ziemstwa nakładania podatków na niektóre majątki zostało ograniczone, prawem z d. 2 Listopada 1866, według którego fabryki ulegają podatkom ziemskim jedynie jako budowle, a świadectwa handlowe i patenty, do sumy nie wyższéj jak 25% i 10% opłat skarbowych. Z tych powodów, rzecz naturalna, że i ten środek pozostawiony ziemstwu t. j. prawo ustanawiania nowych podatków okazał się niedostatecznym w obec włożonych na ziemstwo zadań. Należy tu jeszcze nadmienić, że prawo r. 1866, w samym początku znacznie ostudziło zapał pracowników ziemskich; zobaczyli oni, że nowe podatki ciężyć będą wyłącznie na ziemi, bo prawna norma opodatkowania fabryk, oraz świadectw kupieckich i patentów (25% i 10% podatków skarbowych) zaraz na samym początku działalności ziemskiéj wyczerpana została. A z ziemi czyż można było wyciągnąć dużo więcéj, skoro i tak już jest ona przeciążona podatkami państwowemi, ziemskiemi i gminnemi?

Wszelką działalność można ocenić jedynie po rozważeniu warunków, środków i praw wśród jakich w daném miejscu i czasie działać musiała. Wychodząc z tego względnego punktu zapatrywania się, przyznać należy, że ziemstwo rosyjskie, bądź co bądź, dowiodło siły żywotnéj, rzeczywistéj dbałości o dobro ogółu i, że w obec warunków wśród których się znajduje i środków jakiemi rozporządza, przyniosło ogromne korzyści. Najbardziéj dotykalne rezultaty jego działalności widzimy w sprawie oświaty ludowéj. Nie można nawet przybliżenie orzec: ile było szkół ludowych w Rosyi do czasu wprowadzenia ziemstw. W niektórych relacyach przy rozpatrywaniu dawniejszéj ustawy o szkołach początkowych z r. 1864 głoszono, jakoby liczba szkół urządzonych przez duchowieństwo lub w ogóle znajdujących się przy kościołach dochodziła do 10.000. Lecz przeciwko tym relacyom natychmiast oponowano, że większość tych

---

(1) Gazeta „St. Peterb. Wiedomosti" r. 1867, Nr. 5.

szkół istnieje tylko na papiérze. W sprawozdaniach zarządu duchownego, ogłaszanych corocznie, wykazywano początkowo cyfrę tych szkół dość zbliżoną do powyższéj, bo 9 lub 8.000; potém wszakże stawała się coraz niższą. Ale dokładność tych cyfr jest wątpliwa. Obecnie jednak liczba szkół ludowych jest już dokładnie wiadoma i dochodzi do 24.000, z milionem blisko uczących się. Wprawdzie, jest to bardzo niewiele w porównaniu z ludnością, bo wypada jedna szkoła na 3.000 dusz. Jeżeliby chciéć równać Rosyą z Niemcami, to powinnoby być w Rosyi 100.000 szkół z 12 milionami uczących się. Lecz w każdym razie to, co jest, jest bardzo wiele w porównaniu z tém, co było; bo zamiast problematycznéj cyfry 10.000 szkół, które miały istniéć w r. 1864, jest obecnie pewna 24.000.

Komuż zaś przypisać należy zasługę tego pomnożenia liczby szkół, główną zasługę w sprawie dotyczącéj najpiérwszéj, najważniejszéj potrzeby Rosyi? Ziemstwu, jemu rzeczywiście, a cyfry zaraz nas o tém przekonają.

Lubo udział w sprawie oświaty ludowéj jest dla ziemstw obowiązkowy na mocy saméj o nich ustawy, jednakże wydatki ich na ten cel należą do rzędu „nieobowiązkowych" (1). Jak wyżéj już powołaliśmy się na relacye ziemstw: petersburskiego i kostromskiego, co do tego w jakim stanie odebrały początkowo przeznaczone dla nich fundusze, tak i obecnie w celu wykazania pożytku jaki przyniosły ziemstwa, zatrzymamy się na przykładzie tych samych gubernij. W gub. petersburskiéj ziemstwo daje na oświatę ludową 100.000 rs., w kostromskiéj – około 46.500 rs. W ostatniéj sprawa tak się przedstawia: ogólny wydatek na szkoły początkowe w r. 1876, wynosił 87.711 rs., z tego skarb daje tylko 4.883 rs. 50 kop., co stanowi zaledwie 5½% ogólnego wydatku. Tymczasem ziemstwo daje 46.500, a resztą gromady wiejskie (19.500) i miasta (10.000). Dodać należy, że na skarb pada bardzo znaczny wydatek na utrzymanie dyrektorów i inspektorów szkół ludowych, którzy dają pozwolenia na ich otwiéranie i mają nad niemi nadzór. Ale udział skarbu w samém utrzymaniu szkół w gub. kostromskiéj wynosi tylko 5½% ogólnego wydatku. Rzecz jasna, że sprawa powiększania liczby szkół i podniesienia w nich wykładu (przy średniéj pensyi nauczyciela

(1) Rozchody ziemstwa dzielą się na obowiązkowe i nieobowiązkowe. Piérwsze, ziemstwa w każdym razie ponosić muszą, drugie, o tyle o ile znajdą się fundusze. Do piérwszych należą mianowicie wydatki na pewne cele ogólno-państwowe, których utrzymanie materyalne włożone jest na ziemstwo, n. p. utrzymanie instytucyj sądowo-pokojowych i niektórych władz cywilnych, dostarczanie podwód i t. p. Drugie dotyczą właściwych potrzeb ludności miejscowéj. (Przyp. Red.)

176 rs.) idzie powolnie. Ale pomimo to przyznać należy, że ziemstwo robi co może.

Dla ocenienia jego starań i warunków w obec których te starania mają miejsce, zwrócić się należy do statystyki urzędowéj poborów ziemstwa i jego wydatków (1). Z niéj się okazuje, że ogólny wydatek ziemstwa na oświatę ludową wynosił w r. 1877 4.170.000 rs., a zatém prawie czwartą część wszystkich nieobowiązkowych wydatków ziemstwa.

V.

Trzeba nam się bliżéj zapoznać z cyframi, bo z nich tylko możemy nabyć ogólnego pojęcia o rzeczywistém znaczeniu ziemstwa i otrzymanych przez nie rezultatach. Instytucye ziemskie istnieją w 34 guberniach, ale wiadomości dotyczą tylko 32. Ogólna suma wszystkich podatków ziemskich, ze wszystkich przedmiotów wynosiła w r. 1877 26.693.049 rs. Ale mniejszą tylko ich połową mogło piérwotnie ziemstwo rozporządzać według swego uznania; wydatki obowiązkowe przewyższały nieobowiązkowe. Stosunek ten uległ po raz piérwszy zmianie w r. 1875, i od téj daty wydatki nieobowiązkowe przewyższają obowiązkowe.

Szczupłość granic, które działalności ziemskiéj zostały zakreślone, odbija się między innemi i na ograniczeniu praw ziemstwa do nakładania podatków, na niektóre tylko źródła dochodu. Jasno się to uwydatnia przez samo zestawienie stosunku między rosyjskim budżetem ziemskim a państwowym, z takimże stosunkiem w innych krajach. We Francyi przed wojną pruską na 1.800 milionów franków budżetu państwowego było wydatków gminnych (nie licząc wydatków administracyjnych prowincyonalnych) 612 milionów franków. Tak więc wydatki gminne wyrównywały trzeciéj części budżetu. Przypuśćmy teraz, że ziemskie instytucye wprowadzone zostały na całém terytoryum państwa Rosyjskiego. Suma wydatków ziemskich w 32 guberniach, o których mamy wiadomości, wynosiła w roku 1877 30¹/₄ milionów rubli, przewyższając sumę podatków ziemskich blisko o 1¹/₄ miliona, prawdopodobnie z tego powodu, że część wydatków zaspokojona została z kapitałów oddanych ziemstwu. Przypuśćmy, że po wprowadzeniu instytucyj ziemskich we wszystkich po-

(1) Tablicy ziemskich sborow i raschodow. „Prawitels. Wiestnik" NNr. 109 z r. 1873; 27 z r. 1874; 195 z r. 1877 i 209 z r. 1878.

zostałych guberniach Cesarstwa suma $30\frac{1}{4}$ milionów wzrosłaby do 55 milionów. Porównawszy tę sumę z sumą budżetu państwowego na tenże 1877 rok, wynoszącą 570 milionów rubli, otrzymamy, że budżet wydatków ziemskich nie wyniesie nawet $\frac{1}{10}$ wydatków państwowych, zamiast $\frac{1}{3}$ jak to ma miejsce we Francyi. Z tego wynika to tylko, że niektóre z obowiązkowych wydatków ziemstwa mogłoby państwo wziąć na swój rachunek i nie ograniczać ziemstwa w prawie nakładania opłat.

Mówiliśmy już, że skutkiem wydania prawa z r. 1867 działacze ziemscy zwątpili cokolwiek o możliwości stopniowego podniesienia dochodów ziemskich do poziomu, chociażby w przybliżeniu odpowiadającego zadaniom spoczywającym na ziemstwie. Dalsze podwyższanie podatków ziemskich musiało padać prawie wyłącznie na ziemię, która jednocześnie ulegała brzemieniu ciągle wzrastających podatków państwowych, w Rosyi bowiem każde znaczniejsze podwyższenie podatków państwowych polega na bezpośredniém lub pośredniém obciążeniu masy ludności, t. j. włościan. Za podstawę całego systematu podatkowego w Rosyi służy do dziś dnia praca ręczna, która w rzeczywistości jest źródłem identyczném z większą częścią opodatkowanéj ziemi t. j. z ziemią włościańską.

Jednakże suma podatków ziemskich wzrastała stopniowo. Od r. 1872 do 1877 t. j. w ciągu sześciu lat podniosła się ona z $19\frac{1}{3}$ milionów rubli do $26\frac{2}{3}$ mil. t. j. o $7\frac{1}{3}$ mil. rubli.

Jeżeli obecnie zwrócimy uwagę na rozdział dochodów ziemskich według źródeł, z których płyną, to przekonamy się, że w rzeczy saméj $\frac{3}{4}$ tych dochodów pobiéra się z ziemi. Ziemia składa przeszło $19\frac{3}{4}$ mil., inne majątki nieruchome $3\frac{2}{3}$ mil., a świadectwa handlowe zaledwie $3\frac{1}{3}$ mil. W obec takiego stanu funduszów ziemskich, jest rzeczą naturalną, że wykazany wyżéj wzrost dochodów pochodzi głównie ze stopniowego podwyższania podatków z ziemi. I rzeczywiście z cyfry $7\frac{1}{3}$ mil., o którą dochody z r. 1877 przewyższyły rok 1872, przypada na ziemię przeszło 5 mil. Co do rozkładu podatków ziemskich zauważyć należy, że większa jego połowa obciąża ziemie wydzielone włościanom. Z $19\frac{3}{4}$ mil. ziemia włościańska ponosi $11\frac{1}{4}$ mil. rub. a tylko $8\frac{1}{2}$ obciąża ziemie prywatnych właścicieli, różnych towarzystw i instytucyj, oraz skarbowe i apanażowe (udielnyje) (1). A tymczasem ziemi włościańskiéj jest zaledwie $75\frac{3}{4}$ mil. dziesiatyn, podczas gdy wszelkiéj innéj opodatkowanéj $129\frac{1}{3}$ mil. dziesiatyn.

---

(1) Majątkami apanażowemi (udielnyje) nazywają się w Rosyi dobra wydzielane na utrzymanie członków panującego domu (Przyp. Red.)

Zwróćmy się teraz do wydatków ziemstwa, których ugrupowanie przedstawia najważniejszy środek do ocenienia jego działalności. Jak wyżéj było powiedziane suma wydatków nieobowiązkowych stanowi obecnie większą połowę wszystkich wydatków ziemstwa: z ogólnéj sumy $30\frac{1}{4}$ mil. r., piérwsze pochłaniają $16\frac{3}{4}$ mil. drugie zaś—$13\frac{1}{2}$ mil. Dawniéj było inaczéj. Lecz suma wydatków nieobowiązkowych od samego początku wzrastała silniéj niż rozchody obowiązkowe. W latach 1872—1874 piérwsze podniosły się o $2\frac{3}{4}$ mil. drugie zaś tylko o 1 mil. W latach 1875—1877 piérwsze wzrosły o $2\frac{1}{2}$ mil., drugie zaś *zmniejszyły się* o 100.000 rubli.

Z pomiędzy rozchodów nieobowiązkowych najszybciéj wzrastają wydatki na oświatę ludową. One jedne podwoiły się w ciągu sześciu lat, kiedy wydatki na utrzymanie instytucyj ziemskich pozostały w ciągu tegoż czasu prawie bez zmiany, bo powiększyły się mniéj niż o $\frac{1}{5}$. Już sam ten fakt zbija wymownie liczne zarzuty czynione ziemstwu. Pesymiści skarżą się na drogość administracyi ziemskiéj i twierdzą, że pracownikom ziemskim idzie przedewszystkiém o otrzymanie pensyi z sum ziemstwa. Powrócimy raz jeszcze do wydatków na utrzymanie ziemstwa, obecnie zaś zwrócimy jedynie uwagę na to, że zestawienie powyższe cyfr dowodzi, iż ziemstwo zdolne jest zrozumiéć rzeczywiste potrzeby narodowe i dbać, o ile siły starczą, o ich zaspokojenie. I rzeczywiście podniósłszy w ciągu sześciu lat sumę wydatków nieobowiązkowych o $6\frac{1}{2}$ mil. rubli, dodało do wydatków na koszta administracyi zaledwie $\frac{1}{2}$ mil. rubli.

A ileż wydatkuje ziemstwo na zaspokojenie każdéj z potrzeb? W tym względzie szczególnie ważném jest ocenienie samego przebiegu działalności ziemskiéj za dwa ostatnie trzechlecia. Dla tego podzielimy wydatki ziemskie według ich wysokości na osobne kategorye najprzód na trzechlecie 1872—1874, potém zaś za trzechlecie 1875—1877. W piérwszém trzechleciu cyfry idą według ich wielkości w porządku następującym: 1) Utrzymanie instytucyj sądowo-pokojowych $4\frac{1}{5}$ mil.; 2) zdrowie publiczne $3\frac{1}{2}$ mil.; 3) dostarczanie podwód $3\frac{1}{5}$ mil.; 4) oświata ludowa do 3 mil.; 5) koszta administracyi ziemskiej $2\frac{3}{4}$ mil.; 6) utrzymanie dróg $2\frac{1}{2}$ mil.; 7) pokojowe instytucye włościańskie $1\frac{3}{4}$ mil.; 8) dobroczynność publiczna 821.000 rs.; 9) utrzymanie miejscowego zarządu cywilnego 710.000 rs. Do tego wykazu nie weszły inne, mniejsze wydatki, wynoszące ogółem około 3 mil. rubli.

Z samego porządku kolejnego w ugrupowaniu powyższych cyfr widać, że ziemstwo niedawno jeszcze zmuszone było odsunąć na dalszy plan zaspokojenie najważniejszych potrzeb, bo występuje ono nie tylko jako organ do ich zaspokojenia, lecz nadto prawie w poło-

wie jako prosty poborca funduszów na wydatki obowiązkowe. W każdym jednak razie przynosiło to zaszczyt ziemstwu, że mu się udało postawić, choćby na drugiém miejscu, wydatek nieobowiązkowy na zdrowie publiczne.

Owóż w ciągu następnego trzechlecia przytoczone ugrupowanie wydatków ziemskich uległo nader pomyślnéj zmianie: piérwsze miejsce zajęły wydatki na zdrowie publiczne, a drugie — na oświatę ludową. Oto cyfry za r. 1875—1877: 1) zdrowie publiczne $4^{3}/_{4}$ mil.; 2) oświata ludowa $4^{1}/_{6}$ mil.; 3) instytucye sądowo pokojowe 4 mil. (już na trzeciém miejscu!); 4) podwody $3^{1}/_{2}$ mil. 5) koszta administracyi ziemskiéj $3^{1}/_{6}$ mil.; 6) utrzymanie dróg $2^{3}/_{4}$ mil.; 7) miejscowy zarząd cywilny $1^{1}/_{2}$ mil.; 8) instytucye pokojowe włościańskie $1^{1}/_{3}$ mil.; 9) dobroczynność publiczna $1^{1}/_{4}$ mil. Pozostałe rozchody wyniosły ogółem $3^{1}/_{2}$ mil. rs.

Wydatek $3^{1}/_{6}$ mil. rubli na koszta administracyi ziemskiéj, stanowiący przeszło 10% dochodów ziemskich, jest bez wątpienia sam w sobie znaczny. Ale jest on zawarunkowany pewnemi granicami stanowiącemi minimum, którego uszczuplić nie można bez względu na fundusze ziemstwa; wszakże w każdym powiecie musi być zarząd i sekretarz. Jeżeli wydatkowanie 10% na skład osobisty nie jest faktem pomyślnym, to w tém widać znów niedostateczność sumy ogólnéj funduszów, albo, co na jedno wyjdzie, rezultat zacieśnionych atrybucyj ziemstwa pod względem nakładania podatków. Ogólna suma funduszów mogłaby w razie rozszerzenia tych atrybucyj znacznie wzrosnąć, nie pociągając za sobą zbyt wielkiego wzrostu wydatków na administracyą. Zresztą wydatki na utrzymanie instytucyj ziemskich nie wydadzą nam się bynajmniéj nadzwyczajnemi, jeżeli je porównamy z wydatkami różnych gałęzi administracyi rządowéj na ich skład osobisty. I tak administracya ziemska w 32 guberniach kosztuje zaledwie $3^{1}/_{6}$ mil. rs., a tymczasem sama administracya gubernialna, o ile dotyczy ministeryum spraw wewnętrznych, pochłania (według budżetu na rok 1879) $24^{1}/_{2}$ mil. rs. t. j. prawie 10 razy więcéj; w ministeryum finansów zarząd miejscowy wynosi $20^{3}/_{4}$ mil. rs.; w ministeryum dóbr rządowych 5 mil. rs. Skarb samych pensyj emerytalnych płaci rocznie 24 mil. rs. t. j. aż 8 razy tyle, ile kosztuje cała administracya ziemska. Dla pomnożenia funduszów ziemstwa, byłaby przedewszystkiém konieczną rewizya ustawy z r. 1867, która ograniczyła ziemstwa w opodatkowaniu fabryk i świadectw handlowych. Użyciem tego środka skarb pragnął zachować dla swego opodatkowania te źródla dochodu, ale znamienite polepszenie byłoby możliwe przy jednym z następujących warunków; albo żeby państwo zwolniło ziemstwo od zaspakajania niektórych, miejscowych wprawdzie,

ale z natury swéj czysto państwowych potrzeb, albo téż żeby rozszerzyło służące ziemstwu prawo opodatkowania.

Rozpatrując wydatki ziemstwa różnych gubernij według różnych pozycyj, znajdujemy nadzwyczajną rozmaitość. Ma się rozumiéć, że tam, gdzie jest w ogóle więcéj funduszów, więcéj téż idzie na każdą pozycyą, ale nie wszędzie w jednakowéj propozycyi. Ziemstwo permskie jest najbogatsze; ogół jego wydatków wynosi przeszło 2½ mil. rs. Dla tego téż naturalnie wydaje ono np. na oświatę ludową większą sumę niż którekolwiek inne, a mianowicie 347.000 rs. Ale na zdrowie publiczne więcéj daje ziemstwo wiackie, mając o 900.000 rs. mniéj dochodu; permskie daje 355.000, a wiackie 369.000. Na dobroczynność publiczną wydaje najwięcéj ziemstwo charkowskie, (138.000 rs.), którego dochód nie wiele przewyższa 1 mil. rs. t. j. o wiele nie dochodzi połowy funduszów permskiego. To ostatnie na dobroczyność daje tylko 83.000 rs. Przykładów podobnéj rozmaitości można przytoczyć wiele; odbija się w nich bez wątpienia różnorodność poglądów osób kierujących sprawami ziemskiemi, a może i rozmaitość potrzeb miejscowych.

VI.

W składzie osobistym instytucyj ziemskich, przewaga znajduje się po stronie właścicieli ziemskich t. j. szlachty. Już z przytoczonego powyżéj wykazu widać, że w przeważnéj liczbie powiatów członkowie zgromadzeń, delegowani przez właścicieli ziemskich, stanowią blisko połowę całego kompletu. Dla ścisłości znaznaczymy, że z pomiędzy 355 powiatów do których ziemstwa piérwotnie wprowadzone zostały, w 220 cyfra przedstawicieli własności większéj wynosiła połowę ogólnéj sumy członków, w 112 od połowy do trzeciéj części, w 11 od trzeciéj części do czwartéj, a w 12 tylko mniéj niż czwartą część (1). Trzeba nadto pamiętać, że wpływ właścicieli większych na czynności ziemstwa zabezpieczony jest zupełną przewagą przedstawicieli téj klasy w zgromadzeniach gubernialnych. W tym względzie prawo z roku 1866 zabraniające wyznaczanie pensyi członkom zgromadzenia zabezpieczyło w wysokim stopniu przewagę wielkiéj własności. Włościanina nie stać na jeżdżenie swoim kosztem do miasta gubernialnego na posiedzenia zgromadzeń.

(1) Statisticzeskij Sbornik, zeszyt IV.

Ale, jak poniżéj zobaczymy, reprezentanci stanu włościańskiego pomimo to występowali w niektórych ziemstwach jako nader czynni pracownicy. Przewaga ta właścicieli większych nadała od samego początku działalności instytucyj ziemskich trzy wybitne znamiona które zresztą stopniowo z czasem bladły, lub zmieniały swoje znaczenie. Ziemstwa, wnet po swém uorganizowaniu, bardzo poważnie podjęły myśl o swéj samodzielności, nie zbyt szczerze zabrały się do ważnéj sprawy zamiany ciężarów naturalnych na piéniężne, ale za to energicznie do oświaty ludowéj. Rzecz jasna, że gdyby w ziemstwach przeważał stan włościański, to piérwsze jego stosunki z administracyą byłyby bez porównania mniéj pewne a troska o oświatę nie byłaby tak energiczna. Ogół bowiem włościan w ostatnich dopiéro latach, głównie zaś w skutek reformy wojskowéj, dającéj pewne przywileje ze względu na oświatę, doszedł do przeświadczenia o naglącéj potrzebie zakładania szkół. Ale za to większość włościan byłaby bez wątpienia przedewszystkiém pomyślała o zamianie ciężarów naturalnych, wyłącznie ludność włościańską dotykających, na opłaty piéniężne rozłożone na ogół mieszkańców.

Dążenie do samodzielności ziemstwa było, dzięki przewadze szlachty, tak silne, że z samego początku wywołało znaczną liczbę ważnych sporów o atrybucyą pomiędzy ziemstwem i administracyą. Zmniejszały się one stopniowo już to z powodu kilku porażek jakie ziemstwa poniosły, już też w skutek wpływu administracyi centralnéj, hamującego zapał niektórych podwładnych sobie organów. Zresztą spory o atrybucyą i dziś są jeszcze częste, ponieważ w skutek nowéj ustawy o szkołach ludowych z r. 1874 władza edukacyjna chciała skłonić ziemstwa, ażeby ustąpiły jéj wyłącznemu zarządowi założone przez nie szkoły wyższe, dwu klasowe i seminarya nauczycielskie, same zaś aby ograniczyły się jedynie do troski o ich egzystencyą materyalną. Ziemstwa w ogóle niechętnie się na to zgadzały i były nawet w niektórych miejscach przykłady, że postanowiły zamknąć takie zakłady. Co się tyczy zamiany ciężarów naturalnych, wyłącznie włościańskich, na piéniężne, powszechne, to godna uwagi, że sprawa ta więcéj znalazła uznania w zgromadzeniach powiatowych niżli gubernialnych, w których wpływ żywiołu włościańskiego był mniejszy.

Tym sposobem, w piérwszych czasach po zawiązaniu ziemstwa nie można było zaprzeczyć istnienia pewnych różnic w poglądach stanowych. Z biegiem czasu jednak, przy rozpatrywaniu przez zgromadzenia ziemskie kwestyi, podatków państwowych pogłównych, znakomita większość ziemstw oświadczyła się za zniesieniem podziału stanów na opodatkowane i nieopodatkowane i za wprowadze-

niem ogólnego podatku dochodowego. Kwestya ta o podatkach pogłównych jest jedyną kwestyą państwową, którą do téj pory rozpatrywało ziemstwo i w krótkiéj jego historyi świetną jéj kartę stanowi. W jesieni w r. 1870, na mocy postanowienia komitetu ministrów, rozesłano ziemstwom na rozpatrzenie projekt komisyi podatkowéj, przyjmujący dla podatków pogłównych właściwszą podstawę, w ten sposób, żeby je ściągano lubo z téj saméj co i dotąd kategoryi osób, ale na podstawie majątkowéj (ziemi i domów), nie zaś osobowéj. Na to większość ziemstw odpowiedziała w roku 1871 przez takie zmodyfikowanie saméj kwestyi: że opłaty pogłówne (podatek pogłówny i państwowy podatek gruntowy) powinny być zdjęte z osób im podlegających, zamienione na podatek dochodowy lub klasyczny (porazriadnyj) i obciążać wszystkie stany w państwie. Przytém niektóre ziemstwa okazały godną znaczenia pilność i sumienność przy zbadaniu przedmiotu będącego po za sferą ich bezpośrednich obowiązków. W raportach dotyczących tego przedmiotu nagromadzono bogaty materyał statystyczny, kwestyą rozpatrywano wszechstronnie i, pomimo trudności, rozstrzygano ją dobrze. Jak wiadomo, w sferze administracyjnéj uwzględniono uwagi ziemstwa i skorzystano z nich po części przy redakcyi projektu podatku klasycznego, choć zresztą, nie w celu zastąpienia nim opłat pogłównych, ale dla powiększenia dochodu państwowego. Projekt ten jednak wypracowany w roku zeszłym został wstrzymany.

Uwagi ziemstwa z powodu podatku dochodowego dowiodły, że nie masz w Rosyi jaskrawego antagonizmu stanowego, i tak je powszechnie zrozumiano. Sprawiedliwość jednak nakazuje zwrócić uwagę, co do saméj kwestyi podatku dochodowego, że właściciele ziemscy, jego wnioskodawcy, dobrze zrozumieli, że, ponieważ ziemia bardzo już jest opodatkowana, to główny jego ciężar spadnie na dochody przemysłowe i handlowe tj. na te sfery, które téż najmniéj ulegają ziemskim podatkom. Nadto niektórzy takie nawet wygłosili zdanie, że klasa właścicieli ziemskich rozumié, iż bez bezpośredniego udziału w podatkach państwowych, nie może być mowy o nabyciu jakichkolwiek nowych praw.

Wykazaliśmy powyżéj przyczyny, z powodu których stan włościański nie grał do obecnéj chwili ważnéj roli w instytucyach ziemskich. Ale nie może ulegać wątpliwości, że w miarę tego, jak wśród ludu podniesie się oświata i włościanie przekonają się o korzyściach płynących z bezpośredniego udziału w instytucyach ziemskich, przedsięwezmą kroki celem zyskania większego wpływu. Tak np. gromady wiejskie mogą wyznaczyć i od siebie dyjety wybranym z ich łona członkom zgromadzeń gubernialnych, a dostawszy się do zarządu

włościanin (jako członek zarządu lub prezes) będzie już pobiérał pensyą z funduszów ziemstwa. Zdarzały się już wprawdzie przykłady wybiérania włościan do zarządu, ale stanowiły one, bądź co bądź, wyjątki. Że zaś piśmienni, sprytni włościanie mogą z pożytkiem brać udział w zarządach ziemskich, tego dowodzą przykłady niektórych ziemstw, gdzie w braku właścicieli ziemskich włościanie musieli zarządzać sprawami ziemskiemi. Tak np. w ziemstwie krasnoufimskiém na 22 członków było 16 włościan, a z pozostałych 1 urzędnik, 3 kupców, 1 mieszczanin i 1 pełnomocnik właścicieli ziemskich. Oczywiście, w braku potomków rodzin herbownych, występują na widownię chłopi (1). I oto włościanin zostaje wybrany na sekretarza zebrania ziemskiego. Drugi przykład z tegoż źródła: w ziemstwie szadryńskiém jest członków 14; z nich 5 włościan, 5 księży, 2 kupców, 1 aptekarz i 1 geometra rządowy; włościanin bywa tu nawet wybiéranym na prezesa zarządu ziemskiego.

VII.

Praca ziemstwa mało się uwydatnia w ogólnéj całości państwa, bo składa się ze stopniowych, odosobnionych dążeń do polepszenia stanu kraju. W obec ogromu zadania, rezultaty dotychczasowe są oczywiście nie znaczne; przyznać jednak konieczna, iż w rzeczywistości wiele zrobiono, jeżeli weźmiemy pod uwagę brak należytych środków i rozmaite okoliczności wśród których działa ziemstwo. Najwybitniéj rezultaty występują na jaw w sprawie oświaty ludowéj. Ziemstwo zakładało nawet średnie zakłady naukowe tj. dawało fundusze na ich otwarcie i utrzymanie, daléj seminarya nauczycielskie wyższe i niższe szkoły ludowe, ustanawiało stypendya w różnych miejscowościach, piérwsze zakładało drukarnie, otwiérało w niektórych miejscowościach biblioteki ludowe i księgarnie a także urządzało zjazdy nauczycieli wiejskich. Jeżeli obecnie rozpowszechnienie piśmienności wśród ludu wiejskiego jest istotnie znaczne w porównaniu z tém co było przed laty dziesięciu, to zasługa ztąd, bez wątpienia ogromna, należy się głównie ziemstwu. Drugą wyraźną zasługą ziemstwa stanowi wszechstronne zbadanie potrzeb i warunków miejscowych, oraz praktyczne zaznajomienie się z prawdziwym stanem kraju. Ogłaszając drukiem peryodyczne swe sprawozdania i uwagi o różnych przedmiotach, zgromadziło ziemstwo olbrzymi materyał nadzwyczaj ważny dla każdéj miejscowości. Jeżeli materyał ten rozrzu-

(1) Ob. D. L. Mordowcew: Diesiatiletje russkawo ziemstwa.

cony jest w ogromnéj liczbie tomów i niezebrany w systematyczne opracowania statystyczne, to pochodzi to z braku zgodności pomiędzy ziemstwami, nie posiadającemi organów pośredniczących. Jeżeli dane, ogłaszane bywają przez ziemstwo w formie suchych tablic lub niedowiedzionych twierdzeń, to pochodzi to po części ztąd, że publikowanie przez ziemstwo przemów i prac nie podlega ogólnym przepisom cenzuralnym, ale zależy od widzimi się administracyi gubernialnéj.

Uskutecznioną przez ziemstwa zamianę ciężarów naturalnych na pieniężne odczuli silnie włościanie. Ziemstwo ograniczyło obowiązek dostarczania podwód; utrzymanie dróg lubo uskutecznia się w niektórych miejscach przez spędzenie włościan na robotę, to przecież pobiérają oni za to zapłatę. Działalność lekarska w powiatach, rzec można, stworzona została przez ziemstwa, i lud więcéj ma zaufania do ziemskich szpitalów i lekarzy niż dawniéj do rządowych. Ziemstwo zwróciło uwagę i na kwestyą weterynaryi. Gdy pojawiała się cholera lub zaraza na bydło, ziemstwo ponosiło w wielu miejscach znaczne wydatki na energiczne środki zaradcze. Można w tym względzie przytoczyć przykład ziemstwa petersburskiego. Najmniéj rezultatów działalności ziemskiéj widać dotychczas w sprawie budowy dróg i mostów. Jest to zbyt wielkie zadanie, a fundusze ziemstwa są skromne. Bywały np. zdarzenia, że ziemstwa wydawały w ciągu kilku lat bardzo znaczne, jak dla nich, sumy i zdołały wybudować zaledwie koło dwudziestu wiorst szossy. Jednakowoż według powszechnego twierdzenia, *można*, podróżując po Rosyi, zauważyć i w tym kierunku ślady ziemskiéj działalności.

Nie ma co taić, że w działalności ziemskiéj, tak jeszcze krótkiéj, trafiały się téż przykłady porywania się na rzeczy w danym razie niemożliwe do urzeczywistnienia, zamiast załatwianie rzeczy bliższych i łatwiejszych. Mogło zadziwić cudzoziemca, że w zgromadzeniu ziemskiém powiatowém rozprawiają z zapałem o wprowadzeniu przymusowego nauczania początkowego, a tymczasem przed domem tegoż zgromadzenia rozlega się takie głębokie błoto, że można się doń dostać jedynie w powozie, lubo i ten środek nie dość był bezpiecznym, skoro jeden z członków wraz z powozem wywrócił się w téj kałuży (1). Lecz to mogło zadziwić tylko cudzoziemca i członka takiego społeczeństwa, które od wieków korzystało z najrozleglejszego samorządu. Dla początkujących, pomyłki i uniesienia były nieuniknione.

---

(1) Mackenzie Wallace. Russia.

Jednakże, przytoczone powyżéj wymowne cyfry dowodzą, że bez względu na całą trudność warunków, ziemstwo przynosi w ogóle ogromny, rzeczywisty pożytek, że jego energia i wiara w przyszłość nie upada, lecz wzrasta, i że praca jego rozwija się. Ziemstwo wié bez wątpienia, że przy jakiém takiém powiększeniu jego praw, choćby tylko co do tych przedmiotów, które obecnie mu są powierzone, rezultaty mogłyby być zupełniejsze, szybsze. Świadczą o tém liczne przedstawienia ziemstw; niedawne na przykład przedstawienia niektórych ziemstw z okolicy Moskwy o dozwolenie zjazdów reprezentantów ziemstw sąsiednich gubernij, w celu przedsięwzięcia wspólnych środków sanitarnych; albo saratowskiego o dozwolenie ziemskim instytucyom wydawania przepisów obowiązkowych dla miejscowéj ludności, jak to jest dozwolone w miastach zgromadzeniom miejskim.

Lecz i bezwarunkowe utrzymanie obecnego status quo nie odejmuje ziemstwu ochoty do dążenia ku urzeczywistnieniu tego realnego pożytku, który jest możliwy; stanowi to rękojmię poważnéj przyszłości ziemstwa. To już należy uznać za ogromny rezultat, że objąwszy gospodarstwo miejscowe w najgorszym stanie, bez funduszów, że będąc obowiązane pobiérać z ludności 32 gubernij około 12 mil. rubli na t. zw. rozchody obowiązkowe, zdołało powoli wynaléść sobie fundusze na cele nieobowiązkowe, nie tylko równe pierwszym, ale nawet większe o $1/3$ część. Zdawało się jeszcze niedawno, że budżet ziemski skazany jest na ozdabianie swéj pierwszéj pozycyi wydatkami na instytucye sądowo-pokojowe, a tymczasem obecnie ziemstwo doszło już do tego, że najwyższe sumy przeznaczone są obecnie na zdrowie publiczne i oświatę ludową. Zajdzie téż bez wątpienia i daléj.

L. P.

OBYCZAJE EKONOMICZNE

WE FRANCYI.

(Dokończenie.)

III.

Robotnicy właściciele, dzierżawcy lub majstrzy.

Rozpocząć nam wypada tę część naszych studyów ogólnym poglądem na drobną własność ziemską we Francyi. Stan zacofany, w którym znajdowało się rolnictwo francuskie pod koniec zeszłego wieku, a o którym zwiedzający ten kraj w latach 1787—1780 angielski ekonomista Jung zostawił opłakanie wymowne świadectwo, stan ten naprowadził prawodawców na myśl szukania środka zaradczego w rozdrobnieniu własności za pomocą praw spadkowych. Środek ten, w zastosowaniu do dóbr podlegających substytucyom lub należących do korporacyj (*biens de main-morte)*, wyborne dał rezultaty; działając wszakże na wszystkie strony, ciągle i bez przerwy ze ślepą siłą machiny, zaczął on niebawem niszczyć i niszczyć ciągle te właśnie skromne exystencye, którym życie ułatwić chciano. Pod względem rolniczym systemat ten najsmutniejsze wydał owoce, sprowadzając rozcząstkowanie ziemi aż do uniemożebnienia częstokroć uprawy pługiem. W samej rzeczy, ubiegając się za jak najakuratniéj sprawiedliwym podziałem, spadkobiércy żądają pospolicie materyalnego podziału każdéj cząstki do spadku należącéj. Tym sposobem dzieje się, że nierzadko jeden drobny właściciel posiada w cząstkach po całéj gminie rozsianych ilość ziemi, zaledwie dostateczną do zużytkowania rąk jednéj rodziny roboczéj. Równolegle z rozcząstkowaniem własności i w związku z niém działa zgubnie na rozwój rolnictwa w drobnéj własności, wspomniany już przez nas obyczaj, istniejący od niepamiętnych czasów na całéj prawie przestrzeni Francyi, pod nazwą prawa *de vaine pâture*, albo *de parcours*. Prawo *de vaine*

pâture (przymiotnik *vain vaine*, w zastosowaniu do gruntu, oznacza właściwie grunt nieuprawiany, nieużytek; tu zaś w znaczeniu specyalném grunt niezasiany lub zbożem niepokryty, n. p. ugór), jest to prawo upoważniające mieszkańców pewnéj gminy do posyłania inwentarza na grunta do mieszkańców téjże gminy należące, kiedy te nie są zasiane lub zbożem pokryte. Prawo *de parcours* jest to to samo prawo, zastosowane do mieszkańców dwóch gmin sąsiednich. Obyczaj miejscowy oznacza ilość inwentarza, którą każden mieszkaniec może pasać w ten sposób, proporcyonalnie do przestrzeni gruntów posiadanych w gminie. Ma się rozumiéć, ten sam obyczaj nie pozwala żadnemu z mieszkańców uwolnić swych gruntów od służebności z tego prawa wynikającéj, przez zaprowadzenie innego systematu uprawy od praktykowanego dotąd. Ztąd téż trójpolowy płodozmian panuje po dziś dzień na całéj przestrzeni gruntów rzeczonéj służebności podległych. Prawodawcy francuscy nie zamknęli wszelako oczu na niedogodności z takiego stanu rzeczy wynikające i usiłowali im zapobiedz. W tym celu artykuł 647 kodeksu cywilnego przyznał każdemu właścicielowi prawo zagrodzenia swéj własności, zastrzegając tylko artykułem 648 utratę prawa *de vaine pature*, albo *de parcours* w stosunku do przestrzeni gruntu tym sposobem od tego prawa uwolnionéj. Na nieszczęście artykuł ten, w zastosowaniu do drobnéj własności, okazał się po większéj części bezowocnym; po większéj części bowiem nadzwyczajne rozcząstkowanie ziemi, o którém wspomnieliśmy, nie pozwoliło pomyśléć o żadném zagrodzeniu.

Przypatrzmy się teraz bliżéj fizionomii, jaką przedstawia jedna z kilkudziesięciu tysięcy gmin francuskich, poddana sprzymierzonemu działaniu nowych praw i dawnych obyczajów. Bierzemy za przykład gminę V*** w Szampanii. Territorium gminy około 600 hektarów wynoszące składa się: z łąki torfiastéj, mającéj około 120 hektarów, i z ornego gruntu rozdrobnionego na kilka tysięcy cząsteczek, których szerokość częstokroć kilka skib zaledwie obejmuje. Połowa wspomnianéj łąki została własnością prywatną, dzięki kompanii, która osuszyła miejscowe bagnisko; druga połowa należy jeszcze niepodzielnie do mieszkańców gminy, płacących za używane przez siebie cząstki małą rentę, stanowiącą fundusz roczny przeznaczony na opłacanie ciężarów gminnych. Grunta orne uprawiane są przez pięciu dzierżawców i około pięćdziesięciu drobnych właścicieli, których mieszkania skupiają się w dwie oddzielne wioski, w środku territorium pozbawionego wszelkich plantacyj i ogrodzeń i smutny z tego względu przedstawiającego widok. Rolnicy ci produkują głównie przedmioty do ich własnéj konsumcyi potrzebne; dostarczają wszakże sąsiednim targom cokolwiek zboża, wełny i baranów. Płodozmian

trójpolowy panuje na całym obszarze; ci z dzierżawców, którzy z pomocą kapitałów przez właścicieli dostarczanych kuszą się o powiększenie inwentarza i żywienia go na sztucznych pastwiskach ugór zastępujących, są zmuszeni cofać się przed naciskiem obrażonych interesów miejscowych, a w potrzebie przed postanowieniami municypalnemi.

O zaprowadzeniu zaś ogrodzeń myśléć nie można w eksploatacyach, z których jedna obejmuje do 500 rozsypanych cząstek. W rezultacie bardzo ograniczona tylko przestrzeń pól do mieszkań dotykających doznała jakichśkolwiek ulepszeń; reszta, niszczona przez najhaniebniejszy ze wszystkich systematów rolnego gospodarstwa, nie poddająca się nadto, w skutku do niedorzeczności posuniętéj parcelacyi, żadnemu racyonalnemu, bodaj najelementarniejszemu nawet systematowi uprawy, pozostaje nieprodukcyjną, albo wraca zaledwo koszta uprawy. Nie mogąc przedsiębrać ulepszeń, drobni właściciele poświęcają wszystkie oszczędności swoje nabywaniu za jakąbądź cenę sąsiednich cząstek, które najczęściéj posiadane już były przez ich ojca i po śmierci obecnego nabywcy znowu podzielone będą. Tym sposobem podnosi się ustawicznie cena gruntu, którego siła produkcyjna pozostaje mniéj więcéj tą sama. Ludność jednakże jest tu jak nigdzie skora, namiętna, że tak powiemy, do pracy; wstrzemięźliwa przytém, oszczędna a intelligentna i mająca, tam gdzie ślepe uszanowanie dla tradycyi nie stoi temu na przeszkodzie, niepospolicie bystre pojęcie swego interesu. Te to pojęcia każe wszystkim obecnym naczelnikom domów (*chefs de maison*) sprzeciwiać się wszelkiemi sposobami osiedleniu się w gminie cudzoziemców, których przybycie ograniczyłoby używalności dotychczasowym mieszkańcom gminy przysługujące. Za tą przezornością idzie z podobnéj przezorności wynikająca niepłodność małżeństw. Spis ludności daje następujące, wymowne pod tym względem cyfry:

Osób w małżeństwie żyjących (włącznie z 16-ma wdowami i wdowcami)	133	247.
Potomstwo z powyższych małżeństw w stanie bezżennym żyjące, osób	98	
Domownicy bezżenni do powyższych przywiązani, osób	16	

W ten sposób ludność jedna z piękniejszych we Francyi czyni się jałową; a tymczasem rolnictwo cierpi na brak rąk i posługiwać się musi emigrującemi czasowo z innych stron pracownikami. Nie jest zaś to przykład wyjątkowy; co tylko jest inteligentniejszego na roli francuskiéj broni się przed prawami podziałowemi w ten sam sposób. Tam zaś, gdzie intelligencya i przezorność nie dopisują, tam,

w Alzacko-lotaryńskich prowincyach n. p., rozdrobnienie własności, w połączeniu z idącą w ślad za niém lichwą, wytworzyło specyalny typ właściciela — żebraka. W niektórych jednakże okolicach ludność rolna znalazła inny środek obrony w rozmaitego rodzaju kombinacyach, mających na celu ominięcie praw podziałowych. W prowincyach południowych, w Bretanii, w Owernii, wystarczała po dzisiejszy dzień do dopięcia tego celu siła dawnego prawa obyczajowego. Jeden z najciekawszych przykładów téj walki prawa obyczajowego z prawem pisaném znajdujemy w prowincyi tak zwanéj *du Laredan* (w dzisiejszym departamencie des Hautes-Tyrencés), na północnéj pochyłości Tyrenców. Prawo obyczajowe Basków przechowane tutaj przypisuje całość spadku rodzicielskiego najstarszemu dziecku, (synowi lub córce) z obowiązkiem utrzymywania lub wyposażenia rodzeństwa. Kiedy córka jest dziedziczką (*ayréte*), pojmujący ją za żonę przyjmuje jéj nazwisko. W dawniejszém nawet prawie Basków, a właściwiéj *Eusków*, córki były zawsze dziedziczkami; a obyczaj ten opiérał się na trzech następujących względach. Najpiérw zapewniał on nieprzerwane pomnażanie się rodziny; kiedy bowiem najstarsze córki dwóch pokoleń szły zamąż w 18-ym lub 20-ym roku, wtedy częstokroć przez kilka lat przynajmniéj rodzina pomnażała się jednocześnie w obydwóch pokoleniach. Następnie ten sam obyczaj zdawał się pogańskim Euskom najpewniéjszą gwarancyą przeciw zawodom z cudzołoztwa wynikającym i najskuteczniejszym środkiem do przelewania krwi przodków w rodzinie. Nakoniec powaga właściwa dziedziczce pożądaną była w domach, z których morskie lub wojenne wyprawy oddalały najczęściéj mężów. Obecnie synowie piérworodni przypuszczeni są do dziedzictwa; ale narodziny córki w piérwszym połogu uważane bywają za znak błogosławieństwa bożego. Odziedziczenie ojcowizny zapewniają dzisiejsi Baskowie na korzyść piérwszego dziecka w następujący sposób. Ojciec rodziny spisuje akt notaryalny w którym oznaczywszy wartość posiadanego przez siebie majątku, jednę czwartą téj wartości przypisuje nad dział stosownie do artykułów 913 i 919 kodeksu cywilnego piérworodnemu dziecku, resztę do równego podziału zostawiając. Następnie, już za-życia przypuszcza przyszłego dziedzica, lub męża przyszłéj dziedziczki, do pewnego rodzaju wspólności i z nim razem wytęża siły dla spłacenia części spadkowych braciom i siostrom przypadających. Skoro te w chwili śmierci ojca spłacone zostały, dziedzic, części swojéj nie otrzymawszy, obejmuje naturalnie w posiadanie ojcowiznę. W gruncie rzeczy, cała ta, na legalnych niby podstawach oparta budowa spoczywa właściwie na uszanowaniu rodzin lawedańskich dla woli rodzicielskiéj i dla tradycyi; zarówno bowiem oszacowanie ma-

jątku i oznaczenie udziałów spadkowych, jak przypisanie jednemu wyłącznie ze spadkobiérców działu w naturze, są rzeczami arbitralnego procederu, który przez odwołanie się do sądów z łatwością dałby się obalić. Za dni dzisiejszych zbliżenie się cywilizacyi do tego kąta Francyi wskazało na nieszczęście niejednemu rodzeństwu drogę przed kratki sądowe.

Zaznaczamy jako rzecz godną uwagi, że w niektórych okolicach wśród inteligentniejszéj ludności rolniczéj, zasada niepodzielności ojcowizny wykształciła się za dzisiejszych już czasów i daje się potykać tam, gdzie dawne prawo obyczajowe nie przyznawało piérworodnemu dziecku żadnego przywileju. I tak między ogrodnikami w okolicach Paryża nader pospolitym jest układ, na mocy którego spadkobiércy, jeżeli zostawiający spadek nie rozporządził już nim w ten sam sposób, odstępują całość gruntu temu z pomiędzy siebie, który najzdolniejszym się zdaje do ciągnięcia zeń korzyści, z obowiązkiem, ma się rozumiéć, spłacenia w gotowiznie zgodnie oznaczonych działów. Gdzieindziéj, w Cewennach naprzykład, właściciele drobnych morwowych plantacyj starają się osiągnąć ten sam rezultat zapomocą całéj seryi aktów symulacyjnych. Jedną z ujemnych stron tego procederu jest ta, bardzo ważna, że skoro przelanie całkowite spadku na głowę dziedzica nie ma miejsca otwarcie, ten ostatni nie jest zmuszony naciskiem opinii publicznéj, do podtrzymywania rodzeństwa, jeżeli ojciec o niém dostatecznie nie pomyślał.

W ogóle więc obowiązujące prawa spadkowe, uniemożebniając przez zbyteczne rozdrobnienie ziemi zaprowadzenie racyonalnéj uprawy, zniechęcając nadto rolników do przedsiębrania ulepszeń, które po ich śmierci rozpadnięciem się dziedzictwa zniszczone zostaną, prawa te mówimy działają zabójczo na rolnictwo, i na nie spada niezaprzeczenie odpowiedzialność za stan zacofany, w którym ta część majątku Francyi pozostaje. Wyjątek pod tym względem stanowią departamenty północno-wschodnie, w których produkcya rolna do cudownych prawie doszła rezultatów. Rezultaty te przypisać należy w znacznéj mierze niesłychanemu rozwinięciu pracy ręcznéj, ale także umiejętności z jaką ludność tamtejsza potrafiła zastosować się do warunków, przez obowiązujące prawodawstwo wytworzonych. Najpiérw, bądź za pomocą układów podobnych do tych, które praktykowane są pod Paryżem, bądź za pomocą aktów symulacyjnych, bądź nareszcie przez ograniczenie potomstwa, zdołała ona utrzymać rozcząstkowanie ziemi w pewnych granicach. To pozwoliło jéj oswobodzić się, przez zaprowadzenie ogrodzeń, od rujnującéj wspólności pastwiskowéj. Nakoniec przez trafne pojęcie swojego interesu i porozumienie się wzajemne, potrafiła ona, do rozdrobnionéj jeszcze

nadmiernie eksploatacyi rolnéj, zastosować pewną część przynajmniéj procederów wielkim eksploatacyom właściwych. I tak, biorąc za przykład najelementarniejszy ze wszystkich a przecież dla pojedyńczych właścicieli w departamentach o których mówimy w bardzo znacznéj części niedostępny proceder i uprawę pługiem, północno-wschodni francuscy rolnicy wykonywają tę uprawę za pomocą jednego lub kilku sprzężajów, utrzymywanych przez jednego rolnika na rachunek i na usługi całéj grupy rolników, w tym celu stowarzyszonych. Łatwo zrozumiéć, że ten rodzaj stowarzyszenia nagiąć się może do zastosowań bez końca.

Ale pora już, abyśmy przystąpili do naszych *robotników-właścicieli*, *dzierżawców i majstrów*. Dodamy tylko jeszcze do poczynionych przez nas pobieżnych spostrzeżeń nad drobną własnością we Francyi tę uwagę, że własność staje się tam godłem jakiéjś wyższości społecznéj; gdzie się ona zaczyna, tam zaczynają się w ludności rolnéj francuskiéj te cnoty, które ją czynią najgodniejszą może podziwu i naśladowania w Europie. Tłómaczy się to okolicznością, że przy nadzwyczaj szybkiém, dzięki zawsze prawom spadkowym, przechodzeniu własności z rąk do rąk, obecny posiadacz kawałka gruntu najczęściéj zdobył go sam w pocie czoła, lub odziedziczył z nim razem część przynajmniéj cnót, które ojcu jego dojść doń pozwoliły.

Typowego przedstawiciela klasy najemników—właścicieli szukamy tam, gdzie ta klasa jest najliczniejszą, tam, gdzie jest ona u siebie, w uprzywilejowanéj północno-wschodniéj stronie Francyi, w błogosławionéj dolinie Sekwany, w dawnéj prowincyi Soissonais (dzisiejszym departamencie *Aisne*). Grunt, należący do trzeciorzędowéj, w lignity bogatéj formacyi, dostarcza dwojakiego rodzaju produktów i dwojakiego także rodzaju zajęć ludności rolnéj. Powierzchnia produkuje jarzyny mączne i ziarna; z wnętrza zaś dobywać się dają lignity, ałun i inne ciała kopalne. Ludność rolna składa się z właścicieli—rolników, z dzierżawców, z domowników za roczną umowę do pewnéj eksploatacyi rolnéj przywiązanych i nakoniec z najemników pracujących za wynagrodzeniem dziennėm, lub na wydział dla rozmaitych eksploatacyj, bądź rolnych, bądź kopalnianych. Pomiędzy temi ostatniemi osobną kategoryą stanowią *Żniwiarze emigrujący* (*moissoneurs — emigrants*), którzy w czasie sprzętów udają się do departamentów sąsiednich, cierpiących na brak rąk. Opisana przez nas wyżéj gmina V*** w Szampanii posługuje się właśnie takimi żniwiarzami emigrującymi, z okolic Soissons przybywającymi. W téj to kategoryi najczęściéj spotykają się posiadacze nabytego za oszczędzony zarobek domu i kawałka gruntu; naturalnie bowiem żniwiarze emigrujący rekrutują

się pomiędzy najenergiczniejszymi i najwięcéj przedsiębierczymi pracownikami. Historya jednego z takich pracowników da się streścić w następujący sposób. Będąc synem bądź najemnika, bądź drobnego właściciela, co żadnéj nie stanowi różnicy, do lat 14-u dzieli on czas, pomiędzy naukami udzielanemi przez nauczyciela gminnego i przez proboszcza a robotami w polu w towarzystwie i pod kierunkiem rodziców, i pospolicie dochodząc do lat 14-u przyswoił sobie początki przynajmniéj czytania, pisania i rachunku. W lat 14, odbywszy 1-ą komunią, zaczyna on pracować za wynagrodzeniem dzienném u sąsiednich właścicieli i dzierżawców. W tym drugim peryodzie swéj egzystencyi przyczynia się on znakomicie do powiększenia kapitału rodzicielskiego. W lat 24 wchodzi w związki małżeńskie, zakłada gospodarstwo z małém wyposażeniem, które własnym oszczędnościom przez rodziców skapitalizowanym zawdzięcza, i od téj pory stale i uporczywie dąży do zgromadzenia potrzebnego kapitału dla zbudowania domu i kupienia ogrodu. W porze ciepłéj pracuje na roli przy uprawach lub robotach ziemnych, za wynagrodzeniem dzienném, do 2,50 fr. dochodzącém. W zimie pracuje bądź w kopalniach przy wydobywaniu lignitu, bądź w lasach przy spuszczaniu drzewa, pobiérając dziennie około 2 franków. Nakoniec w porze żniw idzie szukać zajęcia w okolicach, pozbawionych dostatecznéj ilości rąk a oddalonych częstokroć od domu o sto kilometrów, i na wydział pracując zarabia do 5,50 fr. dziennie. Tym sposobem wskazany wyżéj cel jego usiłowań bywa zwykle osiągnięty w przeciągu 6 do 10 lat. Posiadanie domu i ogrodu nie zmienia zresztą w niczém jego sposobu życia i jego zajęć, tylko pozwala mu powiększyć oszczędności, za pomocą których w ciągu nowego peryodu 12 do 16 lat, staje się on właścicielem pola do 25 arów przestrzeni, o wartości 2.000 fr. Jest on teraz w całém znaczeniu tego słowa *robotnikiem-właścicielem*; dzieli swój czas między pracą najemną a pracą na własnym gruncie, coraz więcéj dni téj ostatniéj, coraz mniéj tamtéj poświęcając, w miarę jak tego wymaga szybko już teraz wzrastający obszar jego własności, aż do chwili, w któréj znajdzie on na téj własności dostateczne zużytkowanie całéj swojéj pracowitości i przejdzie w kategoryą *właścicieli-robotników*.

Przypatrzmy się teraz bliżéj téj pracy i oszczędności złożonéj egzystencyi robotnika-właściciela. Dom mieszkalny zdrowy, wygodny, utrzymany ze starannością do elegancyi dochodzącą, składa się z parteru i piérwszego piętra, cztéry izby razem obejmujących. Sprzęty i odzież zalecają się godną podziwienia czystością, ale wolne są od wszelkiego wykwintu i wskazują wyraźnie, że w ich wyborze troszczono się o ich użyteczność tylko.

Załączamy tu spis sprzętów i statków, znajdujących się pospolicie w tego rodzaju gospodarstwach:

Sprzęty:

1	Łóżko dla dwojga małżonków (drzewo: 30 fr; siennik 8 fr.; materac wełniany 70 fr.; wałek za poduszkę służący (traversin) 16 fr.; kołdra wełniana 30 fr.; kapa 16 fr.)	166, 00
2	łóżka dziecinne	100, 00
8	par prześcieradeł konopianych	120, 00
2	stoły	18, 00
6	krzeseł	18, 00
1	szafa	100, 00
1	kredens	80, 00
1	lustro	3, 00
1	zegar	80, 00
		685, 00

Statki:

2	rądle i 1 kocioł żelazny	20, 00
1	waza, 2 półmiski gliniane, 12 talerzy	8, 00
4	noże kieszonkowe, 12 widelcy, 12 łyżek cynowych	11, 20
2	cebry	16, 00
1	kosz, 3 koszyki	12, 00
1	siekiera.	10, 00
1	motyka	10, 00
	Rozmaite przedmioty drobne	40, 00
		127, 20

Podstawę pożywienia rodziny naszego robotnika—właściciela jest chléb, złożony z dwóch części żyta i jednéj części pszenicy. W zimie jada rodzina trzy razy dziennie, a mianowicie na śniadanie, o 9-éj z rana, zupę z chleba; na obiad, o 1-éj, chléb i kartofle w popiele pieczone i pół butelki wina lub jabłeczniku; na kolacyą nakoniec, o 7-éj z wieczora, chléb, fasolę, groch, sałatę, cebulę i kartofle. W lecie zasiada rodzina cztéry razy do stołu bez zmiany atoli w jakości pożywienia. Mięso pojawia się na tym oszczędnym stole tylko w dzień święta patrona gminy i w tłusty wtorek.

Główną rozrywkę téj kategoryi pracowników stanowią uciechy, a nawet obowiązki i zatrudnienia, jakie pociąga za sobą własność ziemska. Wyszukiwanie środków powiększenia téj własności jest widocznie najmilszém dla obojga małżonków zajęciem. Mężowie grywają czasem w karty w karczmie, ale stawki nie przenoszą ni-

gdy wartości przedmiotów, spożywanych tamże z wielkiém umiarkowaniem. W zabawach nawet dzieci odbija się coś z zaprzątających wyłącznie myśl rodzicielską trosk ekonomicznych i do gry zwanéj *petit-palet*, zamiast zwykłych żelaznych krążków, używa dziatwa z upodobaniem srébrnych pięcio-frankówek. Kobiéty rozrywają się chętnie od zatrudnień rolnych, szyciem i innemi tego rodzaju robotami. W zimie zaś, na będących i tu w użyciu wieczornicach, zwykły prząść do północy, podczas gdy mężczyzni rozprawiają poważnie o interesach, a przedewszystkiém o projektach i widokach rozszerzania tego szczupłego kącika ziemi, po którym hardą stopą właściciela deptać im wolno. Rozszerzanie to posiadanego gruntu nie odbywa się peryodycznie po sobie następującemi nabytkami i w miarę, jak skapitalizowane oszczędności pozwalają myśléć o takowych. Przez wyrafinowanie w upodobaniu do pomnażania tytułów własności, raczéj niż przez finansową kombinacyą, robotnik—właściciel tutejszy jest ciągle i nieprzerwanie nabywcą. Z kilkudziesięcioma frankami w kieszeni podpisuje on kontrakt kupna tysiąc i więcéj franków kosztującego pola, zastrzegając tylko sobie możność spłacania szacunku ratami półrocznemi lub rocznemi i prawo wejścia w posiadanie po spłaceniu pewnéj liczby rat. Tym sposobem oszczędności jednego i tego samego roku służą częstokroć do pokrycia ostatniéj raty pozostającéj z kupna kawałka pola i pierwszéj raty na kupno kawałka łąki. Resztę szczegółów téj skromnéj ekonomicznéj egzystencyi znajdzie czytelnik w budżecie familijnym, tu jak i wszędzie dołączonym.

PRZYCHODY.

	W naturze.	W pieniąd.
Z własności.		
Z domu mieszkalnego (procent 5% od wartości)	91 00	
Z obory (procent idem)	10 00	5 00
Z ogrodu trzy ary mającego (pr. id)	9 00	
Z pola pod kartofle: 25 arów (pr. id)		100 00
Z 1 krowy (pr. 6%)	14 40	
Z 1 wieprza utrzymanego przez 7½ miesięcy (pr. id)		3 00
Z narzędzi rolniczych (pr. 5%)	1 82	0 82
	126 22	108 82
Ze subwencyi.		
Z prawa pasania inwen. na pastwisku gminném	69 00	
Z prawa zbiérania suchego drzewa w prywatnych lasach sąsiednich	23 90	
	92 90	

Z pracy:

Z pracy głównéj najemnika	168 dni robót polnych, w lecie, na rachunek rozmaitych właścicieli i dzierżawców, po 2,50 dziennie		420 00
	40 dni, w zimie, w kopalniach lignitu, po 2,00		80 00
	32 dni, w zimie, przy spuszczaniu drzewa w lasach rozmaitych właścicieli, po 2,00		64 00
	28 dni przy sprzęcie zboża w departamencie sąsiednim; 4 dni w drodze tam i nazad; wynagrodzenie za robotę wydziałową, równające się 32 dniom po 5,50	56 00	112 00
	4 dni robót na własném polu, po 2,50	10 00	
	4 dni robót około utrzymania domu po 1,00	4 00	
Z pracy głównéj żony najemnika ob. poprzednie budżety.			
Z prac dodatkowych téjże	131 dni rozmaitych robót na rachunek rozmaitych, po 1,428 fr. dziennie przecięciowo		187 00
	Praca w domu i przy domu (uprawa pola i ogrodu, zbiór trawy na pastwisku gminném, utrzymanie krowy, wyrób masła, doglądanie wieprza, przędzenie, przyrządzanie rozmaitych przedmiotów odzienia dla rodziny)	70 40	6 00
Z pracy syna starszego, pomagającego rodzicom		47 20	16 00
		187 60	885 00

Z przemysłu:

Eksploatacya pola i ogrodu, krowy i wieprza, utrzymanie dziecka powierzonego żonie najemnika przez ochronkę sąsiednią (ta ostatnia rubryka przynosi 192 fr. w gotowiznie)	129 08	424 60
Łącznie	535,80	1418,42
		1.954,22

ROZCHODY.

	W naturze.	W pieniądz.
Na potrzeby materyalne:		
Pożywienie (włącznie 380 litrów jabłecznika: 76 fr. w gotowiznie; mięso 11 fr.)	395 10	654 00
Mieszkanie (procent od wartości domu 91 fr. utrzymanie 10 fr.), ...	95 00	6 00
Sprzęty (zakup i utrzymanie)	3 20	4 72
Opał (drzewo suche, zbiérane darmo, drzewo kupne)	23 90	16 00
Światło (oléj, świéce łojowe)		13 00
Odzienie najemnika	6 20	89 10
„ jego żony	6 20	85 10
„ ich dzieci	6 20	70 20
Opranie		12 80
Wydatki karczemne		10 00
Tytuń i tabaka do zażywania		4 00
Koszta leczenia (w bardzo rzadkich razach; przeciętnie)		12 00
Podatki		30 00
Procent 5% od sumy 180 fr., należącéj się jeszcze przez pół roku w dopełnieniu sumy szacunkowéj nabytego pola		4 50
	535 80	1011 42
Na potrzeby moralne:		
Wydatki religijne (opłata ławki w kościele; kwesty)		6 00
Wydatki szkolne		28 00
Rozrywki (wydatki jarmarczne, widowiska) .		4 00
Jałmużny		3 00
		41 00
Oszczędności:		
Ostatnia rata za kupno pola		180 00
Piérwsza rata na kupno łąki		186 00
		366 00
Łącznie	535 80	1418 42
	1954,	22

W sposób wyżéj określony żyjąc, pracując i oszczędzając, w 25 lub 30 lat najdaléj od chwili założenia gospodarstwa, nasz robotnik—właściciel zdołał już zazwyczaj wyposażyć swoje dzieci i przyjść do posiadania całego hektara gruntu, którego uprawa wystarcza do zapewnienia skromnego dostatku całéj rodziny. Opuszczony w téj porze przez dzieci, w małżeńskie związki wchodzące, dom otwiéra pospolicie swoje progi starym rodzicom, którzy, odstępując dzieciom swoim własnego gospodarstwa, przychodzą zażywać przy nich dobrze zasłużonego spoczynku. Zdarza się także, iż kółko rodzinne powiększa się w inny jeszcze sposob. Znalazł czytelnik w budżecie familijnym ślad istniejącego tu obyczaju między żonami najemników przyjmowania za wynagrodzeniem niemowląt, przez sąsiednią ochronkę im powierzanych. Zdarza się więc i to niezbyt rzadko, że karmiąca w ten sposób obce dziecko żona najemnika, że jéj mąż sam przywiązują się do tego dziecka, wychowują je razem ze swoją dziatwą i przypuszczają go, za zgodą rodziny, do równego działu w spadku. Nie kreślimy tu bynajmniéj wymarzonéj idylli. Pracowitość, ze wstrzemięźliwością i oszczędnością połączona, jest zdrową gimnastyką dla duszy i usposabia ją do uczuć szlachetnych.

Godne atoli podziwienia cnoty téj ludności roboczéj narażone są na szwank, którym jest przesada tych cnót samych. Oszczędność do ostateczności posunięta zamienia się w brudne skąpstwo; chęć pomnożenia majątku posuwa się do lichwy. Zdaje się jednak jakoby ruchliwe życie najemnika sprzeciwiało się rozwojowi tych ułomności, które pojawiają się dopiéro w osiadłych już zupełnie na swém gospodarstwie i zamkniętych w niém właścicieli. O téj przeto ciemnéj stronie obyczajów wspomnimy w sposób więcéj szczegółowy dopiéro w następnym rozdziale, którego właśnie arystokracya wiejskiéj ludności roboczéj, właściciele na własnym gruncie lub warsztacie zatrudnieni, będą przedmiotem.

IV.

Właściciele—robotnicy.

Różnice, zachodzące pomiędzy tym typem a trzema poprzedniemi, są dość charakterystyczne, abyśmy mu poświęcili osobną rubrykę, nie dość wielkie wszakże, aby to, co mamy do powiedzenia pod tą rubryką, czém inném być mogło, jak uzupełnieniem już udzielonych czytelnikowi wskazówek. Zaczynamy od uwagi, że towarzysząca naszkicowaniu każdego typu trudność syntetycznego przedstawienia rysów, które dalekiemi od jednostajności, a owszem i w in-

dywiduach i w grupach indywiduów rozmaitemi być muszą, że trudność ta większą jest odnośnie do typu obecnie nas zajmującego niż do któregokolwiek innego. W saméj rzeczy, z niezależności jaką daje własność, wynika większa swoboda, a więc tak w indywiduach jak w grupach indywiduów, większa rozmaitość modły życia. Rozmaitość ta daje się jednak zgrupować w dwie główne kategorye, mianowicie właścicieli, posiadających grunta blisko od miasta, i właścicieli daléj osiedlonych. Zaczynamy od pierwszéj grupy, któréj naturalnym i najznamienitszym przedstawicielem jest, ma się rozumiéć, właściciel pod murami stolicy osiadły. Wśród wielkiéj rodziny robotników wygląda on jakby uprzywilejowany jéj członek, i w saméj rzeczy pod względem nie tylko materyalnego dobrobytu, ale i moralnego wykształcenia wzniósł się on po nad poziom ogólny do niedościgłéj prawie wysokości. Najemnik z hrabstwa Armagnac, czy nawet bretoński *pen-ty*, z zazdrością poglądać może na wszelkim wymaganiom hygieny a nawet estetyki odpowiadający domek, na strawę dostatnią, na odzienie chędogie, któremi się cieszy rodzina jego brata z pod Paryża. Dla moralisty znowu przyjemne musi sprawiać wrażenie niespotykana nigdzie w takim stopniu, na tym szczeblu hierarchii społecznéj, podniosłość etycznego nastroju, objawiająca się czy to w obejściu się z obcymi, czy to w stanowisku, jakie kobiéta zajmuje przy ognisku domowém, czy w gotowości do poświęceń dla zapewnienia dzieciom staranniejszego wychowania, czy w rozsądnéj ocenie dobrodziéjstw pomocy lekarskiéj, czy w ogóle wreszcie w codziennném uwzględnieniu nie tych tylko potrzeb, których ciało się domaga. Ale dla racyonalnéj oceny tego tak wysokiego, przez podstołecznego właściciela zajmowanego stanowiska, uwzględnić koniecznie wypada jakim kosztem on się na niém utrzymuje. A więc najpiérw zaznaczyć przychodzi, że grunt w promieniu 3 do 10 kilometrów na około Paryża zgoła niewdzięcznéj jest natury, cena zaś jego dochodzi w niektórych miejscach do 30.000 fr. za hektar. Jeżeli więc w takich warunkach własność ziemska procentuje wysoko, przypisać to należy zapewne w znacznéj mierze bliskości olbrzymiego miasta, a więc z jednéj strony gotowego zawsze i korzystnego odbytu, z drugiéj strony niewyczerpanego źródła nawozu, ale w pewnéj także i głównéj mierze niezrównanéj, nadludzkiéj nieledwie pracowitości rodzin na tych własnościach osiadłych. Głównemi produktami okalającego Paryż pasa dolin i wzgórków łagodnych są jarzyny, warzywa, owoce, nabiał, jaja, kwiaty i wino podlejszego gatunku, któremu jednak podatek konsumpcyjny, obciążający ten artykuł w obrębie stolicy, zapewnia w pasie podmiastowym (bantiene) korzystny odbyt. Owóż od wschodu do zachodu słońca, rodzina cała

drobnego właściciela, nie wyłączając dzieci zaledwie z niemowlęctwa wychodzących, pracuje na polu, w ogrodzie, w inspektach gdzie dojrzewają nowalie. Zachód słońca nie jest bynajmniéj sygnałem odpoczynku. Należy teraz, przez wieczór cały, układać, wiązać i ładować na wozy zbiór całodzienny, a następnie przed północą jechać z nim do miasta. W saméj rzeczy sprzedaż przez licytacyą na targu (à la halle) ma miejsce od 4-éj do 5-éj z rana, ale wypada wcześnie przybyć, aby w szeregu z kolei do licytacyi przypuszczanych wozów zająć niezbyt dalekie miejsce, i szybko się ze sprzedażą załatwiwszy, wrócić, nim słońce stanie wysoko, do roboty. Zaraz więc po północy, skoro przepisy policyjne pozwalają ogrodnikom zajmować miejsca do téj pory wolnemu przejazdowi mieszkańców miasta zachowane, widać ich, częstokroć z żonami i dziećmi, dla skuteczniejszego pilnowania produktów, spieszących do szeregu w którym długie godziny wyczekiwać im przychodzi. Ale te właśnie godziny są jedyną, zbyt krótką chwilą, w któréj biédnym pracownikom spoczynku i snu używać wolno. Siłą, która ich utrzymuje w tych po za granice natury wychodzących trudach, jest jedynie, jak się zdaje, wszystkim drobnym właścicielom francuzkim wspólna, ale tu więcéj niż gdziekolwiek namiętna żądza dołączenia nowych cząstek ziemi do cząstek już posiadanych. Nadzwyczajne rozdrobnienie własności w téj okolicy ułatwia dopięcie upragnionego celu. I tak znamy takiego właściciela robotnika, który, nie wychodząc z klasy roboczéj i nie potrzebując nigdy pomocy rąk obcych do uprawiania swéj własności, stał się z kolei nabywcą kilkuset cząstek nie stykających się z sobą, aczkolwiek w jednéj i téj saméj gminie położonych. Zkądinąd ci nawet szczęśliwsi nabywcy, dla których pomoc jednego lub kilku najemników staje się koniecznością, nie zwykli wszelako zmieniać trybu życia, najemników owych do stołu swego przypuszczając i na stopie zupełnéj równości traktując. Nie potrzebujemy dodawać, że obok pracowitości, znakomitą także odgrywa rolę w domowéj ekonomii rodzin, o których mówimy, oszczędność, rzadko jednak dochodząca tutaj do skąpstwa i zazwyczaj nie powstrzymująca, jak o tém wspomnieliśmy na wstępie, od wydatków jakich wymaga uszlachetniona cokolwiek norma życia. W szczegóły zresztą ekonomicznego bytu rodzin należących do téj kategoryi wchodzić nie chcemy, ile że byt ten jest wyjątkowy i praktycznego u nas zastosowania dla podanych względem niego wskazówek znaleśćby trudno. Wliomy obszerniéj wspomnieć o drugiéj kategoryi dla któréj przedstawicieli umyślnie w północno-wschodniéj stronie Francyi szukać będziemy, to jest w stronie, gdzie nam najłatwiéj znaleść warunki jak najbardziéj do naszych zbliżone.

Przenieśmy się więc do małéj osady (bourg) w dawném *Laonnais* dzisiejszym departamencie *de l'Aisne.* Terytorium gminy składa się z obszernéj doliny o gruncie krzemienistym, którego jałowość naturalną zwyciężyła cierpliwa uprawa. Przy końcu zeszłego wieku absenteizm kilku głównych właścicieli pozostawiał jeszcze znaczną część ziemi w stanie zupełnych nieużytków (savarts), i wtedy produkcya rolna wystarczała zaledwie do wyżywienia miejscowéj ludności. Dziś ta sama ziemia dostarcza bogatych plonów żyta, owsa, tatarki, maku olejnego, kartofli itp. Czterysta hektarów błota, północną część doliny zajmującego, dostarczają wprawdzie bardzo lichéj tylko paszy, ale także i torfu nader poszukiwanego przez sąsiednie kantony. Torfowiska te, oraz 500 hektarów krzakami porosłych a przeznaczonych na chów królików (garennes), zaopatrują mieszkańców gminy w obfite i tanie paliwo. Ponieważ ziemie bezpośrednio osady dotykające przedstawiają grunt głęboki, bogaty w humus i osobliwie uprawie konopi sprzyjający, roślina ta była przez długie czasy głównym przedmiotem przemysłu całéj okolicy. Postrzeżono jednak że uprawa rzeczonéj rośliny, pochłaniająca całość nieledwie nawozów i ustawicznych starań wymagająca, nie opłacała strat innym uprawom przez się przynoszonych. Dziś zatém konopiarze naszéj osady wolą zaopatrywać się w nawpół już przysposobiony materyał w sąsiednich miejscowościach, dotąd przy téj uprawie obstających, a w ten sposób nabytemu materyałowi poświęcają jedynie chwile wolne od innych zatrudnień rolnych, mianowicie zimowe miesiące. Konopiarzami temi są pospolicie właściciele do badanéj przez nas obecnie kategoryi należący, którzy jednak liczebnie nie zajmują bynajmniéj głównego miejsca pośród ludności miejscowéj. Ludność ta do 1.500 dusz dochodząca a wyłącznie prawie rolnicza,— stosunki handlowe bowiem naszéj osady, rzadkiemi tylko i o więcéj jak 6 kilometrów oddalonemi osadami otoczonéj, są prawie żadne,— ludność ta, mówimy, rozpada się na 469 gospodarstw, które ustosunkowane być mogą jak następuje:

1.	Właścicieli robotników	38
2.	Robotników właścicieli	49
3.	Dzierżawców	28
4.	Domowników przywiązanych do eksploatacyi rolnych	57
5.	Rzemieślników właścicieli (mularzy, torfiarzy itp.)	122
6.	Robotników właścicieli w biédzie będących i wspomaganych przez miłosierdzie publiczne . .	14
7.	Majstrów, kupców, przemysłowców	68
8.	Właścicieli żyjących z dzierżawy swych własności	67

9. Osób należących do profesyj wyzwolonych . . 13
10. Kapitalistów 13

Razem gospodarstw 469

Własność i tu uległa niepomiernemu rozcząstkowaniu, w skutek téj saméj zawsze przyczyny, mianowicie przymusowego podziału, i téj specyalnéj, ale wszędzie prawie spotykającéj się okoliczności, że ponieważ ziemie dotykające bezpośrednio osady żyźniejsze są od innych, spadkobiercy obstawać zwykli przy równym dla każdego udziale w cząstce ojcowizny do domostwa przylegającéj.

Nizka stosunkowo wartość gruntu, ułatwiając nabywanie, przyczyniła się także do powyżéj wymienionego rezultatu, i doprowadziła do tego, że w wielu miejscach, jedna jabłoń lub orzech jeden pokrywa gałęziami swemi cztéry do pięciu cząstek, tak że zbiór owocu odbywać się może tylko w obecności sąsiadów, którym odstąpić wypada połowę owocu padającego na ich pola, co znowu staje się przyczyną sprzeczek i procesów bez końca. Ogół gruntów do naszéj osady należących obejmuje:

Ziem ornych i	4.075,58
Ogrodów i pól pod konopiami	106,27
Lasów i krzaków	584,47
Łąk, błot i torfowisk	417,26
Pod zabudowaniami	9,11
Ulic i dróg	99,77

Razem 5.292,46 hektarów, rozpadających się już w roku 1818, podług kadastru tę datę noszącego, na 6.786 cząstek, rozdzielonych między 776 właścicieli, z których:

338 mieszkających w gminie.
227 zamieszkałych po za obrębem gminy, ale eksploatujących osobiście.
161 zamieszkałych po za obrębem gminy i wydzierżawiających swoje grunta.

W téj liczbie 776 właścicieli:

545	posiadających	1	do	10	cząstek
101	„	10	do	20	„
77	„	20	do	50	„
29	„	50	do	75	„
9	„	75	do	100	„
15	„		więcéj niż	100	„

Podług innéj zaś klasyfikacyi:

136	posiadających	1	do	10	arów
27	„	10	do	20	„

108	posiadających	20	do	50	arów
120	„	50	do	100	„
221	„	1	do	5	hektarów
66	„	5	do	10	„
41	„	10	do	20	„
45	„	20	do	50	„
5	„	50	do	100	„
7	„	więcej niż		100	„

Większe obszary w ostatnich numerach téj klasyfikacyi wspomniane należą bądź do pojedyńczych form na całéj przestrzeni terytorium gminnego rozsianych, bądź do gminy saméj. Cała klasyfikacya zresztą posłużyć tylko może za przybliżoną wskazówkę; aż nadto prawdopodobną bowiem jest rzeczą, iż ilość cząstek wzmogła się znakomicie od roku 1819.

Mimo blizkości błót dotąd nieosuszonych, miejscowość, którą się zajmujemy, cieszy się dość zdrowym klimatem, dzięki szerokości starannie brukowanych ulic; szkodliwy wpływ błotnistych wyziewów zwalcza téż sąsiedztwo obszernego parku oraz owych lasków królikami zaludnionych. W młodéj generacyi daje się jednak dostrzegać widoczne osłabienie konstytucyi fizycznéj, które przypisać wypada podobno brakowi tych macierzyńskich starań, jakich koniecznie wymaga wiek niemowlęcy. W saméj rzeczy, dzieląc pospolicie trudy mężów swoich na polu, matki nie są w stanie karmić dzieci, a owszem pozostawiają je w zamknięciu w ciemnych, zimnych i wilgotnych komórkach.

Skrofuły są bardzo rozpowszechnioném następstwem takiego systematu wychowania, jednakże przypadki ciężkich chorób są dość rzadkie; lżejsze bywają leczone domowemi jedynie środkami, nawet w téj kategoryi klasy roboczéj, którą obecnie opisujemy.

Drobny właściciel téj okolicy, znajdujący się w warunkach mniéj pomyślnych niż ogrodnik pod murami Paryża osiadły, nie dorównywa mu téż w pracowitości, która tam wynika z tych wyjątkowych właśnie warunków, w wyjątkowy sposób na podniecenie energii wpływających. Nie idzie zatém, aby on był próżniakiem; owszem pracowitość jego, aczkolwiek do owych nadludzkich pod Paryżem obserwowanych wysileń nie dochodząca, za wzór jeszcze naszym rolnikom służyćby mogła. Najcharakterystyczniejszym atoli rysem miejscowego obyczaju jest oszczędność, którą wszakże za wzorową do pewnego tylko stopnia uważać można, dochodzi ona bowiem tutaj do fanatyzmu niejako, a więc do przesady, przytłumiając wszelkie inne naturze ludzkiéj w ogóle, a francuzkiéj w szczególności właści-

we popędy. Dzieci już odznaczają się dziwnie posępném obliczém, zdradzającém zaprzątnienie po nad wiek poważnemi myślami. U rodziców zaś towarzyskość, uczynność, wesołość, wszystkie przymioty, których rozkwit bujny w nadsekwańskiéj narodowości czyni ją tak sympatyczną, znikają bez śladu. Natomiast, obok rozmiłowania się w zysku, pojawia się dorobkowiczowska duma, która nikomu nie chce być nic winną, i oto stosunki sąsiedzkie odznaczają się jak gdyby z Ameryki przyniesioną szorstkością, nieużytością, skłonnością do niedostępnego zamykania się w swych ścianach i w swych prawach i „każden u siebie, każden dla siebie" staje się wspólném wszystkich drobnych właścicieli hasłem.

Nie wyklucza wprawdzie przykry ten ustrój charakteru zasad uczciwości, głęboko na religijnym w rzeczywistości gruncie zaszczepionych. Mówimy „w rzeczywistości," gdyż pozornie całkowite prawie, nawet między kobietami, usunięcie się od religijnych praktyk, zdaje się zdradzać zupełną w tym względzie obojętność. Jest to jednak jedna z tak częstych w ludowych obyczajach anomalij, mająca tutaj źródło „w pozostałym w spadku po dawnych nadużyciach rozbracie między ludem a duchowieństwem, którego to rozbratu, odstąpienie od tradycyjnie przekazywanego ducha religijnego, nie jest koniecznem następstwem. Na nieszczęście obok ducha religijnego, miejsce zaniechanych przez niechęć dla duchowieństwa obrzędów kościelnych, zastępują najszpetniejszym zabobonem natchnione gusła.

Zdaje się, że bardzo powszechne między dziećmi do téj kategoryi należącemi uczęszczanie do szkoły powinnoby zwalczać skutecznie z ciemnoty umysłowéj wynikający zabobonny kierunek; gdy jednak chłopcy opuszczają pospolicie ławę szkolną w 12-ym lub nawet 11-ym roku, aby zaprządz się do wspólnéj z rodzicami roboty, wpływ tak wcześnie przerwanego wykształcenia nie może być wystarczający w tym względzie. Wracając do wspomnionego wyżéj głównego rysu obyczajowego, zaznaczyć wypada że zachodzi pod tym względem dość wybitna różnica poglądów i dążeń między męzką a żeńską połową ludności roboczéj. U żeńskiéj połowy mianowicie pojawiają się obok oszczędności i biorą częstokroć górę nad nią niejakie liberalne lub estetyczne pojęcia: I tak np. żony naszych właścicieli robotników obstają pospolicie przy tém, aby dzieci z przyzwoitém ochędóstwem ubiérane były i używały pewnych rozrywek. W obec zaś upartéj opozycyi mężów zmuszone są uciekać się do takich środków, jak ukrywanie części przez ich ręce wpływających przychodów, np. z nabiału lub drobiu. Tym sposobem w jednéj z ta-

kich rodzin udzielane bywały dzieciom przez lat kilka, jak nam wiadomo, lekcye tańca.

Nie możemy zresztą owéj do przesady, jakeśmy rzekli, dochodzącéj oszczędności, brać zupełnie za złe praktykującym ją rolnikom, skoro z jéj pomocą nawet utrzymują się oni zaledwie na swojém stanowisku, nadto dobijają się wyższego, a owszem ustępują stopniowo ze swych drobnych własności, przechodząc do kategoryi najemników. Winę takiego stanu rzeczy przypisać należy i tu podobno obowiązującym prawom podziałowym. Historya zresztą jednéj, bliżéj nam znanéj rodziny będzie w tym względzie więcéj pouczającą od najrozciąglejszych wywodów. Dzieci drobnego właściciela ziemskiego, *właściciel-robotnik* nasz i jego żona pobrali się w roku 1840, mając on lat 24, ona— o dwa lata mniéj. Stosowność wyposażeń raczéj niż wzajemne upodobanie w sobie była powodem tego związku. Młode małżeństwo nabyło zaraz po ślubie dom mieszkalny, który pochłonął cały jego fundusz piéniężny i obciążył je nadto długiem 1.200 fr. wynoszącym. Dług ten spłacony został w przeciągu lat pięciu. Następnie, od roku 1842 do 1857, młoda kobiéta wydała na świat siedmioro dzieci, z których troje umarło w niemowlęcym wieku. W tym samym przeciągu czasu, pracując stale razem z mężem w polu, matka wyręczaną bywała w dozorowaniu dziatwy przez własną matkę, aczkolwiek wspólnie nie mieszkającą. Śmierć téj ostatniéj uczyniła skromnego właściciela domu i ogródka, dotąd do kategoryi robotników-właścicieli należącego, spadkobiércą 18-tu arów gruntu oraz kilkuset franków, do którego to spadku dołączył wkrótce 2 hektary gruntu po ojcu. Przeszedłszy tym sposobem do kategoryi właścicieli-robotników, dokupił nasz spadkobiérca drugiego konia do jednego już posiadanego i odnowił cały swój sprzęt rolniczy. Nakoniec w r. 1862 pomnożył jeszcze swoję własność ziemską, dwoma kawałkami gruntu, 58 arów wynoszącemi a nabytemi tym razem już za owoc długoletnich oszczędności. Ogół posiadanych przezeń gruntów wyniósł tym sposobem 4 hektary, 14 arów, w 19-tu oddzielnych kawałkach. Następnego roku pokrył on na nowo wszystkie swoje budynki, zmieniając słomę na łupek, przyczém i w urządzeniu wewnętrzém zaprowadził znaczne ulepszenia. Wydatek ten obciążył go znowu długami. Nie były one jeszcze w zupełności spłacone, kiedy w roku 1865 wypadło mu wyłożyć 800 fr. na posag najstarszéj córki. Druga córka otrzymała w roku 1867 takie same wyposażenie. Obecnie pracują małżonkowie nad zebraniem odpowiedniego wyposażenia dla synów. Ale za lat kilka, gdy pomoc tych ostatnich w gospodarstwie zostanie odjętą podupadającym już na siłach rodzicom, wypadnie im, uprze-

dząjąc zresztą tylko o czas krótki dzieło prawa spadkowego, zlikwidować nabyte z tak długim trudem mienie. Sprzęt rolniczy pójdzie pod młotek, a większą część gruntów rozbiorą, z obowiązkiem płacenia dożywotniéj pensyi synowie, których życia zadaniem będzie znowu sklecenie podobnéj i w podobny sposób rozpaść się mającéj budowy.

Praca to Sizyfa, jak widzimy; ale bądź co bądź, bardzo surowe rachowanie się z potrzebami życia jest téj pracy koniecznèm prawem. Przypatrzmy się teraz szczegółom w ten sposób uwarunkowanego bytu.

Mieszkanie rodziny, któréj historyą skreśliliśmy wyżéj, składa się z domu parterowego, budowanego z piaskowca pod dachem łupkowym, a połączonego bezpośrednio ze stajenką i stodołą z takiego samego materyału. Dom mieszkalny obejmuje dwie izby, czyli, według wyrażenia tamtejszego, dwa *miejsca mieszkalne* (places d' habitation). W piérwszej izbie widać niezbędny w każdém mieszkaniu francuzkiém kominek, ozdobiony kilkoma obrazami, łóżko rodziców i dwie szafy z dębu woskiem wycieranego, zamykające jedna bieliznę, druga—sprzęty stołowe i niektóre artykuły żywności. W drugiéj izbie zwanéj *piekarnią* (fournil) mieści się łóżko dzieci (przed wyjściem za mąż siόstr synowie spali w stajni), wielka dzieża do rozczyniania chleba, piec do pieczenia takowego i cały sprzęt kuchenny. W tém to *miejscu* przyrządzane bywa i spożywane jedzenie. Z piérwszej izby otwiérają się drzwi do stajni, która służy także za warsztat; stajnia zaś komunikuje ze stodołą mającą dwa wyjścia, na ulicę i na podwórko.

Z tego typowego w téj stronie Francyi rozkładu zabudowań wypada, że gdy stodoła, zwykle zapełniona, nie daje wolnego przejścia, przeprowadzanie koni do i ze stajni, wynoszenie nawozu i t. d., odbywać się musi przez piérwszą izbę mieszkalną. Mieszkańcy atoli nie zdają się uczuwać niedogodności takiego rozporządzenia, mimo którego wzorowa schludność panuje tak w piérwszéj izbie jak w całém wnętrzu zabudowań. Mury obu izb bielone raz w rok wapnem przed uroczystością miejscowego patrona, podłoga z krédziastéj ziemi mocno ubitéj, łóżka i szafy często wycierane woskiem, wszystko błyszczy czystością.

W tyle zabudowań znajduje się małe podwórko a na nim kurnik, chlewek i komórka dla królików. Dość nędzny płot drewniany oddziela to podwórko od ogrodu warzywnego. Składa się on tylko z wąziutkiego między murami sąsiednich zabudowań zacieśnionego skrawka ziemi, na którym żadne nawet drzewo owocowe nie wyra-

sta i z którego płody nie opędzają nawet potrzeb rodziny. To téż nasz właściciel, opasawszy żywym płotem kawałek gruntu swego opodal od wioski, założył na nim dodatkowe kwatery warzywne.

Mieszka nasza rodzina dość skromnie, jak widzimy, ale fanatyczna owa oszczędność, o któréj mówiliśmy objawia się dopiéro w pożywieniu. W lecie śniadanie, o ósméj, składa się pospolicie z suchego chleba żytniego, z dodatkiem kiedy niekiedy tylko najprostszego séra (fromage ecrémé). Na objad, o 12-téj, jedzą zupę z mléka, szczawiu lub cebuli i jajecznicę, którą częstokroć zastępuje sałata, albo, przy końcu lata, jarzyny w zupie gotowane. Na podwieczorek, o 4-téj, powraca ranny chléb żytni, a kolacya, o ósméj, obchodzi się jedną zupą. W zimie jadać zwykła rodzina tylko trzy razy dziennie, mianowicie na śniadanie o 9-téj, zupę z jarzyn i jarzyny w zupie gotowane; na podwieczorek o 2-éj—kartofle w popiele pieczone, groch, lub soczewicę; i znowu zupę na kolacyą, o 6-téj. Słonina czasami tylko wchodzi, jako okrasa, do tych potraw, a z wyjątkiem kilku dni uroczystych mięso nie pojawia się nigdy na stole. Tym dniom uroczystym poświęcony bywa jeden z chowanych na sprzedaż królików, albo téż rzadziéj—kura jedna. Do rzeźnika po mięso, zagląda nasza rodzina raz w rok tylko, w dzień święta patrona gminy. Co więcéj, aczkolwiek zwyczajnym napojem w téj okolicy, nawet w rodzinach prostych najemników, jest jabłecznik, albo wino lichego gatunku z gór Ardeńskich pochodzące, rodzina nasza pija czystą wodę. Dwa razy tylko, przy zaślubinach obu córek, zakupioną została sto litrów wynosząca beczułka jabłecznika. Wódki nie zwykły także używać rodziny do téj kotegoryi należące; gdy przeciwnie prości najemnicy nie obchodzą się bez „kropli" przed rozpoczęciem roboty zwykle bądź w domu, bądź w karczmie zażywanéj.

Zatrudnienia naszego właściciela-robotnika i jego rodziny są, jak już napomknęliśmy o tém, dwojakiéj natury, częścią rolnicze, częścią przemysłowe. Rolnicze, ma się rozumiéć, zajmują piérwsze miejsce; w ciągu jednak zimowych miesięcy, przyrządzanie konopi już od czwartéj z rana zajmuje całą rodzinę. Dla oszczędności paliwa warsztat mieści się w stajni, gdzie prosty drąg oddziela pracujących od koni. Mąż tedy zajmuje się wydzielaniem z konopi, już uprzednio z łyczka odartych, najdłuższych i średnich włókien, które żona znowu z pomocą dzieci zwija w sznurki i układa w pęki 5 kilogramów ważące, dostawiają się one następnie prządkom; pozostające zaś krótsze włókna sprzedają się osobno, jako pakuły. Niektórzy z konopiarzy posuwają się aż do tkania płótna, ale takowe sprzedawane bywa tylko na worki.

Przedmiotem innego rodzaju przemysłu jest właściwy téj okolicy produkt mineralny, nazywany *popiołem czarnym* (*cendres noires*), którego eksploatacyą i wywozem do sąsiednich Ardenów, gdzie jako nawóz bardzo jest pożądany, trudnić się zwykli właściciele-robotnicy w miesiącu Marcu.

Dzieląca przemysłowe zatrudnienia męża, żona właściciela-robotnika nie pozostaje także obcą żadnéj z robót, do rolnéj eksploatacyi należących. Jeżeli cokolwiek wcześniéj od reszty rodziny zchodzi z pola, to jedynie dla przygotowania pożywienia dla niéj, a także dla rozdania pokarmu zwierzętom domowym. Uprawa ogrodu warzywnego i jarzyn okopowych jest specyalnie obowiązującym ją działem zajęć rolniczych, które zresztą nie wykluczają bynajmniéj zwykłych obowiązków gospodyni. W praniu bielizny wprawdzie przychodzą jéj w pomoc córki, aczkolwiek zamężne; przysługa to jednak, którą z kolei nawzajem oddać wypada. Tym sposobem jest ona i tu, jak prawie wszędzie we Francyi, najpracowitszym członkiem rodziny.

Dzieci, synowie lub córki zaczynają pracować od lat 9; najpiérw pasając krowy przy drogach i doglądając ptastwa domowego, nierogacizny i królików w niobecności matki; późniéj zbiérając z pól codzienny zapas zielonéj paszy, pieląc, przetrząsając siano i pomagając w przyrządzaniu konopi. Późniéj cokolwiek przyzwyczaja ich powoli ojciec do prowadzenia pługa, brony i wozu; a w trzynastym roku orzą już i machają cepem lub kosą, jak on sam. Mają wszakże swój wyłączny rodzaj zatrudnienia. W miesiącu Marcu, w epoce coroczněj podróży ojca do Arden, zwykli chłopcy i dziewczęta podejmować się, na rachunek obcych przedsiebierców, tak zwanego rozkładania (étendage) torfu, czyli wożenia taczkami cegiełek torfowych, natychmiast po wydobyciu, na miejsce przeznaczone do suszenia takowych. Robota ta opłaca się 0,75 do 1 franka za tysiąc rozłożonych cegiełek, których téż taką mniéj więcéj liczbę w ciągu dnia jeden pracownik rozłożyć może.

Oszczędność nie pozwala naszym pracownikom rozerwać się po tak ciężkich trudach, żadną zabawą. Jedyną rozrywką niedzielną jest oglądanie pól uprawionych i obrachowywanie przyszłych plonów; a i to jedynie w chwilach wolnych od odkładanéj zwykle do Niedzieli naprawy sprzętów gospodarskich.

Budżet nakoniec rodziny naszéj przedstawia się jak następuje.

PRZYCHODY.

Z własności:

	W naturze.	W pieniądz.
Z domu mieszkalnego wraz z podwórzem (procent 5% od wartości)	160 00	
Z pól (procent 3% id.)	244 44	
Z ogrodu „ „ „	17 28	
Z stajni i stodoły (procent 3% id.)	51 00	
Z chlewika i komórki dla królików (pr. id.) . .		3 00
Z 2 koni, 1 krowy, 1 jałówki (pr. 5% id.) . .		65 00
Z 2 wieprzów, 18 kur, 6 królików (pr. 5% id.)		5 90
Z narzędzi (pr. 5 % id.)	4 56	57 56
(Suma około 20 fr. przechowywana jako kapitał obrotowy nie procentuje.)	— —	— —
	477 28	131 46

Z pracy:

(Na własny i cudzy rachunek.)	Ilość dni roboczych dostarczanych przez męża, żonę, 2 dzieci.			Ilość zapłaty dziennéj zarabianéj przez męża, żonę, 2 dzieci.				
Przy uprawach i zbiorach	182	154	313	3 00	1 20	0 80	229 18	752 02
Przy młóceniu i nawożeniu . .	35	10	74	2 00	0 80	0 50	„ „	115 00
Przy eskploatacyi koni i krów . .	13	49	25	2 00	1 00	0 50	87 50	— —
Przy eksploatacyi innych zwierząt	„	26	10	„	1 00	0 50	— —	31 00
Przy eksploatacyi ogrodu warzyw.	„	12	8	„	1 20	0 80	20 80	
Przy eksp. konopi	90	62	206	3 00	1 20	1 00		550 40
Przy eksploatacyi *popiołu czarnego*	32	„	„	2 00	„	„		64 00
Przy torfie	„	„	52	„	„	0 80		41 60
Przy domu (reparacya sprzętów, pranie etc. . . .	4	37	„	2 00	1 00	„		45 00
Przy szarw. gmi.	3	„	„	3 00	„	„	9 00	
	359	350	688				346 48	1599 02

Z przemysłu:		
Z rozkładania torfu (dodatek do wynagrodzenia dziennego wynikający z zamiany pracy dziennéj na pracę wymiarową) . . .		10 40
Z eksploatacyi pól	13 48	
„ koni i krów	733 72	
„ innych zwierząt		76 40
„ ogrodu warzywnego	69 26	
„ konopi		169 66
„ *popiołu czarnego*		124 00
Z reparacyi ruchomości, prania i utrzymania bielizny		42 46
	816 46	422 92
Łącznie	1640 22	2153 40
	3793 62	

ROZCHODY.

Na potrzeby materyalne:	W naturze.	W pieniądz.
Pożywienie	1441 22	71 86
Mieszkanie (procent 5% od wartości domu) . .	160 00	
Utrzymanie domu mieszkalnego	„ „	40 00
Sprzęty (zakup, utrzymanie)		89 00
Opał (110 pęków gałęzi po 0,15—5.000 cegiełek torfu po 14 fr. tysiąc)	„ „	103 00
Światło (12 kil. oleju po 2,80, 2 k. świec łoj. po 1,80)	„ „	37 20
Odzienie właściciela		95 56
„ jego żony		64 24
„ dwojga dzieci		152 80
Opranie i naprawa bielizny		116 00
Podatek gruntowy		66 14
Podatek gminny (3 dni szarwarku z użyciem koni	39 00	
Patent handlującego konopiami		30 60
	1640 22	866 40
Na potrzeby moralne (1):		
Kościół		1 00
Rozrywki rodziców (wydatki w karczmie w dni uroczyste)		3 00
Rozrywki dzieci (lekcye tańca)		16 00
		20 00
Oszczędność roczna		1266 00
Łącznie	1640 22	2152 20
	3793 62	

(1) Na jałmużny nie czyni rodzina żadnego wydatku oznaczyć się dającego,

V.

Wypada nam jeszcze zapoznać czytelnika z pewnemi typami, które przyjęta przez nas systematyczna klasyfikacya każe nam zaliczać do tego działu, aczkolwiek na pozór zdają się mu one obcemi.

Do takich należą najprzód rozmaite odmiany typu rzemieślników wiejskich, jako to: kowale, kołodzieje, cieśle i t. p. Przedstawicielem tego typu będzie dla nas kowal-rolnik z prowincyi „du Maine,“ którą już czytelnik z nami odwiedził.

Rzemieślnik z profesyi, poświęcający wyłącznie prawie czas swój robotom do téj profesyi należącym, jest jednak nasz kowal rolnikiem, posiada bowiem, oprócz ogrodu 5 arów obejmującego, do 80 arów pola zasiewanego zbożem, którego uprawie wszystkie wolne od rzemiosła chwile poświęca. Z poprzedniemi łączy on jeszcze trzecią profesyą: jest *bankierem* rolników, sąsiadów jego pola i klientów jego kuźni. I tak, dostarcza on im na kredyt wszystkich zapotrzebowanych przez nich wyrobów kowalskich, wtedy dopiéro żądając zapłaty, kiedy mu się trafia sposobność korzystnego nabycia kawałka ziemi, lub kiedy wypada mu wnieść roczną, czy półroczną ratę, na rachunek dokonanego już nabytku. Kredyt ten opłaca się, ma się rozumiéć kredytującemu, drogą rozmaitych przysług sąsiedzkich, a mianowicie bezpłatnéj pomocy w uprawie i sprzęcie pola. Ale, nietylko po lemiesze, kosy i okucia udają się sąsiedzi rolnicy do naszego kowala; sława *kapitalisty* sprowadza doń innego jeszcze rodzaju klientów, którzy wychodzą z jego domu z woreczkiem, srébrnemi najczęściéj pięciofrankówkami napełnionym, zostawiwszy w zamian zwitek papiéru ze swoim podpisem. Dotykamy tu jednéj z najboleśniejszych ran francuzkiéj ludności rolnéj, lichwy. Rana to tém trudniejsza do wyleczenia, że żywiołem podsycającym ją jest ta sama strona charakteru francuzkiego, która rodzi namiętne upodobanie do powiększania własności ziemskiéj. Trzy czwarte pożyczek, zaciąganych u kapitalistów takich jak nasz kowal, mają cel jedyny zakupienie pożądanego od kilku, lub od kilkunastu lat czasem, kawałka gruntu. Nadmieńmy, że prawo przeciwko lichwie wymierzone nie znajduje tu zastosowania, procent bowiem przez pożyczającego opłacany nie przenosi zazwyczaj legalnéj stopy. Tylko, gdy konkurencya nadmiarę podnosi cenę nabywanéj ziemi, nabywca legalnego nawet procentu od pożyczonego kapitału opłacić nie jest w stanie i znajduje się na łasce wierzyciela. Jeżeli tym wierzycielem jest sąsiad-kowal, to pewno lemiesze i okucia niewypłacalnemu dłużnikowi dostarczane nie będą najpiérwszéj dobroci, a niewypłatny dłużnik nie będzie w możności upominania się o lepszy towar. Dodajmy, że za-

zwyczaj jeszcze pożyczona u sąsiada-kowala sumka pokrywa część tylko szacunku nabytéj własności, za resztę zaś sprzedający własność ofiaruje kredyt, zachęcając do kupna bardzo nizką częstokroć stopą procentową, ale podnosząc natomiast szacunek ponad wszelką słuszność i tym sposobem w błąd wprowadzając nabywcę zaślepionego namiętnością. Na obszerną także skalę praktykowaną bywa lichwa przez wędrownych handlarzy (colporteurs), ofiarujących jak najłatwiejszy kredyt i zmuszających następnie niewypłacalnego dłużnika do przyjmowania najpodlejszego towaru; a obok tego będących prawdziwą plagą wiéjskiéj ludności przez kolportowanie złych książek, wszetecznych rycin i t. p. szkodliwych artykułów.

Wracając do naszego kowala, dochody jego aż z trzech naraz źródeł płynące, jako rolnikowi, majstrowi i kapitaliście, rachują się już na tysiące franków; cała zaś ta zamożność jest jego osobistém dziełem. Syn ubogiego wyrobnika, oddany on został w lat 14, według obyczaju, *na terminowanie* do majstra kowalskiego, zostającego w podobnych jak on sam dzisiaj warunkach. Według obyczaju także rodzinne kółko otworzyło się na jego przyjęcie. Tradycyjny to obyczaj, przechowywujący się dotąd w niektórych profesyach, nawet w Paryżu; stosuje się on atoli jedynie do terminatorów (apprentis) a nie ma zastosowania do czeladników (compagnons) w tym charakterze do majstra wchodzących. Czeladnikiem został nasz terminator dopiéro po trzech latach, w ciągu których w piérwszym roku nie pobiérał żadnego wynagrodzenia, oprócz mieszkania, odzienia i oprania, w dwóch zaś następnych otrzymywał od 12 do 14 fr. miesięcznie. Jako czeladnik zaczął już pobiérać od 24 do 26 franków miesięcznie, oprócz przypadkowych gratyfikacyj otrzymywanych od nawiedzających kuźnię; większą część tego zarobku odkłada na bok, i w dwudziestym trzecim lub czwartym roku znalazł się na czele kapitaliku, który mu o założeniu własnego warsztatu i gospodarstwa pomyśléć pozwolił. Od téj chwili mienie jego powiększało się ze wzrastającą szybkością; zauważyć bowiem musimy, że jeśli skala jego życia podnosiła się w miarę wzrostu dochodów, to podnosiła się także jednocześnie cyfra corocznych oszczędności. Skala życia pozostaje zresztą bardzo umiarkowaną.

Jedna duża izba obok kuźni, oprócz piwnicy i strychu w którym się mieści łóżko czeladnika, stanowi całe mieszkanie. W sprzętach ani w odzieniu nie ma śladu najmniejszego zbytku. Podstawą pożywienia jest chléb, jarzyny okraszane tylko dwa razy na tydzień słoniną i jabłecznik służący często do przyrządzania tak zwanéj *mieć*, przysmaku złożonego z ośrodka chleba, maczanego w tym napoju a spożywanego zazwyczaj, zamiast chleba z sérem, na podwieczorek.

Jako napój jabłecznik bywa w jednéj trzeciej części rozcieńczany wodą, i rodzina kowala wypija od 3 do 4 litrów dziennie tego trunku. Budżet nakoniec przychodów i rozchodów przedstawia się jak następuje:

PRZYCHODY.

Z własności:

	W naturze.	W pieniądz.
Z domu (procent 5% od wartości téj części domu, która do mieszkania służy) . . .	87 00	
Z ogrodu obejmującego 5 arów (procent 5% od wartości)	35 00	
Z pola wynoszącego 80 arów, zasiewanego zbożem (pr. id.)	110 00	
Z sumy (250 fr. przecięciowo) należącéj się od zwykłych klientów za dostarczane przedmioty; korzyści w zamian otrzymywane obliczone w przybliżeniu	12 00	
Z drobiu i 1 wieprza (procent 6%)	1 20	2 28
Z części domu kuźnię zawiérającéj (procent 5%)		58 00
Z narzędzi kowalskich (804 fr.) i rolniczych (14 50) (procent 5%)	1 44	84 00
	246 64	144 28

Ze subwencyi:

Z prawa zbiérania nawozu na drogach publicznych (1)	2 00	

Z pracy:

Z pracy głównéj robotnika: 300 dni pracy w kuźni; wynagrodzenie, jakieby otrzymał robotnik najemny tę samę pracę wykonywający		1260 00
Z prac dodatkowych tegoż: 3 dni przy uprawie ogrodu (po 1 40 w przybliżeniu)	4 20	
3 dni przy uprawie pola (po 1 40) .	4 20	
2 dni około utrzymania domu (po 1 40)	2 80	

---

(1) Doszedłszy do pewnego dostatku, robotnik ten nie posługuje się innemi subwencyami będącemi w użyciu w téj okolicy.

Z pracy głównéj żony robotnika (ob. poprzednie budżety):		
Z prac dodatkowych tejże: Przędzenie konopi dla domowego użytku (12 kilogr.) 33 dni (po 0.68)	22 44	
Przędzenie konopi na sprzedaż. 34 kilogr. (93 dni po 0.68)		63 24
15 dni przy uprawie ogrodu (po 0.80)	12 00	
12 dni przy uprawie pola (po 1.20)	14 40	
Doglądanie zwierząt (15 dni) (po 0.80)		12 00
Przyrządzanie odzienia dla rozmaitych członków rodziny (20 dni po 0.80)	16 00	
Z pracy dwojga starszych dzieci (60 dni w przybliżeniu po 0.20)	8 00	4 00
Z pracy głównéj czeladnika (300 dni pracy w kuźni po 2.172 w przybliżeniu)		651 60
Z prac dodatkowych tegoż: 5 dni przy uprawie pola do robotnika należącego (po 1,40)		7 00
18 dni przy sprzęcie zboża na rachunek sąsiadów (wynagrodzenie za tę pracę należy do czeladnika)	” ”	” ”
	84 04	1997 84
Z przemysłu:		
Z głównego przemysłu (kowalskiego)		646 40
Z przemysłów dodatkowych (z uprawy ogrodu i pola, z chowu zwierząt)	46 86	50 28
	46 86	696 68
Łącznie	379 54	2.838 75
	3.218, 24	

ROZCHODY.

Na potrzeby materyalne:

	W naturze.	W pieniądz.
Pożywienie	251 34	1228 58
Pomieszkanie (procent od wartości domu 87 fr.; utrzymanie 14,80)	89 80	12 00
Sprzęty (zakup i utrzymanie)	6 40	12 60
Opał (2 kilogr. dobrego drzewa)		139 88
Światło (14 kilogr. świéc łojowych po 1,34; 12 kilogr. świéc zwanych „oribus“ złożonych z jednéj części łoju i trzech części żywicy po 0,70		23 10

Odzienie robotnika	16 00	113 76
„ jego żony	6 40	73 60
„ jego dzieci	9 60	91 40
Opranie		35 60
Wino i wódka wypijane bądź po za domem na targach, bądź w domu w zapusty		40 00
Koszta doktora i apteki		20 00
Pensya czeladnika		300 00
Podatek od nieruchomości i ruchomości		23 40
Patent		24 00
Podatek gminny (okupienie szarwarku za majstra i czeladnika)		9 00
Oszczędność roczna		619 28
	379 54	2766 20
Na potrzeby moralne:		
Opłata za ławkę w kościele; kwesty		6 00
Jałmużny (oprócz chleba żebrakom rozdawanego)		1 00
Koszta szkolne za dwoje dzieci		65 50
		72 50
Łącznie	379 54	2838 70
	3.218, 24	

Dzieci naszego kowala uczęszczają do szkoły do lat 14-tu, w tym zaś wieku albo zaczynają terminować u ojca, albo oddane bywają w służbę do sąsiedniego właściciela lub dzierżawcy, dla obeznania się tam z gospodarstwem i nauczenia się jak kierować eksploatacyą zostawionego przez rodziców gruntu.

Drugim z kolei typem o którym tu wspomnieć musimy jest typ nauczycieli wiejskich (instituteurs d'écoles primaires); skala życia zbliża ich do ludności roboczéj, a rodzaj zatrudnienia, niedość umysłowo podniesiony, aby koniecznie w rzędzie profesyi liberalnych znajdował miejsce, pozwala zaliczyć ich do jednéj z pracownikami na roli kategoryi. Pod względem jednak hierarchii społecznéj zachodzi wybitna różnica pomiędzy dwiema odmianami typu, z których jedną stanowi *dawny*, drugą *nowoczesny* nauczyciel wiejski. *Dawny* nauczyciel, pospolicie syn prostego chłopa, wypadkowi najczęściéj zawdzięczał nieco wyższe wykształcenie, które go do kierowania szkółką wiejską uzdolniało; nie mogąc téż ubiegać się o wyższą posadę, pozostawał wśród swojéj sfery, żył na stopie zupełnéj równości z prostymi chłopami, odzieniem i obyczajami do nich podobny, a jeżeli sam, dla braku czasu, nie imał się pługa lub kosy, to żonę zwykł wy-

syłać do żniwa i innych polnych robót. Typ ten znika dziś szybko. *Nowoczesny* nauczyciel często jest dzieckiem miasta; prawie zawsze wychodzi ze specyalnéj do zawodu nauczycielskiego przygotowującéj szkoły (*école normale primaire*), i szkółka wiejska jest dlań tylko piérwszym etapem na drodze awansu w nauczycielskim zawodzie. Tak więc pochodzenie, jak wychowanie, wykształcenie i wreszcie dążenia wyższe, stanowią między nim a rodzicami kształconych przezeń dzieci, między nim a temi dziećmi samemi, nie istniejącą niegdyś przegrodę. Nie wiemy czy pod pewnym względem nie należy żałować dawnego porządku rzeczy. Z jednéj bowiem strony wątpliwém jest, aby *nowoczesny* nauczyciel poświęcał się z zamiłowaniem zatrudnieniu, które koniecznie za przykry tylko przystanek w swéj karyerze uważać musi; sumienność zaś, choćby największa, zamiłowania nie zastąpi. Z drugiéj strony ważniejszą może stroną powołania nauczyciela wiejskiego, od udzielanéj przezeń nauki czytania i pisania, do któréj udzielania zresztą bardzo wysokiego uzdolnienia nie potrzeba, jest wpływ moralny wywierany na dziatwę. Owóż, że do wywierania takiego wpływu dawny nauczyciel był sposobniejszym od nowoczesnego wykazywać nie potrzebujemy.

Prawo z roku 1862 usiłowało wprawdzie zapobiedz niedogodnościom z nowego porządku wynikającym, przywiązując nauczycieli wiejskich do zajmowanych przez nich posad, stopniowanemi podług lat służby na tych posadach spędzonych, piénięźnemi wynagrodzeniami.

I tak, ponieważ we francuskiéj organizacyi szkółek wiejskich, płaca nauczycieli ustosunkowana jest, w pewnéj mierze z ilością uczniów, prawo z roku 1862 oznaczyło sumę 700 fr. jako *minimum* rocznéj płacy dla nauczycieli liczących 5 lat służby, zostawiając przytém ministrowi oświaty możność podniesienia tego minimum do 800 fr. dla nauczycieli liczących 10 lat służby, a do 900 fr. dla nauczycieli pietnastoletnim zasłużonych zawodem. Prawo to jednak chybiło zamierzonego celu. W saméj rzeczy, głównym czynnikiém wskazanéj przez nas wyżéj przemiany stosunków było nie tyle rozpowszechnienie początkowych szkół normalnych, ukończenie bowiem takiéj szkoły nie jest niezbędnym dla objęcia posady nauczyciela wiejskiego warunkiem, ile natchniona prądem opinii publicznéj w kierunku kształcenia mas, dążność rad gminnych do stopniowego podwyższania przyznawanych nauczycielom wiejskim wynagrodzeń. Tym sposobem wynagrodzenia te, nieraz wyrównywające prawie pensyi przez nauczyciela liceum (1) pobiéranéj, przewyższały minimum prawem określone.

(1) Liceum odpowiada naszemu gimnazyum.

Wracając do naszego czysto ekonomicznego punktu widzenia, objaśnić chcemy, iż w dzisiejszym stanie rzeczy na normę płacy nauczycieli wiejskich wpływają trzy a nawet cztéry czynniki: 1) 200 fr. stałéj pensyi; 2) dochód z wpisowego; 3) wynagrodzenie ewentualne obliczone w stosunku do ilości uczniów bezpłatnie do szkoły uczęszczających; 4) ewentualny także dodatek do pensyi dla dopełnienia, w potrzebie, *minimum* prawem oznaczonego. Na mocy prawa z roku 1850, procent 5% od całéj w ten sposób pobiéranéj płacy składany być winien przez nauczycieli do ustanowionéj przez to samo prawo kasy emerytalnéj.

Koszta ogólne utrzymania szkółki wiejskiéj pokrywane bywają, w braku zapisowego lub t. p. funduszu, kredytem wyznaczonym na ten cel, przez uchwałę rady gminnéj, z ogólnych dochodów gminnych. Jeżeli te nie wystarczają, uchwała rady gminnéj, lub w braku takowéj, dekret władzy wykonawczéj ustanawia specyalny dodatkowy podatek. Jeżeli gmina sama, lub w połączeniu nawet z sąsiedniemi gminami, nie jest w stanie znieść tego dodatkowego podatku, rozłożony on zostaje na cały departament, przez uchwałę rady departamentowéj. Nie powinien jednak tén podatek przenosić 2 cent. dodatkowych do 4 stałych podatków (*contributions directes*); jeżeli więc tym sposobem i środki departamentu niewystarczającemi się okażą, wtedy minister oświaty przychodzi nakoniec w pomoc subwencyą udzieloną z ogólnego, swojemu ministerium przysługującego kredytu.

Oprócz wynagrodzenia piénięźnego, nauczyciel wiejski otrzymuje jeszcze od gminy dom mieszkalny z małym ogródkiem; od uczniów zaś swoich lub ich rodziców niejakie, coraz rzadsze dzisiaj, prezenta w naturze, najpospoliciéj nabiał lub warzywa, za które sąsiad, ojciec kształcącego się w szkółce ucznia, przyjąć nie chce zapłaty. Wspomnieć téż wypada, iż regulamin pozwala dzieciom nauczyciela uczęszczać bezpłatnie do szkółki, bez zamieszczenia ich na liście ubogich uczniów, za których gmina opłaca wpisowe. Co więcéj, synowi nauczyciela pragnącemu wstąpić do jednéj ze wspomnianych przez nas wyżéj szkół normalnych, posada przez ojca jego zajmowana służy za tytuł do otrzymania stypendium w téjże szkole.

Jeżeli dodamy, że z urzędową swoją funkcyą nauczyciel łączy zwykle funkcye sekretarza merostwa, podskarbiego, kościelnego, mierniczego gminnego i nakoniec redaktora wszelkich gminnych petycyj i listów, przekonamy się, iż zajmuje on w gminie wcale pokaźne i pod względem finansowym jako tako opatrzone stanowisko.

Uczy on religii i moralności, czytania, pisania, początkowych zasad języka francuskiego, początkowych zasad arytmetyki i syste-

matu miar i wag legalnych. Nauczanie odbywa się w zimie od 8½ do 11½ z rana, i od 1 do 4 wieczorem; w lecie od 8 do 12½ z rana i od 1½ do 4½ wieczorem. Liczba dzieci uczęszczających do szkółki, większa w zimie, zmniejsza się o połowę prawie ku środkowi lata. Na dwie gminy w Normandyi, 430 mieszkańców liczące i utrzymujące wspólną szkółkę, naliczylibyśmy 23 dzieci uczęszczających do niéj od końca Listopada do końca Kwietnia. Odbywające się corocznie z całą możliwą uroczystością rozdanie nagród, jest zwykle okazyą do zabawy, w któréj i rodzice szkolnéj dziatwy biorą udział; zabawa ta urządza się zazwyczaj w parku głównego właściciela i zakończoną bywa ucztą przez tegoż właściciela ofiarowaną.

Tyle o nauczycielach wiejskich; w szczegóły bowiem ich gospodarstwa domowego wchodzić nie potrzebujemy, wspomniawszy już na wstępie o zachodzącém w téj mierze zbliżeniu pomiędzy nimi a ich sąsiadami pracującymi na roli. Nadmienić tylko możemy, iż szczegółowo przez nas opisany typ właściciela robotnika, warunkami ekonomicznemi swego życia, najwięcéj zbliża się do warunków w których życie pędzi nauczyciel wiejski.

VI.

Poświęcić nam wypada nakoniec słów kilka niektórym odosobnionym typom pracowników wiejskich, w których przechowały się po dziś dzień niby skrystalizowane szczątki dawnéj patryarchalnéj organizacyi pracy. Typy to mało znane, bo żyjące niejako po za obrębem dzisiejszego świata, bo nie odzywające się z żadném *dochodzeniem* rzekomych praw swoich, ale snać z tych któremi się od wieków cieszą zadowolone.

Jednym z takich jest w dawnéj prowincyi Saintange (dzisiejszym departamencie de la Charente inférieure) robotnik, na cudzy rachunek eksploatujący nadbrzeżne, zalewane przez morze łąki i błota. Produktami tych łąk i błot są: *sól* za pomocą ewaporacyi otrzymywana, *ryby* i *ostrygi* w specyalnie zbudowanych rezerwoarach hodowane i nakoniec jarzyny a nawet zboża uprawiane na wązkich przesmykach oddzielających rezerwoary od płaszczyzn do ewaporacyi przeznaczonych. Owóż dwa rodzaje robotników hodowlami temi i uprawami się zajmują; jednym jest zwyczajny *saunier*, wchodzący w służbę właściciela za rocznym kontraktem; drugim jest tak zwany *saunier-lettrier*, którego stosunek z właścicielem w specyalną typową formę ulany został. Robotnik ten zajmuje się eksploatacyą łąk i błót do pewnego właściciela należących na mocy listu (lettre)

czyli aktu, bądź urzędowego, bądź prywatnego, z daty odwiecznéj, który przyznaje jemu i jego spadkobiercom prawo wieczyste eksploatowania (*sauner)* pewnéj oznaczonéj powierzchni łąk i błót, chociażby ta pomiędzy kilku właścicieli podzielona być miała. Prawem tém może robotnik rozporządzić nawet za życia na korzyść jednego ze swych spadkobiérców, albo téż, tak chce obyczaj, udzielić je zięciowi swojemu w posagu. W bardzo wielu wypadkach gdy *list* zaginął bez śladu, prawo z listu wynikające opiéra się jedynie na świadomości powszechnéj. Jako wynagrodzenie za swoję pracę pobiéra *saunier-lettrier* 1/3 część wszystkich produktów; ale obowiązany jest do robienia swoim kosztem wszelkich reparacyj i przyczyniać się nadto musi w pewnéj części do nakładu, przez nowe urządzenia, np. przez założenie nowych rezerwoarów, wymaganego.

Innym podobnego rodzaju typem jest drobny dzierżawca z okolic Cambrai i kilku jeszcze miejscowości w północnéj Francyi, który na mocy dawnego nadania, zachowuje z pokolenia w pokolenie prawo do wyłącznego trzymania w dzierżawie pewnych własności. Stosunek ten oznaczany dziś jeszcze w tych okolicach nazwą „*contrat de mauvais grè*“ tak znajdujemy określony w notatce słynnego biskupa z Cambrai Fénélona, przechowanéj w archiwum departamentu du Nord:

„Właściciele folwarków (censes) i majątków w okolicach Cambrai, wydzierżawiwszy raz takowe, nie są już w możności wypuszczenia ich innemu dzierżawcy. Rolnicy postawili sobie za punkt honoru utrzymywać się przy posiadaniu raz przez siebie osiedlonych gruntów, wbrew właścicielom i wbrew każdemu, któryby chciał ich z tego posiadania wyrugować. Inni dzierżawcy nie śmieją ani zglaszać się z podniesionemi ofertami czynszu, ani za mniejszy czynsz zajęte grunta wydzierżawiać, śmierć bowiem, lub co najmniéj zniszczenie ogniem zabudowań i zbiorów czekałoby ich niechybnie.“

Podług pana „Le Play,“ w roku 1859 piszącego, opis ten Fénélona dziś jeszcze zupełnie jest dokładnym.

Już po oddaniu do druku niniejszéj części zamierzonego obrazu stosunków ekonomicznych francuskich, spotkał się autor w ciągu dalszych swych studyów ze zjawiskiem zadającém w pewnéj mierze fałsz temu, co w swojém miejscu powiedziane przezeń zostało w przedmiocie *wspólności*. Jeżeli bowiem prawdą pozostaje, iż wspólność *własnościowa*, wegetująca na ziemi francuskiéj bodaj w jednym odosobionym przykładzie aż po r. 1846, znikła, bezpowrotnie jak się zdaje, z rozwiązaniem się w tym roku istniejącéj od niepamiętnych czasów w prowincyi *Nivernais wspólki* (communauté) z siedmiu ostatecznie rodzin złożonéj pod generyczną nazwą *Jauet*,

tedy prawdą okazuje się być także, iż zasada wspólności przechowywuje się po dziś dzień na przewróconym rewolucyami tylu gruncie dzisiejszéj Rzeczypospolitéj, i w tym samym jéj zakątku, w formie innéj, arcy-oryginalnéj, opartéj mianowicie nie już na własności gruntowéj, ale na *dzierżawie gruntu*. Organizacya ta sięga zamierzchłéj przeszłości, piérwszych lat epoki średniowiecznéj, lat, w których dzisiejsza szybka przemiana warunków bytu przestraszałaby umysły i wszystkie społeczne stosunki usiadały się w kształty długotrwałe. Właściciel powierzając ziemię swoję cudzym rękom, dzierżawca zagłębiając pług w cudzą ziemię, myśleli jeden i drugi nie o dniu dzisiejszym tylko, ani nawet o bliskiém jutrze, ale o dalekich następnych latach i następnych pokoleniach. I samo prawo obyczajowe urabiało się stosownie do tych pojęć i obyczajów: właścicielowi przysługiwała możność odebrania dzierżawy *jedynemu* spadkobiércy dzierżawcy; tracił on zaś tę możność w obec kilku spadkobiérców żyjących wspólnie przy jednym garnku, jednéj garści soli i jednym bochenku chleba (*au même pot, sel et chanteau de pain*). Tym sposobem forma wspólności gwarancyą się stawała dla stron obu: dla właściciela gwarancyą przeciwko przerwom w eksploatacyi, dla dzierżawcy gwarancyą przeciwko kaprysom właściciela.

Zawiązkiém każdéj współki tego rodzaju jest, jak wynika z tego co poprzedza, potomstwo osiadłego na kontrakcie dzierżawczym rolnika; naturalnym jednak porządkiém dalsze rozradzanie się tego potomstwa, wprowadzać musi do niéj nowe żywioły i więcéj skomplikowane, aczkolwiek węzeł rodzinny zawsze za podstawę mające, kombinacye. Nawzajem pewne żywioły, nie znajdując już dla siebie miejsca w spółce ograniczonéj rozciągłością eksploatacyi rolnéj, występują z niéj i na innéj eksploatacyi rolnéj innéj spółce dają początek. Najdobitniejszego w tym względzie objaśnienia użyczy czytelnikowi skład jednéj z istniejących po dziś dzień spółek:

1) Leonard C. naczelnik spółki, 42 lat.

2) Klaudyna B. żona naczelnika, 36 lat.

3) Jakób C., syn piérworodny naczelnika, 18 lat.

4) Jan-Maryan C., drugi syn tegoż, 9 lat.

5) Klaudyusz C., 3-ci syn tegoż, 4 lat.

6) Antonina R., naczelniczka spółki, wdowa po Antonim C. poprzednim naczelniku C., bratowa dzisiejszego naczelnika, 44 lat.

7) Klaudyna C., żona Emilarda R., a córka piérworodna naczelniczki, 24 lat.

8) Franciszka C., druga córka naczelniczki, 20 lat.

9) Klaudyusz C., syn naczelniczki, 9 lat.

10) Emilard R., mąż Klaudyny C., a zięć naczelniczki, 30 lat.

11) Leonia R., córka Emilarda R., 8 lat.
12) Antonina R., syn Emilarda R., 2 lat.
13) Bernard S., szwagier naczelnika, 53 lat.
14) Ludwika C., żona Bernarda S., a siostra naczelnika, 44 lat.
15) Jan D., wdowiec po siostrze naczelnika, a mąż obecnie Maryi P., również wdowy, 47 lat.
16) Marya P., żona poprzedniego, 35 lat.
17) Jakób D., piérworodny syn Jana D., 20 lat.
18) Franciszka D., piérworodna córka Jana D., 17 lat.
19) Jan D, drugi syn Jana D., 9 lat.
20) Joanna D., druga córka Jana D., 7 lat.
21) Franciszka B. wdowa, matka żony naczelnika, 65 lat.
22) Jan P., syn z piérwszego łoża Maryi P., 20 lat.
23) Troje służących: dwóch mężczyzn i jedna kobiéta.

Naczelnik i *naczelniczka* współki *(maitre et maitresse de communauté)* wybierani są wolnym wyborem. Zwyczaj jednak pospolicie szanowany zwraca wszystkie głosy na osobę najstarszego syna i najstarszéj córki zmarłego naczelnika lub naczelniczki. W zawiązku więc współki naczelnik i naczelniczka są mężem i żoną, w następném zaś pokoleniu bratem i siostrą. W dalszych atoli pokoleniach aczkolwiek bliskie pokrewieństwo drugiego pokolenia rozchodzi się w nieskończoność, obyczaj nie dopuszcza małżeństwa między naczelnikiem i naczelniczką ani téż wyboru na te dwa urzędy związanéj małżeńskim węzłem pary. Obrany naczelnik lub naczelniczka otrzymać winni inwestyturę z rąk właściciela, któremu służy nigdy niepraktykowane zresztą prawo *vetum.* Znakiem inwestytury jest uściśnienie (*accolade*). Od spadkowego *de facto* urzędu usuwa wyjątkowo najstarszego syna zmarłego naczelnika przypadek jawnéj nieudolności. Małoletność natomiast nie konieczną jest przeszkodą; przed kilkoma owszem laty miał miejsce w jednéj ze współek przykład wyboru 18-letniego młodzieńca, który jak najlepiéj odpowiedział położonemu weń zaufaniu. Opiérając się na podwójnym fundamencie wyboru i prawa spadkowego, naczelnik jest prawdziwym panem współki; jest na wewnątrz kierownikiem jéj, bezwarunkowe posłuszeństwo otrzymującym; jest na zewnątrz jéj przedstawicielem bezwarunkowo uznawanym, nawet wtedy, gdy naraża współkę na dotkliwą stratę.

Członkowie współki dzielą się jéj przychodami na zasadzie najściślejszéj równości. Choroba, odejmująca jednemu z nich możność przyczyniania się pracą rąk swoich do pomnażania wspólnego dobrobytu, nie odejmuje mu prawa do uczestnictwa w tym dobrobycie. Dzieci zmarłego członka nie przestają również nawet w niemowlęctwie należéć do współki: tradycyjna a dobroczynna dla nich fikcya

czyni ich przedstawicielami „*głowy*“ ojca, który nie za zmarłego, ale za „*śpiącego*“ tylko jest poczytywanym. Wdowie po zmarłym służy wybór między powrotem do współki z któréj wyszła, jeżeli, jak to ma pospolicie miejsce, takiém jest jéj pochodzenie, albo pozostaniem we współce, któréj mąż jéj był członkiem, a w któréj i po jego śmierci znajdzie odpowiednie zajęcie, dopóki jéj siły służyć będą, następnie zaś bezpłatne schronienie.

Liczba członków współki wielce rozmaitą bywa, bo zastosowaną do wielkości eksploatacyi rolnéj. Liczba trafiająca się w wyżéj wyszczególnionym składzie odpowiada 150 hektarom gruntu. Skoro rozrodzenie się członków współki zepsuje stosunek, zapewniający wszystkim odpowiednie zużytkowanie sił, współka „wypuszcza rój,“ t. j. ojciec i matka dziećmi zdolnemi do pracy obdarzeni wychodzą z jéj składu, aby, jak wyżéj powiedziano, założyć gdzieindziéj nową współkę, któréj naczelnictwo z prawa im w tym razie przypada.

Całe to prawodawstwo opiéra się oczywiście li tylko na dobréj woli ludności rolniczéj; i prawodawstwo zaś i posługująca się niém organizacya stanowią anomalją w dzisiejszym stanie społecznym, w rażącéj się znajdują sprzeczności na każdym kroku, z jego ogólnym prawnym i obyczajowym ustrojem. W starciu się téż z tym ostatnim anomalja rzeczona zniknąć musi jak zniknęły wspólności własnościowe, i znika w saméj rzeczy. Coraz to częściéj młoda generacya wyłamuje się z zakreślonego tradycyą koła i idzie w świat szukać kłopotliwszego często, ale swobodniejszego bytu, coraz częściéj téż ten lub ów z tych dezerterów zadaje smiertelny cios téj lub owéj współce, występując w imieniu pisanego prawa przeciwko prawu obyczajowemu, z żądaniem podziału.

Zachowało się po dziś dzień tych współek kilkadziesiąt zaledwie, na południowym krańcu tak zwanego *Morvan*, w Kantonach Luzy, *Issy-l'Evêque*, *Mesvres* i *Goulon-surarronn.* Stanowią one jakoby odrębne małe społeczeństwo, wspiérające się nawzajem i broniące się *unitis viribus* przeciwko napaściom wielkiego, nowoczesnego społeczeństwa, opasującego resztki starego coraz to ciaśniejszą obręczą.

I stosunki zaś tych współek między sobą rządzą się tradycyjném prawodawstwem, niby jakiémś *jus gentium*, węzeł między niemi stanowiącém. Ciekawą w tym względzie wskazówką jest pewna klauzula stale wpisywana do kontraktów dzierżawczych, podstawę tych współek stanowiących. Obowiązuje ona dzierżawcę do dostarczania *bezpłatnie* wszelkiéj siły pociągowéj, potrzebnéj do podejmowanych przez właściciela na dzierżawionym gruncie reparacyj budynków, przestawiań, lub nawet nowych budowli. Klauzula ta, przed którą wzdrygnąłby się każden dzierżawca w innych warunkach, nie odstra-

sza *naczelnika współki*, za stosownėm bowiem uprzedzeniem sąsiednich współek, rozporządzać on może pięćdziesięcioma, lub więcéj, parami wołów z wozami i ludźmi, *bezpłatnie* również przez te współki dostarczanych.

Że organizacya taka dogodną może być dla właścicieli ziemskich, że nawet w ogóle stanowić jest zdolna dodatnią siłę w społeczeństwie, przeczyć trudno; tém bardziéj, że sama z siebie idzie z nią w parze pewna surowość a szlachetność obyczajów. Również atoli koniecznėm jéj następstwem jest rutyna i wstręt do wszelkich nowości, ulepszeń i wynalazków; zaczém i cudami pracowitości podtrzymywany dotąd dobrobyt wspólników zachwiaćby się musiał z czasem w obec konkurencyi na poprawnych metodach opartéj uprawy. Jakkolwiekbądź zresztą dni całéj organizacyi są policzone; a i dziś zamknięta w ciasném, górami jakoby od świata odgraniczoném siedlisku tak mało miejsca zajmuje w społeczeństwie, że przypadek niejako na jéj ślad nas naprowadził; ztąd téż i rozpatrywanie się w jéj korzyściach i niekorzyściach zda się zapewne czytelnikowi zbytecznėm.

Jeżeli mimo tego zapoznanie czytelnika z jéj ekonomią wewnętrzną uznaliśmy za rzecz pożyteczną, to dla tego, że to właśnie ustępowanie jéj z placu, mimo swéj dodatności, pod naciskiem coraz to energiczniéj w nowoczesném społeczeństwie wykształcającego się indywidualizmu pouczającém nam się zdało i od utopii odstręczającym objawem. Z drugiéj strony i w innym kierunku pouczającym jest także fakt przedłużenia bytu tych współek dzierżawczych po za dokonaném już wyplenieniem współek własnościowych. Znaléźć w nim można mianowicie potwierdzenie kilkakrotnie już w ciągu niniejszéj pracy potrąconéj prawdy, a mianowicie, iż prawo spadkowe kodeksu napoleońskiego energiczniéjszym jeszcze rozkładnym czynnikiem się okazuje w obec małéj niż w obec wielkiéj własności. Na téj ostatniéj bowiem wyłącznie opiérają się współki dzierżawcze, podczas gdy współki własnościowe część tamtéj stanowiły. Dodać jednak wypada, iż stosunkowa długowieczność piérwszych tém się głównie tłómaczy, iż ów wróg wspólności, indywidualizm, mniéj ponęty znajduje do wystąpienia z morderczą bronią praw podziałowych w obec współek dzierżawczych, których najgłówniejszym kapitałem jest *praca*, niż w obec własnościowych.

Dr. K. Waliszewski.

KASIA I MARYNKA.

Z PAPIÉRÓW POZOSTAŁYCH

po

GABRYELLI

(*Ciąg dalszy*).

V.

Oto masz książki Marynko moja droga pierwéj niżeś ich się spodziéwała zapewne i piérwéj nimby ci je poczta dostawiła. Pani Sand jeszcze nie znajdziesz w tym transporcie, ale bądź spokojna, dopilnuję księgarza, aby nie zwlekał tak bardzo i abyś ty ją w każdym razie przed za mąż pójściém czytać mogła. Po za mąż pójściu już by ci się na nic nie przydała,—zdaje mi się nawet, że jeśli panią Sand o tyle ruin i spustoszeń społecznych obwiniają, to może dla tego, iż przez kobiéty już zamężne czytaną bywa, a im po co? W sielankowéj prostocie ducha wierzą właśnie, że historya kobiéty w dzień ślubu się kończy; dalszy ciąg jest tylko szeregiem następstw i wynikłości nieuniknionych. Wolność działania, prawo swobody i tworzenie przyczyn, wszechwładztwo nad teraźniejszością do tego dnia trwa jedynie; od tego dnia zaczynają wypadać sumy z liczb uzbieranych, rozwija się może administracya i polityka, ale historya, ta co to ją opisywać, czytać, saméj sobie rozpowiadać można, już skończona. Nie jest to pono zdanie samejże pani Sand, lecz jéj go przynajmniéj zawdzięczam.

A teraz, Marynko, rzetelność ciężki na mnie wkłada obowiązek; pisałam ci, o ile sobie przypominam, że kobiéta chrześciańskiéj cywilizacyi powinna, lub raczéj że *już może* małżeństwo, jako wybór jedyny a wybór jako miłość jedyną uważać. Muszę cię przestrzedz teraz, że taka opinia w życiu zwyczajném i między najzacniejszymi ludźmi jest bardzo ekscentryczną jeszcze, nie idzie zatém, żeby moją własną święcie wyznawaną opinią być przestała, lecz na zmodyfikowanie, uwzględnienie „rady“ bardzo wpłynąć może. Prawdę mówiąc,

nigdy ci żadnej rady co do pana Filipa, ani co do jakiegobądź projektu małżeńskiego podawać nie chciałam. Wszystkie „doradzone“ małżeństwa, przekonania, uczucia, zawsze licha warte, jednak doradczy, mniéj więcéj, przedstawiłam ci materyał, różne akta procesowe, które wolno ci było przejrzéć i ocenić przed podpisaniem ostatecznego wyroku. Dziś widzę, że należy się jeszcze dość ważny wsunąć dokument. Zdania samych kobiét lub samych autorów bardzo wątpliwie mogą przy zastosowaniu wyglądać; ale zdania tych panów żywcem ze świata wzięte muszą miejsce dla siebie znaléść. Ponieważ w każdém małżeństwie koniecznie jeden z tych panów być musi, więc trzeba wiedziéć, co i oni o podobnéj kwestyi myślą. Uderzyło mię to szczególniéj w czasie ostatnich moich u pani Maryi odwiedzin, gdym moralność pani Hoffman poszła dla ciebie pożyczyć. Zastałam przy wieczornéj gawędce z samych domowych i ścisłych przyjaciół złożoną gromadkę. Była najprzód pani Marya, był mąż jéj pan Marcin XXX, był syn p. Stanisław, były dwie córki, nie liczę już dwóch małych chłopców z korepetytorem.

Ale był i pan Nepomucen i syn jego pan Konrad, pan Nepomucen bardzo dawny, bardzo poczciwy znajomy, pan Konrad, no! kiedy sylwetki rysować, to grzeczność nakazuje od gospodyni domu zacząć. Jestem pewna, że nieraz słyszałaś mię o pani Maryi wspominającą—wierz tedy, że to jest najgodniejsza szacunku osoba, przykładna żona, troskliwa matka, pani domu bez zarzutu, w towarzystwie bardzo przyjemna,—wszystkie te pochwały jeśli je pamiętasz, jedne po drugich lub jedne wraz z drugiemi według okoliczności do imienia pani Maryi łączyłam; ale nie wiesz podobno, że był czas, gdy nas obie przyjaciółkami zwano i gdy istotnie my same uważałyśmy się za bardzo serdeczne przyjaciółki. Rzadko zwracam się ku téj przeszłości, jakkolwiek nigdy jéj z regestru nie wykreśliłam; tobie jednak dla lepszego zrozumienia dalszych szczegółów muszę choć kilka słów o niéj nadmienić, gotowaś na mnie zaskarżenie o zmienność i niestałość cisnąć. Jak to można być przyjaciółką, a potém nie być przyjaciółką, i to właśnie takiéj p. Maryi, bez skazy! Wy młode, szczęśliwe, wy pojąć nie możecie lub raczéj nie chcecie usprawiedliwić, że się ludzie zmieniają. Ty sama, co z zimną krwią się pytasz czy z miłości jedynie za mąż pójść ci wolno, gdybym powiedziała, że zmienisz jakie upodobanie swoje, że Mickiewicza nad Słowackiego, że ciemne lasy nad wysokie skały, zielony kolor nad niebieski, dramat nad operę przeniesiesz, że kiedyś bardzo ci się dziwném wyda, dla czego tę Katarzynę Aleksandryjską kochałaś? gdybym tak powiedziała, nie chciałabyś mi wierzyć; a to przecież zwyczajne rzeczy na świecie, naturalny przepływ wypadków i okoliczności. Tylko

miłość prawdziwa i do tego odpowiedniemi warunkami społecznemi podparta może trwać ciągle, przetrwać czas. Inne wszelkie stosunki, uczucia, przyjaźnie i nieprzyjaźnie płyną jak woda. Broń Boże! nie chcę ich świętości ubliżać, ja co tyle im zawdzięczam właśnie, są potrzebne i ożywcze jako woda, tylko płyną jako woda także. W jakiéjś przeszłéj epoce, dajmy na to, jakiéś wrażenia jednocześnie na dwie dusze spadły, połączyły je wspólnemi nadziejami, czy wspólną troską, czy pracą wspólną i wspólném czegoś lub kogoś ukochaniem: z siostrą dzieliłyśmy jéj niepokój o brata, z matką przepędziłyśmy kilka nocy nad łóżeczkiem chorego dziecięcia, udało nam się przywieść ojcu pomyślną o jego synu wiadomość, z towarzyszką rówieśną byłyśmy do współki przez złośliwe kumoszki obmówione, z towarzyszem przeczytaliśmy jednocześnie z tém samém wrażeniem jakieś dzieło, które nas temi samemi kartkami zachwyciło lub oburzyło,—upiliśmy się z kim tą samą piękna i prawdy nadzieją, sprzęgli tym samym zamiarem. Ot i dość bliski stosunek gotowy, a potém lata cieką a cieką, zdarzenia się wleką a wleką, przestrzeń rozsuwa pobratanych. Między jedną a drugą osobistością narastają warstwy nowych uczuć i pojęć, choćby niekoniecznie przeciwnych sobie, to już nie wspólnych, nie tych samych,—już nie dzielonych wzajemnie. Przyjaciele pozyskują nowych przyjaciół, których wcale nie znamy, którychbyśmy znając nawet własnym pociągiem nie wybrali nigdy. Najbliżsi nasi wchodzą w inne towarzyskie warunki, przyjmują inne zobowiązania i powinności. Ta, która była od nas smutniejsza, rozumiéć już nie może, dla czego wesołemi jak dawniéj nie jesteśmy, ta, która nas uczyła, sama późniéj niczego nowego się nie nauczy, a ta, którą przestrzegaliśmy, roztropnie dobrze wychodzi na tém, że nas nie usłuchała. I znowu ten dziś spotkany był niegdyś wielkim, och! wielkim panem, miał szczęśliwe chwile do rozdania, wzniosłe pomysły z za rękawa wytrząsał, kielichami entuzyazmu niby spirytusem najtęższym częstował do koła; wzmacniał, bawił, cieszył, świecił aż w tém przehulał cały swój duchowy majątek. Posyłamy do niego weksel własnym jego herbem ostemplowany - czy to na pomoc, czy na dobrą radę, czy na śmiałe wykonanie, nie spłaca. Przychodzimy prosić o pożyczkę maleńkiéj sumki, bo wyszła nam cierpliwość a wytrwałości zupełnie brakować zaczyna,—odmawia. Chcemy sobie stoczek najlichszy u jego lampy zapalić, lampa zgasła. Więc cóż się dzieje? Gdyby to była prawdziwa osobista sympatya, nie okolicznościowy łącznik między nami, możebyśmy wspiérając się wzajemnie uniknęli bankructwa, a może razembyśmy ubożeli i nie spostrzegli tak wielkiéj w sobie różnicy; lecz gdy sympatyi nie było, każde w swoję stronę odchodzi. Chronos dmucha,—ziarnka piasku rozmia-

ta i serce ludzkie rozmiata. Piasek zwolna chemiczno-mechanicznym ulega potęgom. Serce zwolna przekształca się w skłonnościach, osuwa w inne kierunki, traci lub nabywa zdolności odmiennych i nakoniec owi bliscy znowu dalekiemi...

Co jedno z drugiém nie ma znaczyć moja Marynko, że się koniecznie prędzéj lub późniéj rozejść będziemy musiały, tylko znaczy, ha—znaczy, że onegdaj z panią Maryą i z panem Nepomucenem się zeszłam.

Wracając tedy do pani Maryi, kiedy była jeszcze Marynią żyłyśmy z sobą w wielkiéj tak zwanéj przyjaźni, bośmy jeszcze wówczas nie znały wierszy Brodzińskiego, który bardzo pięknie i słusznie o przyjaźni w swoim „*Dziadku*“ napisał.

„Nie złowisz jéj wędą złotą.
Ni talentem ani cnotą.“

Zresztą choćbyśmy i na pamięć wyuczyły się téj przestrogi, jeszczeby dla nas wtedy niezrozumiałą była. Jakto można przyjaźni ani zasługą ani cnotą nie kupić?... jakto można cnoty i zasługi nie być przyjaciółką?.. Marynia więc kupiła mię cnotą i zasługą a ja Marynię kupiłam, lecz troszeczkę, troszeczkę tylko złotą wędą mego uwielbienia i starań pokornych. Bo to Marynko najdroższa chciałabym, żebyś mogła sobie wyobrazić piérwsze ukazanie się Maryni w naszéj klasie. Istnie królowa wśród dzikich i nieokrzesanych chłopaków. Na pensyi jak na świecie trzeba ci wiedzieć są pewne opinie w modzie, pewne, że tak się wyrażę, obyczaje w zwyczaju. Przed Maryni przybyciem górował zwłaszcza też między gromadką, do któréj należałam, obyczaj spartański, o nic nie dbać,—na nic się nie skarżyć, wszelką miękkością i wszelkim zbytkiem pogardzać, to było dominującą na horyzoncie planetą. Niektóre z nas wypowiedziały rodzicom, że do lekcyi tańca należyć przestaną, inne nie chciały nigdy w lustrze się czesać,—inne jeszcze pasowały hartowność do bardziéj niebezpiecznego punktu, bo wcale nieuczesane w dosyć poplamionych sukienkach chodziły, a wszystkie, co miało być dowodem bohatérstwa, nie najgrzeczniéj guwernantkom odpowiadały. Między sobą byłyśmy niby dosyć zgodne, wcale nie uprzejme. Krzyżowy ogień złośliwych przymówek, sarkastycznych dowcipów i drażliwych żartów był na porządku, czyli właściwiéj mówiąc na nieporządku dziennym. Jeśli się czasem przykro i smutno zrobiło, to było trzeba głęboko w sercu schować, żeby inne nie zmiarkowały, bo wnet o delikatności, gęsich puchach i wiotkich trawkach gradem sypnęły się koncepta. Wyobraź sobie teraz między takie ciernie i bodiaki wprowadzoną młodą dziewczynę, która już panienką być zaczyna. Nie wiek jéj dawał do tego prawo, piętnasty rok mia-

ła dopiéro, jak nie jedna z naszego grona, ale wzrostem wyższa i ułożeniem poważniejsza zrobiła na nas od razu wrażenie „dorosléj osoby.“ Każda nowotna zwykle pensyonareczka stropiona gwarem i zwróconą na siebie tylu nieznajomych uwagę nie śmiała oczu podnieść, lękała się przemówić, a jeśli były zuchwalsze wyjątki, co się wrażeniu naszéj wszechmocności oparły, to same jakieś roztrzepane lub nie według naszego kroju cudaczne stworzenia, które wnet do ogólnéj równowagi ułożyć się musiały. Jedną się zawojowało, drugą upokorzyło, inne podchwytało na jakiéj śmiesznostce i klasa była zawsze górą. Ale Marynia nic a nic nas się nie przestraszyła, piérwsza rozmawiać zaczęła, jak wielka dama w bawialnym pokoju z gośćmi zaprezentowanemi sobie wypytywała o lekcye, o egzamin, który jéj zdać przyjdzie; porównywała zapas swój naukowy z wymaganym od miejscowych;—mówiła bez chwalby o naddatkach, bez kłopotu o brakach, a wszystko grzecznie, swobodnie, z wdziękiem. Młode barbarzyństwo poczuło, że cywilizacya do niego się zbliżyła. Najzłośliwsze nie miały ją o co zaczepić, celowała już wtedy ową przyzwoitością, którą francuzi „le comme il faut,“ zowią. Uczynność jéj dla bardzo czasem niedyskretnych towarzyszek aż wspaniałomyślności stopnia dochodziła. Bez targów żadnych pożyczała piór, nożyczek i kajetów, choć jéj bruliony porządniéj były utrzymywane niż nie jednéj odpisy na czysto. Upada przez to główny zarzut „skąpstwo,“ którym najokrutniéj prześladowałyśmy staranniejsze o swoję własność natury i zmuszały niejako do wspólnego dóbr pensyonarskich zaniedbania. Żadna z nas także nie mogła powiedziéć, że Marynia sobie „tony daje,“ że się starszym przypochlebia; a były to kapitalne, ciężko bez litości karane zbrodnie; Marynia nigdy się ich nie dopuściła. Posłuszniejsza niż klasztorny braciszek, uprzejmiejsza od nas wszystkich nigdy ani jawnéj skargi, ani pokątnego doniesienia nie pozwoliła sobie. W pilności niezrównana! Może były uczennice co płynniéj czasem lekcyą wydały, prędzéj przy ogólném powtarzaniu odpowiedź na podchwytujące pytanie znalazły, ale żeby z równą sumiennością na każdą lekcyą, na każdy dzień po dniu się przygotować, takich nie było. Nam szło raz dobrze, raz źle, raz jakoby skrzydła w duszy wyrosły, a drugi raz jakoby mózg ołowiem zalano, tymczasem Marynia budziła się i zasypiała zawsze pracowitą, przysposobioną, zawsze nienaganną; bo téż Marynia już okazywała się tém, czém późniéj przez całe życie panna i pani Marya zostać miały, urodzoną purytanką obowiązkowości. Gdyby jéj dalsze życie było naniosło trochę więcéj szerszych pojęć, jestem pewna, że służyłaby im tak wiernie, jak dziś ciaśniejszym służy. Gdyby jéj kto z uwierzytelnionych prawomocnym tytułem powiedział np. że poznawanie prawdy należy

także do jéj obowiązków, dowiadywałaby się bardzo pilnie o prawdzie; ale jéj powiedziano zupełnie co innego; powiedziano, że co do niéj nie należy, więc też cudzéj własności nawet pożądliwą myślą dotknąć nie śmiała. Już to rzutność ani jéj cnotą, ani jéj wadą nigdy nie była; koniecznie z zewnątrz pewnéj inicyatywy potrzebowała; lecz gdy ją przyjęto, to aż mię dotychczas, gdy sobie wspomnę, zazdrość bierze, jak umiała całą naturę swoję do niéj zastosować. Żadna wybitna wada, ani też żadne bezratunkowe niedołęztwo, ani żadna skłonność górująca nie stały jéj na przeszkodzie w wypełnieniu tego, co się raz dla niéj powinnością nazwało. Przyszedłszy na pensyą wiedziała, że jéj powinnością było słuchać ochmistrzyni i guwernantek, uczyć się starannie do profesorów, z koleżankami być zgodną i grzeczną, więc też była zgodną, grzeczną, staranną, uległą, a nigdy pokusa na inne nie ciągnęła ją drogi. Czyż choć przez chwilę serce Maryni wezbrało oburzeniem na niesprawiedliwości panny Permann, lub duma poszepnęła jaką uchybiającą dla łającéj panny Kierwińskiéj odpowiedź? Czyż w samę wigilją egzaminu z chronologii starożytnéj, albo gdy było trzeba dwóch stronnic wiosny Kleista się nauczyć, Maryni przyszła właśnie ochota, czytać choćby najpiękniejszą jéj uwielbionéj pani Hoffman powiastkę, albo saméj własne wiersze pisać? albo, o zgrozo! nic zupełnie nie robić. Czyż Marynia była niecierpliwą? zuchwałą? kapryśną? szorstką? leniwą? Broń Boże! jeśli poczuła kiedy trudność maleńką w dopełnieniu przykazań moralności, to chyba gdy jéj zbyt dużym kleksem kajet francuskich tłómaczeń splamiono, albo tak wszystkie pióra rozebrano, że sama żadnego przy dyktowaniu nie miała. Wszystko zresztą szło jéj łatwo i wszystko w równéj mierze łatwo od Kleista i Chronologii do ćwiczeń stylowych; od uległości dla przełożonych do ustępstwa dla naszych wymagań. Taka doskonałość samém wzbudzeniem podziwu zhołdowała nas bardzo prędko. Ponieważ jednak ułomna ludzka natura wiecznie doskonałościom sprzeciwiać się lubi, jest więc dość prawdopodobną rzeczą, że i Marynia uległaby losowi wszystkich doskonałych na téj grzesznéj ziemi i byłaby musiała ścierpieć niejedno prześladowanie, dźwigać niejednego krzyżyka ciężar, ale na szczęście swoje bardzo piękną była. Złośliwi panowie gotowiby posądzić, że piękność już na pensyi współzawodnictwo rozbudza; to się dopiéro przy świetle balowych kandelabrów, albo w środkowéj alei saskiego ogrodu, jak oliwa na wierzch młodego serca wydostaje. Pensyonarki, dzieci daleko prostszym ulegają instynktom. Piękność je pociąga i zachwyca według naturalnego prawa piękności. Ile tylko piękniejszych współuczennic przypomnieć sobie mogę, to wiém, że wszystkie pod przywilejem między nami żyły. Musiała być już bar-

dzo złą i ograniczoną taka, co wdziękiem urody nie skarbiła sobie mnóstwa drobnych poświęceń i względniejszego obejścia i życzliwszéj wyrozumiałości. Za nie zwykle chętniéj się kurz w klasie sprzątnęło, przykład arytmetyki odrobiło, nawet gdy jaki śmieszny solecyzm przy wydawaniu lekcyi popełniła, to jéj go wkrótce zapomniano; a cóż dopiéro o Maryni mówić! o Maryni, która żadnéj od nikogo nie żądała przysługi, żadnego nigdy nie popełniła solecyzmu i która miała takie jasne jak aureola blond włosy, i takie śliczne, duże, spokojnie jak niewinność patrzące oczy! Wszystkie na potęgę rozgorzałyśmy do niéj entuzyazmem. W przeciągu piérwszego miesiąca swego pobytu odebrała zaraz pełno oświadczyn dozgonnéj przyjaźni, kilka listów z nieśmiałą na jéj obojętność skargę, jeden z gwałtownéj zazdrości wyrzutami; ale ona rozsądna, zawsze jednostajnie i równo dla wszystkich ugrzeczniona potrafiła niebawem te wezbrane uczucia do jednego mianownika sprowadzić i w jednę ogólną przychylność zamienić. Mój tylko entuzyazm przetrwał rozsądkowe chłody i pewnego niby wywzajemnienia się doczekał. Prawda, że téż i najwyższa władza, bo sama pani Wilczyńska stosunek nasz zatwierdziła. Jednego dnia, gdy nas spostrzegła razem czytające tak ślicznie opisane w Rozrywkach do Ojcowa przejażdżkę, „a tak to lubię,“ rzekła, lekko mnie swoją białą, kochaną, dobroczynną ręką po twarzy gładząc, „tak to lubię, kiedy cię z Marynią widzę, zawsze sobie takich przyjaciółek dobiéraj, a pewnie i promocyą dostaniesz i na świecie dobrze ci będzie.“ Ach! usłuchałam rozkazu, nie tylko na ten raz jeden, ale i na całe życie późniejsze. Zawsze sobie dobiérałam takich, jak Marynie, to jest lepszych od siebie saméj przyjaciółek, i prawda, że téż co miałam lepszego w całéj przeszłości mojéj, to wszystko ich darom zawdzięczam; one mię wijatykiem opatrzyły na długie lata bardzo przykréj drogi. Wśród głogów i kamieni obrażenia ich wsparcie mię krzepiło, a czy pamiętają najlepsi moi, jak mi rękę podali, gdy się chwiałam, jak słowo ich nieraz przywołało mię z krainy pustéj i bezwodnéj, obudziło ze snu martwoty i zniechęcenia! A ich czujność jak mię strzegła, a ich wspomnienie jak stało na straży mego sumienia? Jeśli do wyższéj klasy nie dostałam promocyi, jeśli mi dobrze na świecie nie było, to już nie wina dobranych, chyba niedobranych raczéj. A najpewniéj moja własna.

Co ty sobie myślisz Marynko? przyrzekłam ci tylko sprawozdanie o mojéj wizycie u pani Maryi, a rozpłynęłam się we wspomnieniach, niby grudka cukru w szklance herbaty. Nie gorsz się moja droga, będziesz i ty taką, niech ci Bóg da szczęśliwie tylko przeżyć drugie i trzecie dwadzieścia latek jeszcze, a potém niech kiedy jakie talizmanowe słowo wskrzesi nagle i przed oczy ci stawi całą dzisiej-

szą teraźniejszość twoję, zobaczysz, ile to o niéj będziesz miała do powiedzenia; ręczę ci, że więcéj niż dzisiaj nawet, gdy w obfitości swojéj pomiatasz mnóstwem kosztownych drobiazgów. A jak się radować będziesz tym, które ci pamięć uratują! a jak tęsknić za temi, które bezpowrotnie przepadną! Zobaczysz, zobaczysz, Marynko!

Tymczasem jednak wróćmy do pani Maryi. Portretu jéj wykończać już nie będę, za długie i za blizkie odbywałam nad nim studya, więcbym się znowu o wielu rzeczach wcale do rzeczy nie należących rozpisala. Na biograficznych tylko ograniczę się faktach. Ostatnie lata mego pobytu na pensyi i piérwsze po skończeniu nauk więcéj mi się Marynią niż kimkolwiek innym zapełniły. Rodzice moi daleko wtedy na wsi mieszkali, a jéj rodzice w Warszawie; na mocy udzielonéj przez panią Wilczyńską zachęty Marynia wyjednala mi tę łaskę, że mogłam razem z nią do jéj domu w niedzielę i większe święta wychodzić. Późniéj rodziny nasze się zaznajomiły, ona czasem bawiła u nas nad ślicznemi naszéj Warty brzegami, częściéj ja u niéj na Miodowéj ulicy. I tak było czas jakiś, aż raz pamiętam, oh! pamiętam i zawsze pamiętać będę tę chwilę, siedziałyśmy przy oknie w Maryni gabineciku,—czytałam głośno coś prześlicznego, co bezimiennie Brodziński napisał; Marynia rysowała, a w tém z przyległego pokoju dały się słyszéć kroki czyjeś lekkie i przyśpieszone, potém głos męzki przemówił bardzo zwyczajném słowem powitania do pani domu, która tam właśnie z robotą siedziała, ale głos był nadzwyczaj miły, czysty, dźwięczny pełny. Ty wiesz przecież Marynko, jak wielką wagę do głosu przywiązuję. Otóż słyszany wtedy był najszlachetniejszego gatunku. Złożyłam książkę, spojrzałam na Marynię, a Marynia jak poziomka rumieńcem spłonęła.

— Kto to jest? zapytałam po cichu.

— To pan Nepomucen, szepnęła jeszcze ciszéj i schyliła się po upadłą gummelastykę.

— Czy to on? pytająco znów rzekłam, patrząc z uśmiechem w jéj oczy.

— Nie, to nie on, odśmiechnęła się Marynia, ale trochę smutnym uśmiechem, jako siostrzeniec stryjenki często u nas bywa, lecz ojciec nie bardzo go lubi, a mama dość obojętnie przyjmuje.

— A głos ma jednak taki poczciwy!—i zaczęła się rozmowa, którą Marynia temi słowy podkreśliła.

— Mów ty sobie, co chcesz, moja droga, nazywaj mię purytanką i czém gorszém jeszcze; ja przecież nie zmienię mego przekonania, bo wiém, że dobréj córce tego jedynie ukochać wolno, którego dla niéj serce rodzicielskie i doświadczenie rodzicielskie wybierze.

No, serce jak serce, ale doświadczenie rodzicielskie w rok potém wybrało Maryni pana Marcina ***, wysokiego urzędnika w komisyi *** z dwudziestoma tysiącami pensyi a czterdziestoma tysiącami przychodu. Jak cegła z dachu, tak wiadomość o tém małżeństwie na głowę mi spadła. Kiedy ją po raz pierwszy z ust Maryni usłyszałam, było wykrzykników i apostrof ze dwa grube tomy: „Jak to Maryniu ty!...“

— Jak to Maryniu za niego? czy być może?.. to niepodobna... z twoją pobożnością... z twoim szlachetnym charakterem... Lecz Marynia ciągle powtarzała.

— Rodzice lepiéj wiedzą, my obie młode, my świata, ani ludzi nie znamy; łatwo nas słówkiem grzeczności i lekkomyślną plotką oszukać, tylko serca rodziców nikt nie oszuka, gdy o szczęście ich córki chodzi.

W tym ostatnim względzie Marynia miała słuszność, pan Marcin w niczém serca jéj rodziców nie oszukał. Zacząwszy od mebli, skończywszy na domowém pożyciu, wszystko w jak najlepszym guście, w dobrym gatunku, żonie swojéj zapewnił i pani Marya jest szczęśliwa.

Czy chcesz wiedziéć, moja znacznie młodsza przyjaciółko, jaki sens moralny z całéj historyi wyciągnąć?

Otóż sens moralny jest taki, że nigdy nie trzeba cudzego losu na miarę własnych idealików przykrawać. Gdyby Marynia była się rozmarzyła piérwszém wrażeniem, co ją zlekka po sercu musnęło, gdyby próbowała zdobyć się na jakąś samodzielność, opiérać uświęconym powagom; gdyby, dajmy na to, powiedziała sobie, że nie chce być Zulejką żadną, kiedy właśnie przyniosła z sobą na świat Zulejki najpiękniejszéj, najcnotliwszéj Zulejki naturę: pewnieby jéj tak dobrze nie było, jak jéj jest ciągle aż do teraz. Może komuś byłoby lepiéj; kto wié zresztą, może tylko jéj trochę gorzéj. Zawsze bezpieczniéj według praw swéj gatunkowości postępować. Pamiętaj o tém Marynko, tylko uważaj, żebyś się nie omyliła.

Widocznie pani Marya nie musiała się omylić najpierwéj dla tego, że, jak mówiłam, jest bardzo szczęśliwa, a potém dla tego, że jest zawsze równie dobra i obowiązkowa; przypuściwszy jakąś pomyłkę, niezawodnie byłaby się zmieniła.

Względem męża dopełnia jak najskrupulatniéj wszelkich wzorowéj żony powinności. Szanuje w nim głowę rodziny, rękę na utrzymanie domu pracującéj; wierzy w jego rozum, ufa jego słowu, stosuje się w najdrobniejszych rzeczach do jego woli. Dla świętéj prawdy jednak wyznać muszę, że częściéj daleko w najdrobniejszych niż najważniejszych, w tych ostatnich zdawało mi się, że raczéj pan

Marcin do jéj woli się stosował, ale to rzadkie były wypadki, choćby już z tego powodu, że pani Marya nigdy się do interesów majątkowych nie mięsza; utrzymuje bardzo słusznie, że to męzka sprawa. Chociaż dla przyszłéj twojéj nauki wtrącę tu maleńką uwagę, że niezawodnie majątkowe interesa są męzką sprawą, ale męzkie sprawy bardzo dobrze wychodzą na kobiécéj kontroli, i kobiétom zdrowo jest także, gdy wiedzą, zkąd się bierze każda złotówka domowego wydatku. Pani Marya nie uważa tego za swój obowiązek, bo téż podobne obostrzenia w kodeksie moralności do rubryki obowiązującéj wpisane jeszcze nie zostały, pod innemi względami wszelako nic jéj zarzucić nie można. Czasem gdy ją widziałam taką wdzięczną, słodką, łagodną, taką ślicznie niewieścią dla pana Marcina, to aż mię żal zdejmował, czemu się to jemu dostało? Zaiste bardzo dziwne uprzedzenie, pan Marcin nie jest przecież gorszym od wielu innych. Przysparza ciągle dochodów swoich—widać, że przemyślny, inni daleko skandaliczniéj piéniądze zarabiają; nie spotkałam się z nikim przecież, coby mi dowiódł, że był przez niego skrzywdzony. Podaje się za Wolterzystę w religijnych i moralnych zasadach. Najpierwéj co do mojéj osobistości, trzeba wiedziéć, że wolę bez porównania Wolterzystów, niż Heglistów; piérwszym zdarza się czasem co dowcipnego powiedziéć, lub powtórzyć, uśmieję się z nich niekiedy, a zawsze przynajmniéj rozumiem co mówią; hegliści wcale nie zabawni i trudni do zrozumienia, tj. nie tak bardzo trudni, gdy ich mówiących słyszę, ale potém gdy umilkną, już nic nie wiem, o czém gadali, trudniejsi więc do „streszczenia". Pan Marcin wprawdzie choć Wolterzysta, nie wiele mi rzeczy dowcipnych powiedział; lecz na jego usprawiedliwienie posądzam go téż trochę, że wcale Woltera nie czytał, co najwięcéj kilka powiastek. Żona prócz tego o tyle już go nawróciła, że w piątki pości i do kościoła chodzi. No! cóż tam więcéj mam przeciw niemu? Lubi grać w karty! mało znam dzisiaj ludzi i to bardzo zacnych, którzyby w karty grać nie lubili; nawet arcy zacne panie, moje bliskie i bardzo kochane znajome, lubią także, bo cóż robić wieczorami? Rozmawiać i rozmawiać, stać zawsze jak na piedestale dla dorastającéj młodzieży, by się ze wspomnień naszych, z doświadczeń naszych, z wymiany myśli naszych uczyła – trochę książkowa pedanterya; młodziby może i słuchać nie chcieli, alboż słuchają rady i morału? Trzeba jeszcze tę zasługę przyznać panu Marcinowi, że nigdy prawie w domu nie grywa, żonę karty nudzą i męczą, grywa najczęściéj w resursie i, o ile wiem, nigdy wyżéj nad kilka tysięcy nie przegrał, ani wyżéj nad kilkanaście nie wygrał. Lubi przytém męzkie towarzystwo. Nic dziwnego, ja sama na wieczornych zebraniach wolę z mężczyznami, niż z kobiétami porozma-

wiać; prędzéj coś ciekawszego usłyszę niż od pani Papleckiéj nawet, która jednak tyle zawsze ciekawych wié i dowiaduje się rzeczy. Kiedyć owi panowie dla nas biédnych profanek mogą znaléść ciekawsze niż sama pani Paplecka do rozmowy temata, cóż to dopiéro być musi, gdy jedni z drugimi się zbiorą. Najniezawodniéj muszą przynajmniéj o astronomii radzić a mniéj dostępne niż Arago w swoim kursie rozwijać zagadnienia, bo kurs Arago nawet ty moja Marynko mógłabyś przeczytać, może zgłębiają statystykę, ekonomią polityczną wyższą przecież od elementarnych dziełek Baudrillarta a może z matematyki rachunek prawdopodobieństw?

Wina przytém dużo wychodzi, lecz to angielska moda. Pokazuje się tedy, że do pana Marcina zakładam sobie najniesłuszniejsze pretensye. Powinnam tylko po prostu wyznać, że nie ma między nami sympatyi do zbycia, ledwo tyle, ile do utrzymania form grzeczności trzeba. Ach! pod względem grzeczności pan Marcin nieposzlakowany; ma takie ruchy opiekuńcze, takie uśmiechy pobłażliwe, jak gdyby dopiéro co zdjął z głowy perukę Ludwika 14-o. Do wszystkich kobiét, nawet do żony przy gościach odzywa się tonem pośrednim między żartem a protekcyą, między komplementem a łaską, byłby w tém i w tém jedynie do Walenroda podobny troszeczkę, że sypałby kobiétom jak dzieciom łakocie grzecznych słówek krocie; lecz łakociami nie sypie, owszem dość skąpy. Ile razy go widziałam w towarzystwie, był zawsze dosyć milczący, więcéj zdawał się przysłuchiwać, niż mówił, a godzi się téż uznać, że mu z tém bardzo do twarzy, ma fizyognomią na głębokiego myśliciela, lub raczéj fizyognomią własnych spraw człowieka. Czoło wysokie, bo łysy, brwi gęste i na oczy mocno zapuszczone, nos wydatny cieńki, orli, broda koścista, wzrost dobry, tusza dobra, na fotografiach szczególniéj, gdzie kolor płci się nie odbija, gdzie nie znać lśniącéj czerwoności lica, wizerunek p. Marcina *ad libitum* tytułem ministra, jenerała, prezydenta lub jakiéj znakomitości przemysłowéj podpisać można, twarz i postawa do każdego się nada. W ogóle jest to przystojny co się zowie człowiek, ale po co mu przyszła ochota z Marynią się żenić? Nie jednę posażniejszą mógł dostać panienkę, on mi koniecznie Marynię moję zabrał. Przynajmniéj tego mu i najzawziętszy nieprzyjaciel nie zarzuci, że zły wybór zrobił.

Jakkolwiek przecież pani Marya żoną przykładną, niczém to jeszcze w porównaniu, jaką jest matką poświęconą. Według dzisiejszéj statystyki ma dużo dzieci, bo aż sześcioro, wszystkie sama wykarmiła, sama wyuczyła pacierza i sylabizowania, sama z księdzem kapucynem do piérwszéj przygotowała komunii. Kiedy już było potrzeba obcą osobę w dom przyjąć i dzieci jéj powierzyć nigdy zupeł-

nie od ich dozoru się nie usunęła; często bywała obecną przy wykładzie lekcyi, zastanawiała się nad sposobami, które mogły naukę ułatwić i uprzejemnić, pieniędzy na książki, ani na metrów nie szczędziła, a gdzie ją spotkać przypadkiem, czy w ogrodzie, czy w kościele, czy w teatrze, czy w jéj własnym domu na dzień powszedni, zawsze z dziećmi. Co to są za dzieci? ba! co to są już za ludzie z tych dzieci? o tém niewiele ci mogę powiedzieć.

Długie lata na wsi spędziłam i bardzo rzadko z panią Maryą się widywałam. Przyszłam czasem na parogodzinną wizytę, byłam gościem tylko. O dobrze wychowanych dzieciach goście bardzo mało wiedzą; krzyku nie słychać, stołki bawialnego pokoju nie przewracają się w konnych przejażdżkach, malec żaden sukni ci nie gniecie i łańcuszka od zegarka nie zrywa, przy stole obrus bezpieczny i reklamacye wszystkie wzbronione, więc nie ma nic ważniejszego do zapamiętania. O dzieciach więc pani Maryi wiedziałam tylko, że to gromadka niższych i wyższych, jaśniejszych i ciemniejszych główek, różowych uśmiechniętych twarzyczek, a szczególniéj, że to jedyna może w swoim rodzaju kolekcya wielkich niebieskich oczu, które na mnie dawném spojrzeniem dawnéj Maryni pensyonarki patrzyły. Śliczne dzieci! śliczna matka! jak się to czasem w obrazek ułożyło to mi się przypominały różne po zagranicznych galeryach widywane arcydzieła, chociaż, któreby mianowicie do podobieństwa wskazać? nie podjęłabym się moja Marynko. Gdyby Albano był przedstawił Cererę wśród amorków po chrześciańsku ubranych, toby mu zarzucano anachronizm, jestem pewna, on jednak byłby tylko zwiastunem pani Maryi i jéj czterech synów a dwóch córek. NB. córki między dwoma parami synów przypadają. Zawsze miałam nadzieję o wszystkich kiedyś coś znakomicie dobrego usłyszéć; dotychczas słyszałam jedynie, że najstarszy po awanturze z profesorem gimnazyalnym musiał za granicą kończyć nauki, znać nie skończył ich jeszcze, bo do domu nie wraca; mówiono też o jakichś długach, o rulecie, a toby mię bardzo dziwiło, gdyż pani Marya utrzymywała, że praktycznym rozsądkiem najwięcéj do ojca podobny. Ojciec nigdyby przecież majątku nie stracił, lubi używać, bawić się i błyszczéć, lecz prędzéjby dwie fortuny zrobił, niż jednę zmarnował. Prawda i to, że pan Marcin był synem wdowy pobiérającéj skromną emeryturę i w szesnastym roku z wielką wdzięcznością przyjął miejsce dependenta u pisarza trybunału, a pan Władysław w szesnastym roku pojechał na edukacyą do Paryża i ma rodziców, których na stotysięczną intratę obliczają. Takie okoliczności mogą bardzo zmodyfikować tożsamość natury. Świetniejszą karyerę wróżą młodszemu bratu Stanisławowi; a w pewnych kółkach towarzyskich, pewne panie zwłaszcza odchwalić

go się nie mogą, jaki to przykładny i bogobojny młodzieniec; ale chwali go także i pan Aleksander, co to go „ojcem zadżumionych“ przezwałaś, bo już żonę, dzieci i tylu wziętych na opiekę paniczów w grobie złożył, lub ruiną przysypał a sam bez szwanku po świecie wędruje. „Ten młodszy syn państwa Marcinów, to dzielny chłopak!“ woła pan Aleksander i ręce zaciéra; ja zaś wielką czuję nieufność do dzielnych chłopaków teraźniejszego gatunku, o ile nie na wojnie, o ile nie w ciężkiéj zarobkowéj pracy, o ile nie przy naukowych odkryciach, nie przy kanale sueskim, ani nawet przy najlichszéj machinie parowéj, co u licha mogą robić z tą swoją dzielnością? Pan Aleksander nie udzielił mi objaśnień i nawet po ostatnim, razem spędzonym wieczorze nie mogłabym ci nic stanowczego i o panu Stanisławie powiedziéć. Więcéj trochę o córkach. Starszéj na imię Amelia; gotowabyś przypuścić, że to wyłącznie z pamiątki po dobréj matce pamiątka; otóż nie, jest prócz tego w rodzie pana Marcina jakaś ciotka Amelia także, więc wybór osłonięty jéj wspomnieniem. Młodsza bez osłony, wprost z upodobania Krystyną być miała. Przyszła na świat równocześnie prawie z Krystyną pani Hoffman, o któréj, że wiele wszędzie mówiono, to i pan Marcin się dowiedział, iż starą panną została; uląkł się tego *omenu* dla nowo narodzonéj i prosił z właściwą sobie komplementową grzecznością „aby tak jak matka zwała się Marynią i tak jak matka uszczęśliwić kiedyś mogła kochającego ją małżonka.“ Stało się po jego woli z lekką odmianą wszelako. Na chrzcie św. maleńka imię Maryi otrzymała, ale w rodzinie przeważył zwyczaj wołania na nią Marylko, nie Maryniu. Czyby się kiedy matce piękne Adama wiersze i smutne Gustawa losy przypominały? czy ten wieczór? Nigdy potém nie słyszałam, żeby kto tak pięknie czytał Dziady; sam pan Nepomucen drugi raz już nie potrafił. A może bez wspomnienia żadnego prostym zbiegiem okoliczności dla tego, że pan Nepomucen od dawna wówczas żonaty i bardzo w pożyciu swojém nieszczęśliwy dla spraw separacyjnych częściéj musiał w Warszawie bywać, częściéj piękną kuzynkę nawiedzać a daleko Mickiewiczowi niż kuzynce wierniejszy jéj czwarte dziecko zaczął Marynką nazywać. Tego roku obie córki pani Maryi w świat, jak to mówią, weszły; bo raz na balu w resursie, a dwa razy na tańcujących wieczorkach się ukazały. Jedna ma lat ośmnaście, druga szesnaście zaczęła. Kilka miesięcy temu byłam właśnie obecną wielkiéj dyspucie, którą ich matka musiała z panią referendarzową o ten zamiar jednoczesnego wystąpienia przeprowadzić. Pani referendarzowa gorszyła się okropnie, że młodsza siostra a do tego ładniejsza starszéj wszędzie towarzyszyć miała; lepiéj byłoby jéj nauk nie przerywać, głowy nie zawracać, a nadewszystko Amelci effektu nie psuć.

Odważyłam się napomknąć, że dwie siostry jednakowo ubrane, młode, piérwszy raz zjawiają się na zabawach, prześliczny właśnie effekt robią, ale pani Marya (trzeba jéj oddać tę sprawiedliwość) poczciwiéj się broniła. A najpiérwéj, że jéj córkom kilka tańcujących wieczorków nauk nie przerwie, tak samo jak domowego porządku nie psuje bal najświetniejszy w dobrze urządzoném gospodarstwie, potém, że Marylce świat głowy nie zawróci, bo jeźli co, to chyba książki zawrócićby mogły; dziewczyna i tak za wiele czasu, za wiele życia wśród nich traci; gdyby już innych do tego nie było powodów, jeszczeby przez samę roztropność o trochę właściwsze jéj wiekowi starać się trzeba rozrywki. A co do effektu, pani Marya bardzo znacząco się uśmiechnęła, co do większego lub mniejszego powodzenia Anielki na salonach warszawskich, to jest bardzo obojętną rzeczą. Nie w salonach będzie dla niéj męża szukała i ma nadzieję, że ten, którego wyszuka (akcent pewny, dobitny, jak gdyby o już znalezionym była mowa) ten, którego wyszuka, nie z salonowego stroju i wyglądania córkę jéj oceni. Przedewszystkiém jednak dla tego chce razem dziewczęta swoje na pierwsze bale wprowadzać, że ich dwie tylko, innéj siostry nie mają, koniecznie jedna drugiéj przyjaciółką być musi, starała się téż od dzieciństwa największą równość między niemi utrzymywać, żeby wszystko wspólnie dzieliły i żeby kiedyś wspólnie wspominać mogły; to skarb na przyszłość zapewniony taka dusza, co z naszą duszą kawał przeszłości przeżyje. Tu pani Marya do mnie się zwróciła.

— Wszak prawda, że tego nikt nie zastąpi, kochanych zastąpimy lepiéj kochanymi, ale tych, co z nami razem pamiętają, wszak prawda, że nikim?

O kokieteryo! jestże to prawdą, że w najsurowszych i najcnotliwszych sercach niewieścich się gnieździsz? Ty się lepiéj odemnie znasz na podobnych rzeczach Marynko, jak ci się zdaje czy kobiéta bywa czasem dla kobiéty kokietką?

Ale wracając do panny Amelii i panny Marylki, powiem ci moja droga, że nigdy nie mogłam zdać sobie sprawy, dla czego tę więcéj, tamtę mniéj przystojną zwano. W moich oczach tak były do siebie podobne, że ich nigdy rozróżnić nie umiałam. Pani Marya mówiła mi, że jedna żywa i roztrzepana, druga poważna i głębszego usposobienia, jedna téż była trochę wyższa i jaśniejsza blondynka, druga trochę niższa i ciemniejsza, na nieszczęście te lekkie różnice jeszcze mi więcej gmatwały rozpoznanie. Piérwszy raz dopiéro w czasie moich onegdajszych odwiedzin wyosobniłam obie siostry i pewnie już mi się nie zdarzy, bym kiedykolwiek jednę za drugą wzięła, lecz o tém potém. Jeszcze ci muszę ich starszego brata pana

Stanisława przedstawić. Bardzo się robi do ojca podobny, brwi już mu się zaczynają osuwać na jego duże a głęboko osadzone niebieskie oczy, nos cienieje, usta przeciągają się tym samym półuśmiechem wyższości, tylko jak poznałam pana Marcina w jego trzydziestym którymś roku, jeszcze nie był i w połowie do tego stopnia wyższym nad śmiertelne tłumy, jak dziś widać, że wyższym syn jego dwudziestoletni się czuje. Pan Marcin na szczęście dla duszy swojéj po francusku biegle nie mówił wówczas, gdy francuzczyzna najwięcéj była w modzie i z bardzo już czystym akcentem po najzamożniejszych dworkach grasowała; ten niedostatek, o ile zmiarkować mogłam, w lekkiéj pokorze go trzymał. Pan Stanisław nie tylko po francusku wszystkie rodzaje e, ai, ei, é, ê doskonale cieniuje, ale nadto lubi mówić po angielsku, a po niemiecku czytał Szyllera, Goethego, Schlegla. Tylkoż z prędkości nie pomyl się Marynko, Schlegla nie weź za Hegla, bo to jak o Niemcach mowa, zaraz Hegel na języku, dobrze pamiętam przecie, że pan Stanisław Schleglowską potęgę wspominał, na co nawet pan Konrad niedawno z zagranicy przybyły zdumienie wielkie okazał. Już wiesz, że ów pan Konrad jest synem pana Nepomucena, wiesz, że pan Nepomucen dawnym dobrym znajomym moim, tylko może ciekawa jesteś jacy to byli a jacy to są dzisiaj dawni dobrzy znajomi moi? Czy lepsi od dzisiejszych? Ma się rozumiéć dla mnie daleko lepsi, według zaś rzeczywistéj ich wartości, nie śmiałabym opisywać. Zawsze mam przytomne to zdanie, które czytałam kędyś, że kiedy kobiéta opisuje charakter mężczyzny, to jéj mężczyzna zawsze do kobiéty podobny, a kiedy znów który z tych panów kobiétę chce z jéj moralnéj duchowéj strony odmalować, to jego kobiéta zawsze do niczego niepodobna. O drugiéj połowie tego wyroku stokrotnie przekonać się mogłam, najsławniejsi powieściopisarze zamiast kobiét wstawiają w dzieła swoje pewne typy ogółowe, tradycyonalne, jak np. w bajkach Lafontaina, a gdzie lis chytry, lew wspaniały, zając lękliwy, u nich także jest kobiéta piękna, brzydka, dobra, zła a nadewszystko jest kochana, lub niekochana, i zdarzenia się snują. Balzac jeden, niegodziwy Balzac uważniéj nam się przyjrzał; ale to bieda, Marynko moja, że tylko ze strony fizyologicznéj chciał zbadać kobiéty, ich człowieczeństwo zupełnie pominął. Kiedy więc jedno założenie słuszności swéj dowiodło, musi i drugie być słusznêm. Postanowiłam przeto nigdy się w psychologiczne mężczyzn fotografie nie wdawać. Nawet szanowny pan Nepomucen mnie nie skusi. Sama dla siebie do mojéj niepokazywanéj nikomu kolekcyi odbiłam jego portrecik. Gdyby go zobaczył, możeby mi proces wytoczył a szczególniéj gdyby na podpisie maleńkiéj paczki przeczytał.

Serya 1-sza Niekonsekwencya, potém na podpisie piérwszego wizerunku Nr. 1, obywatel poczciwy pan Nepomucen, a gdyby jeszcze téż przy sobie zobaczył wizerunek Nr. 2-gi, obywatel niepoczciwy pan Remigijusz.... Sąsiedztwa z panem Remigiuszem nie przebaczyłby mi do śmierci, choćbym się najpokorniéj usprawiedliwiała, że niekonsekwencya jest wielką zaletą ludzi, między ludźmi na aniołów jeszcze nieprzerobionymi, że konsekwentnych znam tylko dwóch jezuitów i jednego egoistę, że Napoleon niekonsekwentnie wojnę we Włoszech prowadził, a konsekwentnie kampanią r. 1813 przegrał, że Torquemade i St. Just byli konsekwentni, a nasz Żółkiewski i Marceau najniekonsekwentniejsi, ten względem Zygmunta III-go, a ten względem terroryzmu; choćbym i przysięgła wreszcie, że pana Remigiusza w popularnym stosunku jedynie obok pana Nepomucena postawiłam, że ostatecznościami wybitnemi chciałam właśnie piękną stronę niekonsekwentności uwydatnić i dowieść, jak to pomimo różnych usterków można tło nieskalane zachować, jak nawet z gliny kruchéj mnóstwo pięknych lubartowskich etrusków wypalić, *per exemplum* p. Nepomucen; a jak znów przy tle najczarniejszém są chwile, są zdarzenia, które niby dyamenty w błocie połyskują, *per ex.* pan Remigiusz. Nie mogłam umieścić krwią ociekłego Sylli, który właściciela willi Albańskiéj na śmierć skazuje, a młodemu Pompejuszowi przebacza, choć mu groził zuchwalec, że Rzymianie wolą wschodzące, niż zachodzące słońce, ani księcia Orleańskiego rejenta, co w takiém zepsutém rozpustą sercu nosił od piérwszych wrażeń młodości aż do śmierci jednę, niezmienną i czystą podobno dla księżnéj de St. Simon żony autora sławnych pamiętników miłość, nie mogłam ani ich, ani wielu innych do zbioru mego załączyć dla téj prostéj przyczyny, że to zbiór samych znajomych, a nie miałam szczęścia znać tych panów i być z nimi za pan brat, jak Kagliostro. Prawda, że téż z p. Remigiuszem za pan brat nie jestem, ale mam dla niego pewne obowiązki wdzięczności. Niedbałość rejenta przy spisywaniu kontraktu wydała niegdyś szwagra mego z całém mieniem i imieniem na łaskę i niełaskę panu Remigiuszowi. P. Remigiusz mógł go wtedy zgubić ze szczętem, ograbić, oszkalować a p. Remigiusz nie zgubił go ze szczętem. Pan Remigiusz w konsekwencyi do swoich zasad i usposobień powinien zbrodnię jaką popełnić a dotychczas nikogo nie zamordował, powinien za groszem, jak tax za borsukiem śledzić, a ożenił się z ubogą bardzo panienką, ma ona za to wiele cierpkich jabłek do zgryzienia, lecz cierpkie jabłko już w konsekwencyą zachodzą, ożenienie tylko z niekonsekwencyi się wyrwało. O téj błogosławionéj niekonsekwencyi mogłabym ci dwugodzinne rano i wieczór, jak ksiądz... prawić kazanie, ale cóż, kiedy z góry przewiduję, że pan

Nepomucen nie dałby się przekonać i zawsze późniéj trochę żalu miałby do mnie, wolę go zatém geometrycznie tylko i biograficznie to jest co do powierzchowności i co do niektórych życia jego wypadków przedstawić.

Pan Nepomucen jest prześlicznie brzydki. Wysoki, kształtnéj postawy, twarz ma płaską, nos gruby płaski, ale czoło szerokie i pogodne; oczy bardzo blado bure, ale przy ciemnéj rzęsie, pod brwią ciemną i gładką bardzo poczciwie jakoś z głębi serca patrzące; usta jego są szerokie i trochę po murzyńsku wydatne, ale mają różne swoje zachwycające uśmiechy; to dziecinnie swobodne, to smętne, to wdzięczne, to trochę złośliwe, to pociągające, jak dobroć i braterstwo, to gorzkie jak zwątpiałość i przygnębienie. W karku p. Nepomucen nieco może za gruby; dawniéj tego znać nie było, lecz gdy zaczął marszałkowskiéj tuszy nabiérać (myślę w téj chwili o galeryi portretowéj marszałków francuskich, choć obywatelscy pewnieby typów dostarczyli), gdy więc zaczął marszałkowskiéj tuszy nabiérać, stało się to widocznëm; uszy także dość znacznie od głowy mu odstają. Przypominam sobie, że mi kiedyś znakomity malarz powiedział, jakoby odstające uszy miały być frenologicznéj śmiałości oznaką. Jan Bart ma „prawie pod kątem rozwartym" na autentycznych portretach, pan Nepomucen ma je pod kątem „prawie prostym." Przy czarnych bokobrodach wcale go to nie szpeci, a czarne bokobrody i czarniuteczkie wąsy przy siwych na głowie włosach bardzo go teraz nawet zdobią. Nie potrzebuję ci mówić, że gdyśmy się poznali, p. Nepomucen nie miał jeszcze siwych włosów, miał gęstą atramentowéj czarności niekarną czuprynę, która się nigdy według ówczesnéj mody w supeł nad czołem a dwa płaskie nad skroniami zefirki przyczesać nie dawała, grube jéj masy na wszystkie strony rozpadały się w nieładzie, jak im się żywnie podobało, ale jak na nieszczęście nigdy matce mojéj Maryni podobać się nie raczyło. Pan Marszałkiewicz, najsławniejszy w owym czasie miniaturzysta i nauczyciel rysunków, u którego nawet po wyjściu z pensyi prywatne lekcye Marynia brała, przyniósł jéj raz na model gipsową głowę sławnego gladyatora umiérającego, „a widzi pani," z tryumfem zauważałam wtedy głównéj przeciwniczce, pani zawsze powiada, „że p. Nepomucen rozczochrany, on jednak zupełnie tak włosy nosi, jak na posągach starożytnych. „Chyba téż jak na posągach starożytnych nieubranych, a zwłaszcza gladyatorów, co się jedni z drugimi tłukli," przycięła mi surowo matrona i w obec jéj córki sprawę przegrałam, ale co ładnie to bardzo ładnie kopia się udała Maryni czarną i białą kredą na dwa cienie robiona, mam ją u siebie dotychczas w wielkiéj tece pogrzebanych pamiątek. Przy takiéj tedy posągowo rozczochranéj gło-

wie pan Nepomucen miał i zachował ruchy żywe, niby pośpieszne, chociaż to jego wadą właśnie, że się śpieszyć nie umié, jednak po krótkiéj kampanii odbytéj w młodzieńczych dojrzewania chwilach, nabrał téj zupełnie wojskowéj maniery, rzekłabyś czasem, że mu jeszcze porucznikowskie szlify na ramionach świécą, i głos mu także porucznikowski na dnie powszednie się wyrobił, ten głos donośny, pełny, drgający między subordynacyą a rozkazem, między wesołém bohatérstwem a lekkomyślną pustotą, między stemplem kulę przybijającym, a całusem pięknéj dziewczynie przesłanym. Szczególniéj kiedy p. Nepomucen wita się z miłym sobie gościem, kiedy rozmawia z chłopami przed sienią, kiedy jaką dobrą wiadomość przynosi, to zawsze jak gdyby plutonem dowodził, albo manierką towarzysza na placówce częstował. Są chwile, w których ten głos mięknie, przytłumia się, wibruje tak delikatnie, jak pianissimo wiolonczeli, ale téż są inne, w których nad obozowe tony mocniejszym rozlega się piorurem i grzmotem. Raz tylko grzmoty i pioruny słyszałam, ktoś tam na egzekucyą przysłany postraszył mu pięcioletniego syna batożkiem. Oho! nawet sobie nie wyobrażałam, by tak groźnie odezwać się mogła pierś tak dobrotliwie łagodnego zazwyczaj człowieka. Pianissimo wiolonczelli także mi kilka razy koło uszu wionęło. Raz wionęło ze słowem wspomnienia o matce, drugi raz ze słowem żalu za umarłym na obcéj ziemi bratem. Późniéj kiedyś z imieniem ukochanéj straconéj, a jeszcze późniéj przy podsumowaniu całego życia, przy gawędce o niedoszłych młodości zamiarach, o niespełnionych obowiązkach, o nieużytych do niczego zdolnościach, o tém, co niepowrotne i co już niezastąpione. Jeszcze mi echem brzmi jego: „Zmarniało! wszystko człowiekowi zmarniało i człowiek sam zmarniał także!“ Gdyby się Zygmunt August przy śmiertelném łożu Barbary mógł na obrazie Simmlera odezwać, pewnieby takim cichym, bolesnym szeptem się odezwał, ale jak dla Zugmunta Augusta, tak i dla p. Nepomucena za dosłowną prawdę owego wykrzyknika brać się nie godzi. Zygmunt August wyszukał sobie Giżanki na odurzenie i przeprowadził kilka jeszcze bardzo poczciwych spraw w życiu swojém. Pan Nepomucen znalazł coś lepszego niż Giżankę na pociechę, bo się do syna przywiązał, a na dobrą sprawę dalszego życia wychowaniem jego się zajął. Jakkolwiek wszelako z tonu i zwyczajnego ułożenia taki dziś jeszcze serdeczny i dziarski porucznik, nie na porucznika przecież kształcił się p. Nepomucen, miał nadzieję znakomitym prawnikiem zostać, szedł o lepszą z braćmi Cyp... na uniwersytecie i może jaki senator dzisiejszy pamięta go jeszcze, ale kursów nie skończył, zawierucha wyrwała młodą duszę z wytkniętéj przed nią kolei, późniéj objął nie wielką po rodzicach majętność, zziemianiał zupełnie, tylko

pamiątką uniwersyteckiego życia jest w nim zawsze wielkie do książek upodobanie. Jeszcze przed narodzeniem „Biblioteki Warszawskiéj“ trzymał różne wątłe pisemka peryodyczne, które się od czasu do czasu pojawiały, teraz téż ciągle jakieś dziełko przykupi, to historyą Thiersa lub Gerwinusa, to coś o naukach przyrodzonych, o swojém niegdyś prawnictwie ulubioném, i między obywatelami jest wielką naukową powagą, wielkiego wpływu jednak wcale na nich nie wywiera, a niestety! przyznać trzeba, że z dość słusznéj przyczyny zarzucają mu trochę niedbałości w gospodarstwie; sprawiedliwą tedy jest rzeczą, że wpływ p. Nepomucena, który powinien być dobrym rolnikiem i powinien rozumnie się rządzić na tym kawałku jego a naszéj, naszéj a Bożéj ziemi, że wpływ ten, mówię, zachwiał się i upadł, bo p. Nepomucen jest niepilnym rolnikiem i nierozumnym zarządzcą— to arcysłusznie,—lecz to znów arcy niesłusznie, to rzecz bardzo niesprawiedliwa, że wszystko na książki spędzają, a ponieważ mu się sztuczne nawozy któregoś roku nie powiodły, rozeszła się opinia, że z książki gospodarzy: „za wiele czyta“ mówią sobie na przestrogę wzajemną. Prawda, że p. Nepomucen względnie do swojéj obywatelskiéj godności dużo czytuje, ale nie za wiele, on tylko za mało pisze po arabsku na swoje nieszczęście; rejestra jego są trochę nieporządnie utrzymane. Gdy go pytałam kiedyś, co to znaczą pozycye budżetowe, o których w gazetach piszą? Bardzo mi jasno, treściwie, zrozumiale obroty państwowéj skarbowości wytłómaczył, ale podejrzywam go, że nigdy sam dla siebie żadnego nie ułożył budżetu, ani téż żadnych nie poodznaczał w nim pozycyj, ani bilansu, jako żyje nie przedstawił nikomu, nawet żonie przy separacyi. Prócz tego nie ma p. Nepomucen bystrego objęcia różnych warunków korzystnéj lub niekorzystnéj spekulacyi, ani wyzyskiwać, co jest bardzo chwalebném, ani zyskiwać, co już jest trochę niedołężném, nie umié; tyle dobrego przynajmniéj, że to zna do siebie i usprawiedliwia się, że *zdolność* nie z pracy, lecz z *doli* idzie, bo *dola* jest źródłosłowem.

Koniecznie muszę tutaj maleńki niby psychologiczny wsunąć paradox, zdaje mi się, że gdyby p. Nepomucen był trochę chciwszym spekulantem, toby o wiele bez wątpienia był rzetelniejszym człowiekiem. Juścić on jest moralnie i gatunkowo rzetelnym, ale praktycznie.... Żeby z długu na termin się uiścić, żeby sprzedane zboże według wszelkich zastrzeżeń kontraktowych odstawić, żeby spokojnie bez kłótni „dołożyć workiem, kiedy się nie dołoży okiem“ przy spisywaniu ugody, cała ta rutyna drobnych kodeksu cywilnego artykulików jeszcze exprawnikowi w zwyczaj nie weszła, a raczéjbym powiedziała, że powoli ze zwyczaju wychodzić zaczęła. Honorowy, jak rycerz okrągłego stołu króla Artura, w młodości swojéj szlachetność

aż do nieroztropności posuwał; jeśli mógł wesprzéć, komu z własnym uszczerbkiem przysługę jaką oddać, to się czuł najszczęśliwszym. I dziś nieraz jeszcze takie same unoszą go popędy, ale że tak chętnie dzielił się swojém, że tak nigdy przez sen nawet cudzego nie pragnął, ubezpieczył się na intencyach i ani przypuścił nawet, by mógł kiedy mieć czyją krzywdę na sumieniu. Jednak zdarzało się w zawilszych przedsięwzięciach, że i sam nic nie zarobił i drugich czasem na straty naraził. Jeśli się spostrzegł wtedy, to sobie włosy garściami z rozpaczy wyrywał, jeśli się nie spostrzegł (my biedni zaślepieni ludzie najczęściéj się nie spostrzegamy), to go najlżejsze słowo wymówki oburzało. Jak można wątpić o nim? jak można zarzucać jemu? czyż nie przekonał ludzi i sam w sobie czyż nie jest przekonanym, że umié własnym interesem pogardzić, wyrzec się własnéj korzyści on uczciwy i prawy? Tak, bardzo prawy, mogę ci za to ręczyć Marynko, ale nie dość prawny pomimo studyów uniwersyteckich. Bujna to była, tylko trochę płynna natura, niedostatecznie w kształt pewny ujęta; ograniczenia zakonu, reguły potrzebująca; dobry instynkt ciągnął go ku téj jedynéj, która jego niedostatek w obfitość, jego niedoskonałości w najlepszość, jego grzechy w zbawienie przemienić mogła. Świat rozdzielił! Jestem pewna, że Marynia patrząc na dalszy rozwój dziejów p. Nepomucena, z coraz głębszą wdzięcznością uwielbiała rozsądek swoich rodziców i własne posłuszeństwo; a ja przeciwnie, im więcéj słyszałam o błędach lub nieszczęściach, tém więcéj żałowałam cnót możliwych i możliwego piękna.

Łatwą było do przewidzenia rzeczą, że skoro tylko zaraz przed ślubem lub po ślubie swego ideału p. Nepomucen w łeb sobie nie strzeli, to prędzéj, późniéj sam się ożeni także. Nie strzelił w łeb sobie, chociaż widziałam go bardzo bladym i zmienionym w téj epoce. Pamiętam jednę chwilę, jednego spojrzenia szczególniéj wyraźnie trupa w twarzy jego zobaczyłam, ha! kto wié, czy nie umarł na czas jakiś, czy nie umarł jakąś częścią duszy swojej; jakaś zdolność, siła jakaś czy go nie odstąpiła wtedy na wieki! Ta siła, zdolność w każdym razie nie była zdolnością i siłą kochania, bo w jakiś czas potém słyszałam o kilku jego dość głośnych romansach, nakoniec usłyszałam, że się i ożenił. Bardzo zwyczajne okoliczności życia to wyjazdy, to przesiedliny rozłączyły nas podówczas i dopiero coś około 46 roku odnowiły się nasze stosunki. Nie znałam więc pani Nepomucenowéj, ze słyszenia wiém tylko, że należała do rzędu kobiét niełądnych a zajmujących. Wdzięczna, bluszczowéj miękkości, trochę marzycielskiéj natury, a co gorsza okropnie rozdrażnionych nerwów, nęciła swoją łagodnością, jak obietnicą ciszy i spokoju, zaciekawiała chorobą, jak tajemnicą niezwierzonych myśli, głębokich wrażeń, wul-

kanicznego uczucia. Pan Nepomucen szalenie się w niéj zakochał, bo p. Nepomucen jest dziś jeszcze wielkim entuzyastą, jak w zapał wpadnie do czegobądź lub z czegobądź, tak sąsiedzi może się i nie mylą, mówiąc zwykle o nim: „szalenie konno jeździ,—szalenie poluje,“ czasem, czasem, rzadko się to zdarza, lecz czasem powiedzą téż „szalenie gra w karty“ tak jak na niektórych balach warszawskich „szalenie tańczył“ niegdyś, jak szalenie się rąbał i strzelał,— jak wreszcie szalenie kochał swoję żonę. Czemu on jéj zwyczajnie tylko nie kochał? jak się kocha, kiedy się kocha. Dom jego byłby dzisiaj wesoły, gwarny, ubłogosławiony szczęściem rodzinném. Byłaby jedna więcéj dobra i użyteczna kobiéta na świecie. On kochał szalenie!.. pieścił i dokuczał, obchodził się to jak z fetyszem to jak z Agarą niewolnicą, aż przyszło do coraz drażliwszych nieporozumień, kobiéta szalenie kochana znudziła się, rozdziwaczała i kochać przestała. Mąż niekochany zakamieniał w swéj dumie. Nie mieli żadnéj prawdy wspólnéj, któraby między niemi na rozsądzenie stała, mieli tylko wzajemne wymagania. On jéj nie zarzucał, że świętości obowiązków swoich nie pojmuje, że zbyt mało dba o moralne i fizyczne dobro, o naukę i wygodę swoich podwładnych, że sama nie kształci się, nie oświeca, nie ulepsza, tylko łajał, że tam, a nie tam pojechała, że z tym lub owym za długo mówiła, od czasu do czasu, jeśli kupiec na pszenicę nie dopisał to zrzędził, że wydatki ogromne, że się nie umié z pieniędzmi obchodzić.

Ona zaś wcale o to nie miała do męża pretensyi, że jéj nie wskazał którą drogą obok niego postępować a coraz wyżéj wznosićby się mogła, że nie obmyślał dla niéj udziału w jakiéj pożytecznéj pracy, że sam zresztą nie zajął ważniejszego stanowiska, że do ważniejszych zamiarów ręki nie przyłożył,—ale natomiast skarżyła się, że odjeżdżał lub nie dość prędko wracał, że jego listy bywały krótkie, że danego sobie zlecenia zapomniał, a potém że jéj odmówił jakiéjś drobnostki, jakiéjś przyjemności, a potém, że jéj zrobił przykrość maleńką, a potém że mógł się niecierpliwić tą, którą jemu zrobiła. I tak szło coraz daléj, i byłoby, jak w wielu innych małżeństwach szło aż do grobu może, gdyby się dwa zbyt podobne do siebie usposobienia nie dobrały. P. Nepomucen był nie z fantazyi, ale ze szczerego serca trochę romansowy, pani Nepomucenowa jeszcze bardziéj romansową była. Oboje wzdychali za światem idealnym, artystycznie pięknym i gładkim a tkwili we wszystkich chropowatościach najnieznośniejszéj trywialności, musiała przyjść chwila gniewu i obrzydzenie, w takiéj chwili rozstali się na wieki. Jaka okoliczność, jakie zdarzenie ostatecznie spowodowało ten wypadek? nikt nie wié. Od chwili rozłączenia p. Nepomucen nikomu nigdy imienia żony nie wspomniał.

Ludzie różne plotki sieją. Słychać było, że pani Nepomucenowa do klasztoru wstępuje, to znów, że ją we Włoszech nie samę widywano. Nic mi na tém nie zależało, by się w tym względzie prawdy dowiedziéć. Kiedy po długich, długich latach niewidzenia spotkałam się z p. Nepomucenem, był już prawnie z żoną separowany; swobodny humor jego ucieniował się żyłkami gorzkiego sarkazmu a włosy pobielały przedwczesną siwizną. Od zwątpienia jednakże, od trującego żalu do ludzi, od obosiecznéj świata całego pogardy, strzegło go jedno święte i wszystkie władze duszy chłonące uczucie. P. Nepomucen zatrzymał syna jedynaka przy sobie, i syna kochał, już nie szalenie, lub raczéj kochał go i szalenie i rozumnie, i ślepo i jasnowidnie, kochał go na wszystkie sposoby, jakiemi tylko serce kochać może.

Cóż się tedy z tak ukochanego wyrobiło? Widziałam pięcioletniego Dziunia, jeszcze przed rozłączeniem rodziców, ale w nieobecności matki,—było to chude, żółte, rozkapryszone i ponure dziecko, które się ze mną przywitać nie chciało, chociaż mu pudełko pełne cukierków pokazywałam a ojciec żywego konia obiecywał. Głupstwo, dziwactwo dziecinne, mnie jednak rozżalenie ogarnęło jakby do człowieka.

— Ot widzi pan, rzekłam panu Nepomucenowi, tak to się wiekuiście ludzie z pod wieży Babel rozchodzą, już pana syn mnie nie zna i kochać mię nie będzie.

A pan Nepomucen odpowiedział:

— Nie, ja w tém, że będzie i znał i kochał, jedno z owych najszczerszych, lecz zdaje mi się bez złéj woli zapomnianych pana Nepomucena przyrzeczeń.

Widziałam późniéj Konradka w szkolnym mundurku nieśmiałego, niezgrabnego, tylko kiedyśmy z ojcem rozmawiać zaczęli i *straszne okropne historye* nawzajem sobie opowiadać, spostrzegłam, że chłopiec słuchał uważnie a twarz mu pobladła i oczy wielkim blaskiem rozpłonęły. Z dobrą notą zapisałam w pamięci studencika, co umiał słuchać, do rozmowy starszych się nie mięszając.

U pani Maryi na wieczorze dopiéro spotkałam dorosłego pana Konrada i mam wielką ochotę umieścić go w wiadoméj ci kolekcyi, tylko nie obok ojca, raczéj zupełnie przeciwlegle w seryi drugiéj z nadpisem: Konsekwencya dział piérwszy. Próby różne. N. 3. Próba konsekwencyi w rozumie.

Istotnie piérwsze wrażenie, jakie na mnie twarz Konrada zrobiła, było wrażeniem wysokiéj inteligencyi; piérwsze wrażenie, jakie głos jego zrobił, było wrażeniem powagi i rozwagi, ale piérwsze wrażenie, jakie zrobił jego uśmiech przy powitaniu, było tylko przypomnienie serdecznéj ojca jego dobroci.

Jakie może barwy i odcienia tworzyć danych farb pomięszanie, czy ów błękit uczuciowy z purpurą inteligencyi wyda fiolet, czy karmazyn? a jaki fiolet jaki karmazyn? Czy hart naukowéj logiki jest gruntem osobistości, dobroć kochająca formą charakteru, czy odwrotnie! Kamieńli to jedwabiem owinięty? czy jedwab' w kamienném pudełku. Nic jeszcze sądzić o tém nie mogę,—wiem co najwięcéj, że jest jedwab' i kamień. Prócz tego jedynego uśmiechu p. Konrad zresztą w niczém z powierzchowności do ojca nie jest podobny. Coś smuklejszego w figurze, coś arystokratyczniejszego w rysach, choć niższy i drobniejszy. Nigdybyś się nie domyśliła że to... wyrobnik. Tak jest, wyrobnik własnemi rękami, a przypatrzyłam się nieznacznie ma bardzo białe ręce z długiemi, delikatnemi palcami, z różową od spodu dłonią, musi to być po matce bezczynnéj księżniczce sennych rojeń dziedzictwo. Temi więc własnemi książęcemi rękami kuł żelazo, młotem rozbijał kamienne pokłady, jedném słowem, temi rękami pracował. Lecz nie chcę cię dłużéj mistyfikować, wszystko razem znaczy jedynie, że skończył szkołę normalną w Paryżu, wykształcił się na inżyniera—mechanika, był na praktyce przy kopaniu kanałów między Sambrą a Meuzą, potém czas jakiś spędził w zakładach Cornhilu, potém zwiedził Anglią i miał szczęście widzieć jeszcze przed zgonem sławnéj pamięci Stefensa. Potém wrócił do kraju, urządził podobno już któremuś z obywateli galicyjskich zyskowniejszą eksploatacyą źródeł naftowych—bodaj czy mu zupełnie sam piérwszy tego bogactwa nie odkrył. A nakoniec teraz, nie licząc, że jest z różnych stron do różnych prywatnych osób wzywany, to żeby jakąś papiérnię urządził, to żeby młyny parowe i t. p. maszynerye zakładał,—nie licząc: że kilku większych przedsiębierców ofiarowało mu w swoich fabrykach umieszczenie, jeszcze daleko świetniejsza uchyla się przed jego wzrokiem perspektywa,—przy końcu któréj.....

Ale czyż ręczyć, że przy końcu, może w środku właśnie zarysy dyrektorstwa wszystkich bankowych zakładów majaczą. Początek jeszcze nie brzmi tak szumnym tytułem, lecz musi to już być coś sutego i z hypoteką na ziszczenie obietnic, bo chociaż przypuszczam, że pani Marya zawszeby łaskawém okiem na syna p. Nepomucena w domu swoim spoglądała, to niezawodnie p. Marcin nie przyjmowałby go tak uprzejmie, a panienkom nie byłoby wolno tak po kuzynowsku się z nim obchodzić, gdyby p. Konrad miał tylko rozum w głowie i tylko dyplom szkoły normalnéj w kieszeni. Tymczasem, jeśli mię różne spostrzeżenia nie zawodzą, jest coś prawie rodzinnego w całém postępowaniu z p. Konradem. Nie chciałam sobie z razu na żadne domysły wydać przywileju, ale nie daléj jak wczoraj była u mnie ta sama pani Referendarzowa, co to nie chciała nauk

młodszéj siostrze przerywać i bardzo wyraźnie, jak o rzeczy stanowczo już ułożonéj mówiła.

— Czy być może, pan Marcin poprzestałby na... na panu Konradzie, przedstawiałam z obłudném powątpiewaniem.

— I cóż chcesz moja droga pani, perswadowano mi w najlepszéj wierze, prawda, że państwo Marcinostwo wielkie mają dochody, ale stałego majątku nie tak wiele, a dzieci sześcioro!...

Patrzcie tylko o matki, o ojcowie, jakie to nieszczęście mieć sześcioro dzieci! trzeba potém szukać dla córek rozumnych mężów, coby z mniejszego potrafili zrobić większe, z niższego dostać się na wyższe. Przynajmniéj kto ma bogatą jedynaczkę, to sobie powié, choćby mój zięć stracił trzecią część, choćby połowę swojego i swojéj żony dziedzictwa, jeszcze reszty dla dzieci jego wystarczy, a choćby szkół nie skończył i żadnego uczonego dyplomu nie otrzymał, to jeszcze gdy żona zechce, może jaką godność obywatelską piastować. Nie zostanie prezydentem ani prezesem żadnego stowarzyszenia, to zostanie choć radcą kredytowym, choć sędzią pokoju. Szczęśliwe jedynaczki Marynko!

Ale dość tego, czas nakoniec, żebym z tobą w myśli i sercu, z tobą a z całém towarzystwem p. Maryi w bawialnym pokoju zasiadła już na kanapie i o dziełach pani Hoffman rozmawiać zaczęła. Wszakże wszystkich ci zaprezentowałam, wszystkich, o ile sobie przypominam, ha! jeszcze nie zaprezentowałam Józia, Karolka i pana korepetytora. Prawda, że i mnie ich nie zaprezentowano, lecz mogę w krótkich słowach grzecznéj formułki dopełnić. Józio ma lat dwanaście, krótko już po szkolnemu obcięte włosy i minkę ogromnie figlarną; Karolek jeszcze mógłby królem franków być obrany, zdaje się, że nożyce nie tknęły ani razu téj złocistéj fali, co mu aż na ramiona spływa, jest téż coś frankońskiego w jego fizyognomii, psota i śmiałość—a pan korepetytor—szatyn.

Spodziewam się, że gdybyś teraz weszła przypadkiem w grono tych osób, to jużbyś je poznała z łatwością. Chyba tylko pomyliłabyś się jeszcze między panną Amelką a panną Marylką, i słusznie, bo ja sama pomyliłam się także. Pierwéj nim miałam czas rozejrzéć się w zgromadzoném przy wielkim stole towarzystwie dojrzałam tylko, że przez kilka miesięcy, poczas których nie wypadło mi jakoś być u p. Maryi, obie siostry bardzo wyładniały, czy to skutkiem wieczorków karnawałowych, czy innych wpływów psychologicznych, dość powiedzieć, że ja, co nigdy na nie wyłącznéj nie zwracałam uwagi, nawet przyznam ci się w sekrecie nie lubiłam ich trochę za to, że były niby podobne do matki kolorytem, a tak ojca przypominały rysami, jak gdyby na sprzeciwienie: tym razem jednak musiałam dłużéj

oczy zatrzymać. Piérwsze spojrzenie pociągnęła jasna, miernego wzrostu, prześlicznéj karnacyi dziewczyna; nie pomyślałam o bogactwach i kosztownościach żadnych na jéj widok, lecz padło na mnie jakieś błogie przyjemne poczucie obfitości i dostatku. Włosy, jak gruby snop pszenicy, szyja biała jak mléko, twarz rumiana jak brzoskwinia, nosek haczykowaty, nosek jeden skąpy i chudy, ale usteczka! czy lubisz szklane wiśnie Marynko? jak najpyszniejsza szklana wiśnia, soczysto, smacznie purpurowo te usteczka wyglądają, chcesz czy nie chcesz musisz sobie jakie wiersze o pocałunku przypomniéć. Do błękitnych oczu za to znanych ci wierszy „o błękitnych oczach" nie mogłabyś zadeklamować, te oczy wcale nie błękitnie patrzą. Wielkiéj mi ciekawości narobiły, dziwię się pani Maryi, że taka spokojna, panu Marcinowi zaś to się bynajmniéj nie dziwię, że tę szczebiotkę podobno najlepiéj ze wszystkich dzieci kocha. Pewna bujność organizacyi, pewna może niesforność charakteru lepiéj się godzi z jego zadomowém usposobieniem i wdzięcznym być musi swojéj faworytce, że go w domu niekiedy z krochmalu urzędowéj sztywności rozkrusza. Tylko sobie nie wyobrażaj moja Marynko żadnéj amazonki, żadnéj emancypantki, żadnéj wietrznicy nawet. Jakżeby się co podobnego pod skrzydłami pani Maryi uchowało! Powabna blondynka jest bardzo pięknie ułożoną młodą osobą. Najniebezpieczniejszy symptomat wyzwolenia w tém chyba się objawia, że woli ponsowe, niż niebieskie wstążeczki, zaraz mię uderzyło, iż miała ponsowy *cache peigne* i ponsową na szyi zawiązkę. Jéj matka nigdy sobie dobrowolnie takiéj ekscentryczności nie pozwoliła. Wiedziała z tradycyi, że blondynki powinny się niebiesko ubiérać i zawsze jeśli nie czarno, nie biało, nie jakbądź ciemno wreszcie, to o zakład niebiesko bywała ubraną. Raz jedyny uprosiłam ją, by koralową na bal włożyła girlandkę. Przez poświęcenie dla mnie dała się namówić. Głos sumienia zadecydował, że między przyjaciółką a stroikiem, nawet z zachwycająco turkusowych niezapominajek sprawę na korzyść przyjaciółki rozsądzić się godzi. Całe balowe zgromadzenie koralom przyklasnęło, p. Nepomucen za mojém krzesłem schylony, gdy przechodziła, pół głosem rzekł do mnie—anioł morza!.. a mnie śmiech zdjął pusty, gdyż trzeba ci wiedziéć Marynko, że byłam wtedy „szalenie wesoła" zaczęłam się więc drażnić z p. Nepomucenem.

— Czy pan zna tę osobliwość? piérwszy raz o niéj słyszę. W historyi naturalnéj czytałam o cielętach morskich, w mitologii o syrenach, w bajkach o ondynach, ale jak żyję nigdy nikt mi o aniołach morskich nie powiadał.

— Więc ja pani powiem, że są anioły morza, zstępują do otchłani, a gdy z niéj potém na świat boży wracają, to im się czasem gałązka koralowa w złocistych włosów pierścienie oplącze.

— A na co tam zstępują? czy im po drodze bywa?

— Może chcą jaką utopioną duszę wyratować.

— Nie, podoba mi się legenda, wolę bajkę, wolę wschodnie i mitologiczne powieści. Ondyna albo zaczarowana księżniczka, albo Nereida złotowłosa, zamknięta jest w kryształowym podwodnym pałacu; w tém przybywa rycerz, albo królewicz ziemi, albo olbrzymi Tytan jaki rzuca się w morskie fale, zwycięża Neptuna i Amfitryty, Geniusze i potwory, rozbija kryształowe gmachy a piękną oswobodzoną z koralowemi gałązkami w świetle słonecznych promieni przebudza.

— Co ma znaczyć?

— To ma znaczyć, że piękniejsze są mity siły niż marzycielstwa, a cenniejszą odwaga miłości niż uwielbienia.

— Czyżby to znowu znaczyło.... biedny p. Nepomucen zająknął się, lecz odwróciłam się ku niemu i widziałam, że cała twarz mu rozbłysła fajerwerkiem, który nagle słowa moje zapaliły w jego mózgu, aż mi się żal zrobiło.

— Nie, nie, odparłam co prędzéj, to nic nie znaczy,—to znaczy jedynie moje osobiste przekonanie, nie chciéj pan z łaski swojéj za radę tego uważać.

— A gdyby...

— A toby... z takim poważnym akcentem i tak wiernie echo udałam, że mi trudno było po raz drugi od śmiechu się wstrzymać. Pan Nepomucen schylił głowę i milczał, milczał, aż gdy wstawałam już, by się oddalić:

— Jednak pani dobrą jesteś, rzekł z cicha, i tyle było prawdy. No! nie podchwytuj mię Marynko; nie mówię o objektywnéj, lecz subiektywnéj prawdzie, tyle jéj było w tych kilku słowach, że musiałam zbyć je żartem, bo przecież między kontredansem a mazurkiem niepodobna się rozrzewniać.

— Jednak dobrą? rozumiem, dobrą z przeszkodami, rzekłam.

— Tak jest dobrą, chociaż się śmiejesz.

— Dziwna rzecz! a pan chociaż się śmiejesz i częściéj i szczerzéj odemnie, to wcale nie jesteś... zły, i uciekłam w drugi koniec salonu.

Nie robię jak widzisz żadnych z tobą ceremonij Marynko moja kochana, w liście do ciebie pisanym sama do siebie piszę raz po raz. Ani wiesz, zkąd się to wzięło? ani możesz odgadnąć co to cię ma ob-

chodzić, lecz mniejsza o to, nawet nie przeproszę. Wracając z owego balu, powtórzyłam Maryni wszystkie pochwały, które mi na rachunek jéj koralowéj girlandki do ucha złożono, wspomiałam i o morskich aniołach bez ubocznych dodatków, jak się łatwo domyśléć możesz. Groch na ścianę moja droga zaraz nazajutrz błękitne przepaski i lazurowe muślinki wróciły. Ten szczegół to ci dla tego przytaczam, żebyś lepiéj zrozumiała jakie wrażenie i czemu wrażenie zrobiły na mnie szkarłatne kokardy na głowie córki blondyny. Druga siostra obok niéj stojąca, jakkolwiek trochę ciemniejszéj kompleksyi, przez posłuszeństwo czy przez obojętność może nosiła wierne zasadom matki przybranie, wśród bardzo kędzierzawych ciemno bursztynowych włosów z błękitnego aksamitu plecionkę. Napomknęłam ci lekką wątpliwość co do posłuszeństwa błękitnéj plecionki, bo téż trzeba przyznać, że się wcale z ideą posłuszeństwa nie godziły uwieńczone nią rysy. Znasz różne portrety królowéj Wiktoryi. Wszak prawda, że nie bardzo piękna? Niska jakby nie na królowę a przecież ci, którzy ją w piérwszym roku jéj wstąpienia na tron widzieli, utrzymują, że im się bardzo wysoko i olśniewająco urocza wydała. Przenieś taką królowę Wiktoryą do bawialnego państwa Marcinów pokoju, daj jéj rzeczywiście wzrost wysmukły i twarz trochę pociąglejszą, ale zachowaj tę samę pewność.

. . . .

VI.

Kiedy los znacznie kogo prześladować, to już mu wszystko aż do najprostszéj przynależności odbierze, lecz téż kiedy komu sprzyjać raczy, to datków i naddatków nie szczędzi. Marynka dobra, zdolna i piękna była jeszcze i majętną. Ojciec jéj sławny niegdyś z urody i zbytków, bałamut warszawski stracił wprawdzie większą połowę odziedziczonego po przodkach majątku, szczęśliwie jednak dość wcześnie się ożenił, by posagiem żony resztę uratować i podnieść, a żonę wziął dość powabną, dość rozsądną, dość kobieco taktowną czy przybiegłą (nie mogę sobie na żaden sposób okazałéj pani Zenobii XXX w jednym gramatykalnym okrésie z przebiegłością zestawionéj wyobrazić, tak i to była przebiegłość wszelako, przebiegłość poważna, nieruchliwa lecz zawsze celu dobiegająca), wziął tędy żonę dość kochaną, dajmy na to, by go trochę zawojowała, co poszła na wybawienie dóbr jego doczesnych, a trzeba mieć nadzieję, że i wiekuistych także, bo nawrócony przykładnym małżonkiem w kilka lat po ślubie umarł.

Marynka czwarty rok dopiéro zaczynała wówczas. Innym dzieciom ta wstępna część życia ginie zupełnie, Marynce nie zginęła, bo to było już wtedy rozbudzone, pojętne, wrażliwe dziewczątko. Zachowała też o swoim ojcu kilka mętnych przypomnień. Dwie chwile szczególniéj dobitnie się odrysowały w jéj wyobraźni. Raz było bardzo, bardzo jasno, tak jasno, że kiedy chciała w górę patrzéć, to aż oczy jéj się mrużyły. Zapewne musiał to być jakiś dzień pogodny, piérwszy dzień światły, który spostrzegła i poczuła. Ojciec leżał na kwiatach; domyśla się, że po prostu leżał na trawie w ogrodzie, a może między trawą kilka polnych kwiateczków wystrzeliło. Marynka jednak widziała wtedy kwiaty, niewidziane już potém nigdy, różowe i żółte, a ojciec był czarno ubrany, miał twarz bardzo białą, włosy w tył odrzucone i nadzwyczajnie jéj się podobał. Kiedy stała przy nim zapatrzona uśmiechnął się i kazał jéj, żeby go w czoło pocałowała.

Niezadługo potém znów wśród światła, ale innego światła, wśród świéc setkami gorejących, wśród lasów dużych krzewów, samych zielonych krzewów, nie na trawie, nie w ogrodzie, lecz w największym salonie, po którym bardzo często ojciec ją gonił wesoło, leżał on znowu i znowu tak samo czarno ubrany i z taką samą białą twarzą i ktoś podniósł ją wtedy ku niemu i powiedział: Niech Marynka tatę w rączkę pocałuje, bo tata daleko, daleko odjeżdża.

Lecz Marynka nie chciała w rączkę pocałować, tylko w czoło pocałowała, bo pamiętała, że tata kazał jéj się w czoło całować. Zdaje się, iż to pożegnanie niańce swojéj zawdzięcza. Ani matka, ani wujaszek nie chcieli dziecka rozrzewniać na większe dla samych siebie zmartwienie; wymiarkować nawet nie mogę, kiedy się to stało, gdyż wszyscy właśnie nad tém czuwali, by zapłakana od żalu raz po raz mdlejąca matka ciągle swoję pociechę jedyną, swoję córkę przed oczyma miała. Marynka jednak utrzymuje, że taką chwilę pamięta, a szczególniéj przeciągły, rzewny akcent mówiącéj osoby i powtórzenie tego słowa „daleko, daleko.“ Dziś jeszcze dla niéj „daleko, daleko,“ gdy je usłyszy, przeczyta lub sama wymówi, to zawsze pada na nią wrażenie świéc jarzących, ciemnéj jakiéjś zieloności, bladéj twarzy bez uśmiechu i wiecznego rozstania.

Matka Marynki chociaż młodą i bogatą wdową została, nie poszła drugi raz za mąż. Jedni mówili, że z miłości dla nieboszczyka; drudzy, że z miłości dla córki; ona sama, chociaż wiele czułych lub spartańskich maksym dałoby się z tego założenia wysnuć, nigdy się nie tłómaczyła, dla czego tak postępuje. Prawdopodobnie i nie rozstrzygnęła nigdy téj kwestyi we własném sumieniu. Drugi raz za mąż nie poszła, bo jéj było dobrze tak, jak było. Rządziła nie odpo-

wiedzialnie życiem swojém i majątkiem, a rządy wcale dla niéj wstrętnemi nie były. Och! bardzo lubiła rządzić! Po cichu, spokojnie, bez wystąpień oratorskich, monarchiczną władzę ogarnęła nie tylko we własnym domu, ale i w rodzinie całéj.

Ba! nie tylko w rodzinie całéj; wiém ja coś o tém, znam wielu jéj znajomych, którzy się raz po raz oglądali na panią Zenobią, czy na nich patrzy, a szli tam, gdzie ich zaprowadzić chciała. Trzeba przyznać, że to z prawdziwym talentem czyniła; miała nadewszystko dwie nader ważne dla rządczyń zalety: nie mięszała się do spraw, które jéj nie obchodziły, i łatwo ustępowała w drobiazgach. Każdy mógł przy niéj najswobodniejszym się mniemać, każdy swoje zdanie utrzymać, tylko nie każdy na swojém postawić.

Nie znałam kobiéty, któraby przyjemniéj potrafiła słuchać i chwalebniéj dla mówiącego przekonywać się dawała, ale też nie znam takiéj, coby równie wytrwałą była w przeprowadzeniu zamiarów swoich, coby tak jak ona umiała przedsięwziąć i wykonać. Jak blisko ta umiejętność z intrygą graniczyła, prócz saméjże pani Zenobii nikt o tém wiedzieć nie może i ja nie wiém. Uroczyście nawet zaświadczam, że nigdy śladu żadnéj intrygi w jéj działaniu nie dopatrzyłam; wnioskuję więc, że najwyższą jéj zręcznością było przeczekanie oporu, a najskuteczniejszą intrygą upór. Marynka po części domyślała się téj taktyki. Raz kiedy szło o jakiś wieczorek, na którym Marynka wielką być miała ochotę a pani Zenobija nie wielką podobno.

Strach na mnie,—żartem niby zwierzyła mi się dziewczyna, pewnie mój wieczorek przepadnie, bo mama nie odmawia, tylko czekać zaczyna.

Istotnie wieczorek przepadł. Było podobno w tym domu rodzeństwo trochę niebezpieczne. Siostrę Marynka nadzwyczaj polubiła, brata zaś pani Zenobia polubić nie mogła. Tak długo, tak długo wybierała się z wizytą, że się aż sprzykrzyło Marynce i zapomniała. W gruncie serca jednak nie trwożyła się Marynka tego cierpliwego despotyzmu. Czegóż tedy się lękać? Alboż matka szczęścia swojego dziecka nie pragnie najgoręciéj? A instynkt macierzyński..... Prędzéj Marynka omylić się może, Marynkę młodość uniesie, wyobraźnia oszuka, ale matka?... serce matki przewidzi i odgadnie. Serce matki świątynią delficką natchnienia...... To téż z prawdziwém natchnieniem prowadziła spadłe na nią po śmierci męża interesa...

Pan Klemens, brat dobry i przywiązany, w wielu sprawach jéj pomagał, lecz główny kierunek, wszelką inicyatywę pani Zenobija przy sobie zatrzymała. Wiadomą nawet było rzeczą, że podniesie-

nie gospodarstwa w Hrubieszowskich dobrach pana Klemensa przeważnie się z planów siostry jego rozwijało. Nic dziwnego, te dobra według najprawdopodobniejszych przypuszczeń kiedyś na własność Marynki przejść miały. Marynka tedy była co się zowie „świetną partyą.“ Mogło jéj to zaszkodzić, bo mogło ją otoczyć całym rojem zwykłych posagowych zalotników, mogło wystawić na kłamliwe nadskakiwania jednych, a tém samém wzbudzić nieufność do wszystkich, mogło wreszcie uśpić nudami. Ale mogło i pomódz, bo jeśli zdrowe skłonności jéj serca zapotrzebują prawdy, jeśli dowcip „rozbujałe flukta“ światowych piasków przenurtuje i nikczemnostki rozpozna, a złudzenia w najpiękniejszych kamizelkach właściwemi etykietami podpisze: to ma niezależność ubezpieczoną, zdolność wyboru zupełną, przyszłość ze szczęściem czy bez szczęścia... spokojną. Nie bez tego też, bym i na pewne do sprzeczności ciągnące usposobienie ludzkie nie rachowała. Ci, którzy mają wystarczający zapas idealnych dóbr i własności tylko, proszę uważać, wyraźnie powiadam idealnych nie ideałów, biorę w tém znaczeniu poczciwość, naukę, talenta różne i zacności różne, lecz nieoprawne jeszcze w ideał, to jest „w dążność ku najlepszości“ z religii, czyli z ukochania wrodzonego najlepszości, jako z punktu wyjścia swojego przez całe życie przesnutą. Ci tedy idealni bez ideału najniewinniéj częstokroć dają się olśnić ponętom zbytku i bogactwa. Jako rzeczy od dzieciństwa nieznane, lub bardzo niedokładnie znane, nęcą one ich nerwy urokiem sztuki, zwodzą sumienie dwuznacznikiem artyzmu, odurzają głowę wyziewem swoim, wonno lubo fantastycznie trującym. Ci zaś, którzy do owéj *cannabis indica* przywykli, którzy zbytek i bogactwo tak przyswoili sobie, że aż wiedzą, czém one są w istocie, częściéj znów tęsknią do rzeczy, których ani kupić, ani na ścianie zawiesić, ani w najsławniejszéj operze usłyszéć, ani w najdalszéj podróży zobaczyć nie można: tęsknią do uczucia w sobie. Przecież i Tyberyusz na Kaprei tęsknił, szukał we krwi i rozpuście. Czemuż ta moja tkliwa, serdeczna Marynka tęsknić nie miała i znaléść nie miała w miłości.

(Dok. nast.)

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Logika Alexandra Baina. Tłómaczenie z angielskiego 2 tomy. Warszawa, r. 1878.

Rozczytując się pilnie w utworach naszego piśmiennictwa w bieżącym okresie, niepodobna nie dostrzedz, że przeważa w nich piérwiastek uczuciowy, że czynnik rozumowy, zepchnięty na drugi plan, odgrywa w nich podrzędną, a często nawet bardzo nieszczęśliwą rolę. Uwaga ta stosuje się nie tylko do dzieł sztuki, do poezyi, powieści, w których idzie przedewszystkiém o odwzorowanie życia ludzkiego, o działanie na uczuciową stronę człowieka za pomocą obrazów, przemawiających do wyobraźni. To samo dostrzegamy i w dziełach treści poważnéj, takich, jak dzieła historyczne i filozoficzne. Jak tam, tak i tu, punktem wyjścia dla autorów w ocenianiu faktów życia społecznego i dziejowego, w wyrokowaniu o prawdach filozoficznych, bywa zwykle nie zasada, na rozumowych podstawach oparta, ale jakaś maksyma praktyczna, jakiś dogmat tradycyjny, jakieś twierdzenie, całą żywotność swą zawdzięczające uczuciu, z którém się silnie skojarzyło. Maksyma ta, ów dogmat i twierdzenie, będąc główną sprężyną, wprawiającą w ruch cały mechanizm dzieła, musi z konieczności wpływać tak na ugrupowanie się obrazów i zabarwienie ich pewną tendencyjnością w poezyi i w powieściach, jak i na rozwijanie się pasma rozumowań i wywodów w traktatach historycznych i filozoficznych. Biorąc na teraz pod uwagę te ostatnie tylko, przekonywamy się, że nie idzie im o wykrycie jakiéjś nowéj prawdy, ale tylko o pogodzenie prawd starych z nowym stanem rzeczy, z nowym postępem nauk, o obronę tych prawd od zarzutów, jakieby im można było zrobić, albo się robi ze stanowiska nowych odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych. Ta czysto praktyczna, zachowawcza dążność wszystkich naszych pism filozoficznych z okresu mię-

dzy pięćdziesiątym, a siedmdziesiątym rokiem, nie mogła przyczynić się do spotęgowania tak w literaturze, jak i w społeczeństwie rozumowego piérwiastku, do nadania większéj ścisłości myśleniu, większéj swobody i niezależności naukowym badaniom.

Uważając prawdę za coś nie z tego świata, za jakiś byt metafizyczny, unoszący się po nad rzeczywistością i dostępny tylko natchnieniu, filozoficznéj intuicyi, ścisłość myślenia poczytywaliśmy za pedantyczną oschłość, długie a ostrożne doświadczenia za flegmatyczną drobiazgowość. Ufając tylko w uczuciowe porywy, szukaliśmy prawdy jeżeli nie w tradycyi, któréj nieczytelne wyrazy każdy tłómaczył, jak mu jego temperament nakazywał, to w przewidzeniach bujnéj fantazyi, która, kojarząc pojęcia na zasadzie cech przypadkowych, doprowadzała do wniosków nie raz najcudaczniejszych. Że pod wpływem takiego usposobienia, czysto uczuciowego, takiego zapatrywania się na rzeczy, czysto fantastycznego, nie mogło się wyrobić w naszém społeczeństwie nie tylko zamiłowanie, ale nawet właściwe pojmowanie logiki i jéj znaczenia, każdy łatwo to pojmie. To téż na zapytanie: na co logika zda się? Odpowiadano zwykle krótko i węzłowato: na nic. Dowodzono zaś swéj lakonicznéj odpowiedzi w ten sposób: kto z natury nie ma daru zdrowego myślenia, tego logika myśléć nie nauczy: kto zaś myśléć umié, ten obejść się łatwo może bez logiki. Rozumowanie to, mające na pozór tyle słuszności, po bliższém mu przypatrzeniu się, po ściślejszém rozważeniu go, okazuje się płytkiém, zdradza grubą nieznajomość tego, czém się logika zajmuje i do czego dąży. Niezawodnie, że logika nie nauczy myśléć tego, kto dla wadliwéj organizacyi mózgu myśléć nie umié. Ztąd atoli nie można jeszcze wnosić, by logika zgoła na nic się przydać nie mogła. Pamiętajmy bowiem, że zadaniem logiki nie jest nauczyć myśléć w ogóle, ale nauczyć myśléć prawidłowo. Między myśleniem w ogóle, jako zdolnością wrodzoną, a myśleniem prawidłowém, metodycznem, wielka zachodzi różnica, nie mniejsza, jak między siłą mięśniową naturalną, a siłą wyrobioną przez gimnastykę, która jéj nadaje zręczność, świadomość wszelkich sposobów, zapewniających jéj przewagę. Różnicę tę łatwo pojmiemy, gdy się zastanowimy, że myślenie nie jest czém innem, jak czynnością naszego umysłu, skierowaną ku temu, ażeby wykrywszy istotny porządek rzeczy, jak się on nam przedstawia za pośrednictwem naszych zmysłów, ten sam porządek mogła odtworzyć umysłowo, łącząc wrażenia w odpowiednie grupy, kojarząc pojęcia we właściwe, wzajemną zależnością związane szeregi. Otóż, ażeby dzieło tego odtwarzania było dokładne, ażeby odtworzony umysłowo porządek rzeczy zgadzał się ściśle z porządkiem, w rzeczywistości panującym, potrzeba wiedzieć, w ja-

ki sposób, wreszcie według jakiego prawa pojedyńcze wrażenia łączą się w oddzielne grupy, pojęciami zwane? na jakiéj zasadzie pojęcia kojarzą się w szeregi rozumowań i dowodzeń? Jakkolwiek bowiem to łączenie się, kojarzenie się wrażeń i pojęć dokonywa się w znacznéj części wprost mechanicznie, bez udziału naszéj woli, a często nawet i świadomości, z tém wszystkiém doskonałém, ściśle odpowiadającém porządkowi rzeczy w świecie zewnętrznym stanie się ono wtedy tylko, gdy przejdzie pod kierunek świadoméj celu i wiodących doń środków woli.

Myślenie prawidłowe, metodyczne, którego reguły podaje Logika, nie jest czém innėm w swéj istocie, jak témże samém myśleniem, jakiém posługuje się każdy prostaczek. Cała różnica między niemi polega na tém, że gdy myślenie prostaczka, obracając się w ciasném kole codziennych spraw i stosunków towarzyskiego życia, zdolne jest odtworzyć wiernie i dokładnie nieznaczny tylko obszar porządku zewnętrznego świata i, przeniesione do innéj sfery zjawisk i stosunków, poczuje się niezaradném i nie będzie mogło zdać sobie sprawy z tego, co doświadczy; to myślenie metodyczne, wyćwiczone przez wprawę do ujmowania wszelkich stosunków, nawykłe do działania w sferach, najbardziéj różniących się od siebie, wzbogacone logicznemi regułami, streszczającemi doświadczenia wieków, potrafi sobie poradzić w największych trudnościach, nie cofnie się przed najzawilszemi zagadnieniami, nie ustraszy się najmniéj spodziewanych zarzutów i w jakimkolwiek zakresie wiedzy wypadnie mu działać, będzie wiedziéć, jak się ma zabrać do rzeczy, by zadość uczynić swemu powołaniu.

Myślenie prostaczka bynajmniéj nie jest tak naturalném, samorzutném w swém działaniu, jak to wielom się zdawać może. Nie wszystko, czém jest i co posiada, zawdzięcza ono samemu sobie, przyrodzonéj swéj sile, własnemu doświadczeniu. Przeciwnie, większa część posiadanych skarbów, objawianéj dzielności i wprawy musi być zaliczona na rachunek pomocy, jaką ów prostaczek odebrał od swego otoczenia, które mu gotowych udzieliło pojęć, które go nauczyło wydawać sądy o wszystkiém, czego doświadczał, które go nauczyło myśléć prawidłowo w zakresie stosunków, wśród których całe jego życie ma upłynąć. Myślenie więc prostaczka ma tak samo właściwą sobie logikę, jak myślenie filozofa, różni się zaś jego logika, od logiki książkowéj tém tylko, że się opiéra na daleko szczuplejszym zakresie doświadczenia, że jéj reguły są prostsze i mniéj liczne, że jéj zastosowanie w ciaśniejszym zamyka się obrębie. Nie zapominajmy bowiem, że owa logika, zapełniona suchemi formułkami, pedanckiemi na pozór przepisami, nie jest wymysłem pojedyńczego

człowieka, nie jest utworem czystego myślenia, wysnuwającego z siebie pasmo rozmaitych kombinacyj myśli, jak pająk swą siatkę misterną. Jest ona zbiorem reguł, wyciągnionych z doświadczenia, przepisów, streszczających usiłowania mnogich wieków i licznych mężów nauki. Zanim ludzkość doszła do ułożenia tych reguł, do usystematyzowania ich w jednę całość, jaką jest logika, wiele popełnić musiała błędów, pomyłek, długo kroczyć na oślep, po omacku, i odkrycie właściwéj drogi, odpowiedniego sposobu postępowania w danym przypadku zmuszona była opłacać ciężkiemi zawodami i uciążliwém doświadczeniem.

Uprzedzenia do logiki, odmawiające jéj wszelkiéj wartości pod względem praktycznym, dałyby się jeszcze usprawiedliwić wtedy, kiedy logikę pojmowano, jako filozofią czystego myślenia, jako historyą dyalektycznego jéj rozwoju. W tém bowiem znaczeniu, jakie jéj nadał był Hegel, nie była ona niczém więcéj, tylko wymysłem pojedyńczego człowieka, wymysłem, który w zasadzie będąc fałszywym na nic się nie mógł przydać nikomu. Zrozumiałym byłby także wstręt i uprzedzenie do logiki takiéj, jak ją pojmują zwolennicy Arystotelesa, do logiki scholastycznéj, zapełnionéj drobiazgowemi badaniami nad subtelnościami, które nie na wiele się zdadzą, których trudno zapamiętać, a bardzo łatwo zapomniéć. Niech bowiem co chcą mówią zwolennicy téj logiki, niech dowodzą najzręczniejszemi argumentami użyteczności jéj, nie potrafią przecież przekonać, że pożytek, jaki da się wyciągnąć ze żmudnych ślęczeń nad sylogistycznemi subtelnościami, potrafi jeżeli nie wynagrodzić, to przynajmniéj zrównoważyć stratę czasu i sił umysłowych, wyłożonych na jego nabycie.

Obecnie wszakże, kiedy logika przestała być metafizyką, kiedy z nauki o bezwzględnych prawach myślenia stała się nauką o sposobach dochodzenia prawdy i jéj dowodzenia, uprzedzenie, niechęć do niéj i niedowierzanie nie dadzą się w żaden sposób usprawiedliwić. Prawda, że o téj zmianie w zapatrywaniu się na znaczenie i zadanie logiki nie mieliśmy skąd się dowiedziéć. Chociaż bowiem nasze filozoficzne piśmiennictwo najobficiéj jest zaopatrzone w logiki różnego rodzaju, tak oryginalne jak i tłómaczone, wszystkie one przecież należą do dawnego kierunku, który dziś nie odpowiada już wymaganiom nauki. Pomijając inne, nie mające żadnego znaczenia, dość tu wspomniéć o logice Trentowskiego i Kremera. Ta ostatnia, napisana w duchu czysto Heglowskim z pewnemi modyfikacyami, jakie podyktowały autorowi zasady chrystyanizmu, téjże saméj jest wartości, co i oryginał, podług którego została ułożona. Jest to metafizyka, jakby na to stworzona, ażeby uniemożliwić wszelkie pozna-

nie rzeczywistości; jest to logika, będąca pogwałceniem wszelkiéj logiki, jeżeli przez logikę będziemy rozumiéć zgodność myślenia z porządkiém rzeczy istniejącego świata. Nie o wiele lepszą jest Myślini Trentowskiego, który chcąc pogodzić pojmowanie logiki Heglowskie z zapatrywaniem się na nią Arystotelesa, napisał dzieło, będące czémś na podobieństwo sfinksa egipskiego, na wpół człowieka, na wpół zwierzęcia, przemawiającego zagadkami w niezrozumiałym języku. Niezawodnie, że porównywając spekulacyjną logikę Kremera z Myślini Trentowskiego, téj ostatniéj musimy przyznać wyższość pod każdym w ogóle względem, a to nie tylko dla pewnéj oryginalności w pomyśle i szczegółach, dla talentu w opracowaniu, ale i dla użytku, jaki z niéj do pewnego stopnia mógł być wyciągnionym. Mówimy tu o części logiki drugiéj, o nauce, o pojęciach, sądach i wnioskach, w któréj pomimo nużącego uwagę szematyzowania, wiele znajduje się trafnych uwag i spostrzeżeń, wypowiedzianych żywo, z ogniem i z poetyczną werwą, stosuje się to szczególniéj do rozdziału, traktującego o sofizmatach, rozdziału oryginalnego, który nigdy nie straci swéj wartości, a dla nas tém większe ma znaczenie, że przykłady w nim czerpane są z owoczesnéj literatury, tak politycznéj, jak umiejętnéj i nadobnéj.

Że obie te logiki nie zdolne były rozproszyć panującego o niéj uprzedzenia i zachęcić do gorliwych nad nią studyów, każdy to łatwo pojmie. Nie wiele także przyczyniła się do podniesienia logiki w opinii ogółu historya logiki profesora Struvego, jakkolwiek dziełko to, opracowane starannie, niezbędném jest dla każdego, kto się zajmuje poważniejszemi studyami. Nie przyczyniła się zaś dla tego, że będąc tylko wstępem do logiki, na samę logikę, systematycznie opracowaną, każe ona dotychczas czekać, bez nadziei oglądania jéj kiedykolwiek.

W ten sposób ogół wykształconéj publiczności mając przed sobą tylko logiki, odstręczające od siebie tak formą jak treścią, nie mógł nabrać dobrego przekonania o saméj nauce logiki i, ufając tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi, mało się troszczył o to, że gdzieindziéj oddawna już przekonano się, że ów zdrowy rozsądek, wystarczający w praktyce życia, gdy idzie o poważne badania, o dochodzenie prawdy, okazuje się niedołężnym i utyka na każdym kroku. Nastąpiła wreszcie i u nas pewna zmiana. Tak zwany pozytywny kierunek, poparty w swych dążnościach całą siłą postępu nauk przyrodniczych, przeniknął i do nas, acz słabym dopiéro strumykiem. Pod jego wpływem zmieniać się zaczęły powoli zapatrywania się na mnogie kwestye, o których dotąd wygłaszaliśmy opinie, jakie nam się dostały po ojcach naszych, jak dzieci paciérz za panią matką.

Przyszliśmy najprzód do przekonania, że prawda, pojmowana po ludzku, nie jest żadnym absolutem, niezmiennym w ciągu wieków i dla wszystkich narodów, absolutem, stojącym po nad światem, niby duchowe słońce, rozpraszające swym blaskiem umysłowe ciemności. Prawdą tą przynajmniéj jaka jest dostępna człowiekowi, jest porządek świata rzeczywistego, pojęty i zrozumiany przez człowieka, jest ona zgodnością myślenia ludzkiego z porządkiem rzeczywistości. Naturalnym wypadkiem takiego przekonania jest wniosek, że kto pragnie dojść prawdy, ten nie potrzebuje spinać się do empirejskich wyżyn spekulacyjnego absolutu, ani gonić skrzydłem natchnienia unoszących się w powietrzu widziadeł, ale zostawszy na ziemi, wolnym po niéj stąpać krokiem, rozglądając się pilnie, na wszystko zwracając uwagę i nie pomijając najmniejszego szczegółu bez zbadania i należytego rozpoznania. Ta prozaiczna, daleka od wszelkich poetycznych wybryków ekskursya za prawdą, to żmudne, drobiazgowe poszukiwanie jéj w rzeczach tak poziomych, jak są materyalne zjawiska tego świata, zwyczajne wydarzenia życia ludzkiego, nie może się obejść bez dokładnego przewodnika, w którymby się znalazły przestrogi i uwagi, jak w danym razie należy się kierować wśród nieprzewidzianych okoliczności, by z nich wyprowadzić myśl zdrową, niezwichniętą, jak należy postępować, by się zabezpieczyć od zabłądzenia, by uniknąć zboczeń i zawad i natrafić na najkrótszą drogę do prawdy. To téż wkrótce, w miarę, jak coraz bardziéj zaczął ugruntowywać się i rozpowszechniać u nas pozytywny kierunek myślenia, coraz silniéj zaczęła się uczuwać potrzeba dzieła, któraby traktowała o logice z nowego stanowiska, podług zasad, powszechnie dziś w nauce przyjętych. Nie można było spodziewać się, ażeby ktoś obdarzył nas podobném dziełem, oryginalnie napisaném. Oglądano się więc i czekano, ażali kto nie zajmie się przetłómaczeniem jakiéj logiki, mającéj za granicą powszechne uznanie. Oczekiwania te nie zawiodły. Mamy oto przed sobą dwa spore tomy logiki Baina, przetłómaczonéj z angielskiego i wydanéj w roku przeszłym w Warszawie. Tłómacz nie wymienił swego nazwiska, łatwo je przecież odgadnąć, zważywszy, że tak tłómaczyć może tylko pisarz wytrawny, gruntownie obeznany z przedmiotem i w nim zamiłowany. Literatura nasza wzbogacona została dziełem, które nie jest wprawdzie oryginalném, ale które najlepszym oryginałom dorównywa pod względem czystości języka, co się zaś tyczy treści, to więcéj ono jest warte, jak wszystkie razem wzięte logiki w naszéj literaturze, nie wyjmując nawet ostatniéj Kremera, jaką znajdujemy w pośmiertném wydaniu jego dzieł.

Pisać o znaczeniu Baina w filozoficznéj literaturze uważam za zbyteczne. Kto pragnie o nim dowiedzieć się czegoś, ten znajdzie pożądaną wiadomość we wstępie do logiki, napisanym przez tłómacza, a daleko obszerniéj w dziele Bibota o psychologii angielskiéj, w polskiém tłómaczeniu. W niniejszym artykule zajmuję się wyłącznie jego logiką.

Bain w układaniu swéj logiki poszedł za J. St. Millem, który słusznie uważa się za twórcę indukcyjnéj logiki. Mimo to wszakże nie podobna naszego autora uważać za prostego tylko przepisywacza, skracającego to, co Mill w sposób obszerny obrobił, za zwyczajnego popularyzatora, czyniącego przystępnemi zasady, które Mill rozwijał umiejętnie, mając na uwadze ludzi fachowych. Nie potrzebował on starać się o oryginalność tam, gdzie idzie przedewszystkiém o gruntowność, popisywać się nowostkami w rzeczach, które są już ugruntowane i powszechnie przyjęte. Z tém wszystkiém nikt nie może zarzucić logice Baina, żeby w niéj nic nowego nie było, żeby była tylko powtórzeniem logiki Milla bez żadnéj cechy oryginalności i samodzielnego pojedyńczych części opracowania. Przeciwnie, nie tylko w pojedyńczych częściach, będących samodzielnym pomysłem autora, ale we wszystkich szczegółach, w tych nawet, które powtarza za Millem, dostrzega się pewną, mniéj lub więcéj wydatną oryginalnalność, jeżeli nie pod względem pomysłu, to przynajmniéj pod względem ich rozwiązania. Nie wyliczam tu właściwych autorowi pomysłów. Każdy o tém dowiedzieć się może z przedwstępnych słów samego autora, który wskazuje, co wziął z Milla, a co swego wprowadził. Dodam tu tylko, że z zaletą samodzielnego opracowania logiki, przystosowania jéj zasad do obecnego stanowiska nauki i oparcia ich na takich teoryach, jak jedność i stateczność siły, która jest dziś podstawą całéj wiedzy naszéj, łączą się jeszcze inne, czysto pedagogiczne. Do nich należą popularność wykładu, czyniąca najtrudniejsze kwestye przystępnemi dla każdego, kto ma tylko elementarne wykształcenie i ściśle naukowa metodyczność, stopniowo i powoli wprowadzająca czytelnika we wszystkie tajniki nauki, nie nużąc go niepotrzebnemi subtelnościami, ale jednocześnie nie poświęcając się z gruntowności dla uprzyjemnienia lektury.

Wypowiedziane dotąd zalety wskazują, jakie zajmuje logika Baina stanowisko w obec logiki Milla i w ogóle w szeregu dzieł naukowych; ale nie mówią jeszcze nic o tém, co ona przynosi nam nowego w porównaniu do logik dawniejszych, tak w duchu Arystotelesowym, jak i w duchu Heglowskim ułożonych. A jest to właśnie wzgląd dla nas tym razem najważniéjszym. Wiemy już wprawdzie,

że logika Baina należy do szeregu dzieł, które przedstawiają nowy, nie zupełnie słusznie pozytywnym nazywany kierunek filozoficzny; ale jak dotąd, ani wiemy dokładnie, jakie są istotne cechy tego kierunku w ogóle, ani możemy się domyśléć, jak dalece ów kierunek różni się pod względem logicznym od kierunków, które dotąd powszechnie panowały tak w filozofii, jak i w logice. Musimy więc zastanowić się nad tém.

Pomijając łatwe do wykrycia różnice między logiką, jak ją pojmował Arystoteles i Scholastycy, a logiką, jak ją rozumieli Kant i Hegel, były one do siebie podobne w tém, że w mniejszym lub większym stopniu uznawały, że jedyną prawdą niezmienną i konieczną, będącą wzorem wszystkiego, co się znajduje w rzeczywistości i w niéj dokonywa, są prawdy, które człowiek w głębiach własnego ducha znajduje. Świat rzeczywisty, którego cząstkę my stanowimy, z całą mnogością swych zjawisk, z całą rozmaitością stosunków, jest tylko słabém, ułomném i cząstkowém odbiciem tych prawd, jest ich pozorem, który sam przez się żadnego nie ma znaczenia, a nabiéra go wtedy tylko, gdy zostanie odniesionym do jakiéjś prawdy koniecznéj, gdy zostanie postawionym chociażby w pośredniém stosunku z prawdą, w duchu ludzkim złożoną. Chociaż więc świat rzeczywisty nie jest marą i złudzeniem, ale bytem rzeczywistym, poznanie wszakże jego nie może opiérać się na empiryi, dającéj nam poznać to tylko, co jest, ale nie mogącéj nam odpowiedziéć, dla czego jest i jaka jego istota. Pragnąć poznać świat rzeczywisty w jego całości i w szczegółach, musimy go badać w świetle prawd koniecznych, wartość wszystkich jego szczegółów oceniać podług tego, o ile każdy z nich i w jakiéj mierze da się podciągnąć pod pewne prawdy czysto rozumowe, pod pewne logiczne kategorye. Stąd wynika, że zasadniczą czynnością naszego myślenia, stosującego prawdy konieczne do szczególnych faktów rzeczywistego świata, jest wnioskowanie z prawd ogólnych o szczególnych, czyli innemi słowy dedukcyjne rozumowanie, jak je przedstawia nauka o sylogizmach. Dla tego też wszystkie dotychczasowe logiki niczém innem nie były, jak nauką o sylogizmie, wychodząc z tego założenia, że ponieważ sylogizm jest zasadniczą formą myślenia, więc myślenie i rezultaty, do jakich się przezeń dochodzi, będą tém doskonalsze, tém prawdziwsze, im dokładniéj i ściśléj stosować się będą do sylogistycznych formuł, które z istoty swéj nie są czém innem, jak koniecznemi następstwami zasadniczych praw myślenia. W związku z tém zapatrywaniem się na znaczenia sylogizmu zostaje także pojmowanie sprawdzianu prawdy, jako zgodności myślenia z sobą.

Na wręcz przeciwnych zasadach opiéra się pozytywny kierunek, dla tego téż i logika, w duchu tego kierunku napisana musi się różnić od logiki dawniejszéj tak w zasadach, na których się opiéra, jak téż i w regułach, które podaje.

Punktem wyjścia tego kierunku jest zasada, że prawda nie jest ani czémś czysto podmiotowém, ani czémś istniejącém po za światem rzeczywistym, dostępnym naszym zmysłom, że dla jéj osiągnięcia nie potrzeba się wcale zagłębiać w mistycznych ciemnościach ducha na podobieństwo nurka szukającego pereł na dnie morza, ani téż spinać się po drabinie spekulacyjnéj dyalektyki, lub wzlatać balonem intuicyi filozoficznéj do nadobłocznych krain, w sferę fantastycznych widziadeł i urojeń; że prawda o ile może być dostępną naszemu poznaniu leży przed nami, przed naszemi zmysłami, w obrębie naszéj świadomości. Są nią zjawiska zewnętrznego świata i jego stosunki, o ile o nich dają nam wiedziéć nasze zmysły, oraz zjawiska i stosunki świata wewnętrznego, czyli psychiczne, o ile o nich wiemy drogą wewnętrznéj obserwacyi. Innéj dla naszego poznania prawdy nie masz, powiadam dla naszego poznania, gdyż oprócz téj, o któréj my wiedziéć możemy, znajduje się być może inna, o któréj nic wiedziéć nie możemy dla braku odpowiednich organów. Z téj zasady płyną następujące wnioski, czysto logicznéj natury. Ponieważ prawda jest rzeczą istniejącą w świecie rzeczywistym, więc dla jéj wykrycia potrzeba do tegoż rzeczywistego świata zwrócić się. Otóż dwie są tylko i oprócz tych dwóch nie masz więcéj żadnéj drogi, któraby nas wiodła do poznania rzeczywistego świata; to są z jednéj strony zmysły, z drugiéj psychologiczna samowiedza, innemi słowy: obserwacya zewnętrzna i wewnętrzna. Obserwacya tak ta jak i tamta dają nam poznać tylko pojedyńcze fakta i dopiéro w dalszym przebiegu umysłowéj pracy dochodzimy do pojęć ogólnych, obejmujących całe grupy faktów. Pierwotną więc, zasadniczą formą ludzkiego myślenia nie jest wnioskowanie z prawd ogólnych o szczególnych, ale wnioskowanie z jednego szczegółu o drugim, mniéj lub więcéj do tamtego podobnym. W miarę powiększającego się zasobu doświadczenia, myśl nabiéra szerszego polotu i w swych wnioskach nie ogranicza się już na szczegółach, ale sięga do ogółu i z jednego przypadku wyciąga zasadę stosującą się do wszystkich, mających z tamtym pewną analogią. W ten sposób ogólne twierdzenia, powszechne prawdy nie są czém innem, jak formułą, symbolicznym znakiem, streszczającym w sobie cały szereg doświadczeń. To nam dowodzi, że naturalną metodą, przyrodzonym umysłowi ludzkiemu sposobem badania i dochodzenia prawdy nie jest dedukcya, jak to utrzymuje dawniejsza logika, ale indukcya, że

dedukcya występuje dopiéro na ostatku, kiedy umysł przyszedł do pewnéj, znacznéj sumy pojęć ogólnych, za pomocą których, oryentując się w świecie rzeczywistym, może o rzeczach nieznanych, niedoświadczonych sądzić podług tego, co już poznał i doświadczył. W tym dopiero przypadku może umysł ludzki uciec się do wnioskowania o szczególe nieznanym z ogółu znanego, a to o tyle, o ile ten szczegół da się podciągnąć pod ów ogół. Porządek więc nowéj logiki jest wprost odwrotny w porównaniu z logiką dawniejszą. Zaczyna ona od indukcyi, a kończy na dedukcyi — téj ostatniéj przyznając rolę podrzędną, którą wszakże lekceważyć nie można. Uważając siebie nie za naukę o normalnych prawach myślenia, ale za naukę, któréj zadaniem jest wskazać sposoby dochodzenia prawdy i jéj dowodzenia, zajmuje się ona wszystkiemi sprawami myślenia, stanowiącemi zakres pośredniego poznania. Wchodzi tu więc najprzód obserwacya i doświadczenie, któremi zresztą mało się zajmuje, gdyż są one rzeczą więcéj praktyki, jak teoryi, a przynajmniéj w każdéj gałęzi wiedzy innym podlegają regułom. Za niemi idzie analiza i abstrakcya i opiérające się na nich określenie faktów, definicya pojęć. Daléj indukcya, czyli wnioskowanie ze szczegółów o ogóle, tworzenie ogólnych pojęć na zasadzie umysłowego postulatu, że co raz się zdarzyło, to zdarzać się będzie zawsze i wszędzie, skoro te same nastąpią warunki. W końcu dedukcya będąca nie czém inném, jak stosowaniem prawd, wykrytych przez indukcyą do pojedyńczych faktów i wydarzeń.

Bain w swéj logice nie trzymał się tego naturalnego porządku i, folgując ustalonemu zwyczajowi, piérwszy tom swego dzieła poświęcił wykładowi dedukcyi, a drugi indukcyi. Żałować należy, że nie postąpił sobie w téj rzeczy inaczéj: wygrałaby na tém nie tylko systematyczność wykładu, ale same wymagania pedagogiczne, które się opiérają na tém, ażeby zaczynając od rzeczy łatwiejszych, przystępniejszych, powoli i metodycznie przechodzić do rzeczy trudniejszych, bardziéj złożonych. A cóż może być bardziéj zawiłego i trudniejszego, jak cała nauka o sylogizmach? Gdy przeciwnie teorya indukcyi odznacza się taką prostotą, że umysł najmniéj oswojony z teoryami tego rodzaju zdolnym jest ją pojąć i przyswoić sobie z łatwością.

Kończąc te luźne i ogólnikowe uwagi o loice Baina, powtarzamy, że tłómacz przyswajający ją naszéj literaturze, położył wielkie zasługi w sprawie narodowéj oświaty i nie pozostaje nam, jak życzyć, ażeby teraz po kolei zajął się tłómaczeniem psychologii Baina, która, jak dla nas, ze względu na niski stopień filozoficznego wykształce-

nia, pożądańszą by była, niż np. psychologia Spencera, będąca właściwie filozofią psychologii.

Władysław Kozłowski.

Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego i innych krajów Europejskich. (Srawnitielnaja Statistika Carstwa Polskawo i drugich Jewropejskich stran) przez G. Simonenko, profesora Uniwersytetu Warszawskiego; tom I. Warszawa, 1879 r.

W przedmowie oświadcza autor, że zarzuty, jakie spotkały ze strony prasy polskiéj poprzednie jego studya o tutejszym kraju, skłoniły go do wstrzymania dalszego ciągu zamierzonéj statystyki królestwa i zajęcia się wydaniem pewnéj części odczytów jego uniwersyteckich, które posłużyć mogą za odpowiedź na „złośliwe insynuacye i potwarze.“ W dalszym ciągu przemowy (str. XII), oświadcza jednak autor gotowość wysłuchania statecznych uwag, chcemy więc z tego korzystać; o ile w szczupłych ramach i w warunkach w jakie jesteśmy postawieni, możebném będzie, zajmując się cokolwiek nauką, do któréj odnosi się niniejsza książka, mamy wyobrażenie o trudnościach z jakiemi walczyć musi w obecnym czasie zbiérający materyały statystyczne o naszym kraju, tém większą więc zasługę gotowiśmy przyznać autorowi niniejszego dzieła, niemniéj pożytecznego dla kraju którego dotyczy, jak dla tego z którego pochodzi autor, oraz dla nauki w ogóle, w któréj położył niezaprzeczone dowody sumiennéj pracy i téj umiejętności wystawienia rzeczy, która naukę odstraszającą profanów suchemi regestrami liczb uprzystępnia i czyni interesującą każdemu, komu sprawy publiczne nie są obce. Zasługa ta byłaby tém większą, gdyby uczony profesor nie dał się uwodzić obrażonéj miłości własnéj i pod pretextem odpiérania zarzutów swych oponentów nie roztaczał zbyt namiętnych narzekań na społeczeństwo, którém się zajmuje. Rzeczą nową w książce prof. S. jest, oprócz przedmowy i zamieszczonych w końcu tablic statystycznych, rozdział obejmujący zarys historyczny statystyki w Polsce od XVI w. (1—96), statystyka ruchu ludności w naturalnym rozwoju przez małżeństwa; wreszcie—polemika z recenzentem dawniejszych prelekcyj obecnie przedrukowanych (1) (s. 348—472), mająca na celu usprawiedliwienie poglądów autora.

---

(1) Carstwo Polskoje srawnitelno s Poznanieju i Galicieju w otnoszenii uspiechow ekonomiczeskich, umstwiennych i nrawstwiennych. Warszawa 1878. Jest to oddruk odczytów publicznych autora, mianych w Auli Uniwersytetu i Klubie Rosyjskim r. 1874 i 1878. Porównaj recenzyą p. Załęskiego w „Niwie.“ Październik r. 1878.

Poglądy te należą do szkoły polityko-ekonomicznéj, któréj zwolennikiem jest prof. S. i większość inteligencyi rosyjskiéj, a które szczególnie wyraziście u pp. Stronina i Wasilczykowa poznać się dają. Podług nich, najwyższém zadaniem społeczném, jest zapewnienie dobrobytu większości mieszkańców kraju, którą składają klasy zwykle najwięcéj upośledzone, jak obecnie — masa ludności rolniczéj. Cel ten osiągnięty być ma za jaką bądź cenę. Tego ostatniego założenia p. S. wprost nie wypowiada, ale z wniosków jego przegląda to dosyć wyraźnie.

Z takiego stanowiska urządzenia włościańskie r. 1864 przedstawiają się autorowi jako nowa era pomyślności tutejszego kraju: w dodatnich objawach ostatnich lat 15-stu upatruje on bezpośrednie następstwo tych urządzeń, a wszystko, co je poprzedza, niemniéj porównanie z ościennemi prowincyami, służy do uwydatnienia, przeciwieństwem lub niedostatecznością, błogich skutków ustawodawstwa r. 1864. Pan S. widzi ciągle „większość“ uciemiężaną przez „mniejszość,“ która swojéj przewagi, jaką prawa przed r. 1864 nadawały obywatelom ziemskim ze szlachty polskiéj, używała na to, aby stopniowo wywłaszczyć włościan z ich zagród i doprowadzić do stanu swoich parobków. Wywłaszczenie to zaczęło się szczególniéj od r. 1807, kiedy Kodex Napoleoński wyrzekł zniesienie poddaństwa i równość cywilną wszystkich mieszkańców kraju. Podług wykazów b. Komisyi Spraw Wewnętrznych, od r. 1841 do 1846 obszar gruntów dworskich zwiększył się o 37.292 włók, włościańskich— zmniejszył o 21.160: w takim to stosunku własność szlachty zwiększała się kosztem włościan. „Można sobie wyobrazić, ile to ziemi zabrali właściciele szlachta włościanom od czasów Księstwa Warszawskiego!“ (s. 234). Ułatwiała jéj to zadanie administracya zupełnie od niéj zależna, a naczelna władza kraju, złożona (jak twierdzi p. Moller w książce p. t. Situation de la Pologne au 1 Janv. 1865), „z wysokich figur dawnéj społeczności polskiéj“ (s. 245), patrzała przez szpary na złośliwe obchodzenie rozporządzeń Najwyższych, w r. 1835 i 1846 wydanych na korzyść włościan. Piérwsze, zaprowadzając oczynszowanie w dobrach donacyjnych, wzywało pośrednio do usunięcia pańszczyzny z dóbr prywatnych; ale obywatele ziemscy pozostali głuchymi na to wezwanie, a nieliczne projekta oczynszowania były tak jednostronne, że albo włościanie przystać na nie nie chcieli, albo władza widziała się zmuszoną odmówić im zatwierdzenia. Niewiele skutkowało także prawo 7 Czerwca r. 1846, którego art. 5 zalecał administracyi udział w oczynszowaniu. Regulacya powinności włościan pańszczyźnianych z mocy tego prawa oparta została na jednostronnych tabelach prestacyjnych obywateli ziemskich bez wysłucha-

nia żądań drugiéj strony. Komisya Spraw Wewnętrznych zatwierdziła je w ciągu trzech tygodni (s. 249), widocznie więc bez ich rozpatrzenia. Mimo wzbronionego tém prawem rugowania włościan z ich zagród, szlachta nie przestawała jeszcze zabiérać włościanom gruntów, jak świadczą wydzielane późniéj przez komisarzów włościańskich grunta z obszarów dworskich, jako nieprawnie do tychże wcielone (s. 257). Prawo z r. 1862 o oczynszowaniu z urzędu miało zastosowanie tylko do 200 zagród włościańskich (s. 264). Dopiéro ustawy 2 Marca 1864 r. położyły koniec przymusowéj pańszczyźnie w królestwie (s. 275 i 284). Włościanie otrzymali własność, niezależność od dawnych dziedziców i pewien samorząd, godność ludzka podniesiona zniesieniem kary cielesnéj (s. 134), równość cywilna teraz dopiéro przestała być martwą literą. Odtąd kraj świetnie się rozwija: przeszło 267 tysięcy parceli przechodzi w posiadanie włościan i tyleż rodzin wiejskich wychodzi z proletaryatu (s. 285), wzmaga się zamożność włościan, czego dowodem jest nabywanie przez nich ziemi i akuratność w wypłacaniu podatków (326). Produkcya krajowa rolnicza pomnożyła się, ożywił się też przemysł (s. 328—330), wartość ziemi znacznie się zwiększyla; nawet stan większéj własności ziemskiéj lubo dotkniętéj wypadkami, które poprzedziły reformę r. 1864, polepszył się, co zeznają pisarze polscy pochodzący z téj klasy (331). Wzrasta oświata, co poświadcza rozwój szkół elementarnych (s. 129, 319). Moralność publiczna polepszyła się, czego dowodem zmniejszenie się przestępstw przeciw własności i w ogóle ważniejszych zbrodni (s. 127--128).

Przeciwnie w Poznańskiém i w Galicyi byt ekonomiczny w szczególności zaś ludności wiejskiéj pogorsza się. Prawa z r. 1823 i 1850 nie wpłynęły wcale na polepszenie jéj stanu w Poznańskiém; owszem właśnie od czasu zupełnego usamowolnienia włościan wzmaga się proletaryat wiejski (s. 285), emigracya dawniéj wyłącznie z pośród ludności niemieckiéj, odtąd szerzy się pośród włościan polskich i przybiéra coraz większe rozmiary (288), co poświadcza statystyka urzędowa pruska. Coraz więcéj gruntów przechodzi od włościan w ręce większych właścicieli ziemskich w Poznańskiém jak i w innych prowincyach pruskich, w których przemaga wielka własność (294). Wzmaga się pauperyzm wiejski, poświadczony coraz większą liczbą uwolnionych od podatku klasycznego mimo ograniczenia tych uwolnień prawem z r. 1851 (296), oraz zmniejszoném spożyciem przedmiotów zwykłéj potrzeby (299).

W Galicyi, podług świadectwa tamtejszych pisarzy polskich (Marasse, Wild, Grzywiński), gospodarstwo wiejskie znajduje się w stanie opłakanym (310—313), drobna własność skutkiem ubóstwa

włościan i ciążącéj ich lichwy przechodzi w ręce żydów (345), ludzie umiérają z głodu (333), oświata upada (331), rozporządzenie z r. 1873 o urządzeniu szkół wiejskich nic nie pomoże przy ubóstwie ludu wiejskiego i ciężarach, które skutkiem zabiegów większych właścicieli złożone zostały na włościan (332), produkcya zmniejsza się, przemysł stoi bez porównania niżéj niż w królestwie (344), przestępstwa mnożą się, bo lud doprowadzony jest do rozpaczy (333).

Odpowiedzialnością za taki stan rzeczy p. S. nie obciąża wprawdzie saméj tylko szlachty polskiéj, ponieważ znajduje, że np. w królestwie Pruskiém smutny stan włościaństwa okazuje się nie tylko w Poznańskiém, ale i innych wschodnich prowincyach np. w Pomeranii. Ponieważ atoli cyfry statystyczne, na których szczególniéj opiéra się, świadczą stateczne polepszenie stanu ekonomicznego kraju dawnéj Polski pod panowaniem Rosyjskiém od czasu reformy r. 1864, a pogorszenie innych prowincyj od czasu reform włościańskich r. 1848 w Austryi i r. 1850 w Prusach, pomyślność więc tamtych a niepomyślny stan Galicyi i Poznańskiego wynikać musi chyba z tych warunków w jakich wynikło ustawodawstwo r. 1864 odrębnie od ustaw r. 1848 w Austryi i 1850 w Prusach. Ujemne strony ustawy pruskiéj upatruje autor w utrzymaniu przewagi większych właścicieli w zarządzie ziemskim (276), w pozostawieniu włościanom nieograniczonego prawa rozporządzania własnością i w braku instytucyj kredytowych dla włościan; w Galicyi zaś— w uciążliwości podatków i niesprawiedliwém ich rozłożeniu (334), w rozproszeniu gruntów włościańskich (336), w obowiązkowém usunięciu służebności (340) i zbyteczném rozdrobnieniu własności ziemskiéj. W królestwie Polskiém zaradzono złemu wybiéralnością wójtów gminy przez włościan, ograniczeniem rozdrobnienia własności kmiecéj, wzbronieniem osobom innych klas nabywania gruntów włościańskich, zabezpieczającém ich od lichwy żydowskiéj i wywłaszczenia przez szlachtę, rozdawaniem włościanom gruntów i utrzymaniem służebności na korzyść włościan.

Cu tu przedewszystkiém uderza w rozumowaniu profesora ekonomii politycznéj, to stawienie za filar pomyślności publicznéj przepisów wyjątkowych, których w zasadzie on sam chyba nie uznałby za zgodne z duchem nowoczesnego prawa państwowego i ekonomii politycznéj. Jeżeli specyalnym rozporządzeniom ustawy r. 1864 i dalszych rozporządzeń Komitetu Urządzającego przypisać można wyłącznie pomyślny stan ekonomiczny a nawet moralny tutejszego kraju, w porównaniu z Galicyą i Poznańskiém, to konsekwentnie wypadałoby je przyjąć za podstawy polityko-ekonomiczne wewnętrznego urządzenia państwa, należałoby więc rozdawać własność pu-

bliczną, wszystkim w ogóle proletaryuszom; bo dla czegóż proletaryusze miejscy mieliby być gorszymi od wiejskich? należałoby postawić granicę wszelakiemu rozdrobnieniu własności przez sukcesye i działy resp. przywrócić albo utworzyć małe fideikomisy, substytuty, majoraty i t. p., postawić także ograniczenia przechodzeniu własności miejskiéj w ręce ziemian, właścicieli szlachty, w ręce plebejuszów; rozszerzyć zasadę korzystania ze służebności lasów i pastwisk, pozwolić np. uboższéj szlachcie wypasać inwentarze w lasach większych właścicieli, a w miarę potrzeby i w skarbowych. Jeżeli zaś, jak się spodziewamy, autor nie przyjąłby takich konsekwencyj, to przyznać zechce, że przywiedzione wyjątkowe rozporządzenia przyniosły korzyści jednéj klasie, prawda że najliczniejszéj; że zbyt pośpieszne a często nieoględne wykonywanie przepisów prawa z r. 1864, nie raz niepotrzebnie naraziło na straty większych właścicieli, że wykonywanie to przedewszystkiém zbyt często nie zgadzało się z ogólnemi zasadami prawa i gospodarstwa społecznego. Że pomyślny dla ekonomicznego stanu kraju rezultat radykalnych reform 1864 r. w znacznéj części przypisać należy stosunkom zostającym zupełnie po za ich obrębem, a mianowicie korzystniéjszym wurunkom topograficznym niż w Galicyi i Poznańskiém, nieobecności czynników, które w tych dwóch prowincyach paraliżują rozwój przemysłu, bez czego i gospodarstwo rolne pomyślnie rozwijać się nie może, w obec przemożnéj konkurencyi sąsiednich oddawna już posuniętych wyżéj ziem germańskich, a zamkniętéj drogi odbytu na Wschód i Północ, szczególniéj téż, zdrowéj żywotności ogółu, który widocznie okazał się nierównie dojrzalszym w kongresówce r. 1864 niż w Galicyi r. 1846 i 1848. Dzięki téj dojrzałości, zmiany zaprowadzone wśród stanu wyjątkowego i z pośpiechem nieprawidłowym nie wywołały wcale złych następstw, większość ludu rolniczego zyskała materyalnie nie tylko dla otrzymanych od rządu dobrodziejstw, ale i dla tego, że praca „mniejszości“ przemysłowéj i inteligencyjnéj pomnożyła stosunkową wartość jéj produkcyi. Wcale innym mógłby być rezultat, gdyby społeczność ta podobnie jak ludność Galicyi doczekała reform przy niemowlęctwie pojęć tych czasów, które poprzedziły ruch reformacyjny dawnéj Polski po piérwszym rozbiorze, gdyby pozostała obcą wpływowi ruchu cywilizacyjnego Księstwa Warszawskiego i Królestwa r. 1815, gdyby stan administracyi z gospodarstwa w tym kraju przed rokiem 1864 nie był zgoła lepszym niż w ościennych prowincyach. Sam p. S. zaznaczając wpływ przemysłu na stan rolnictwa, gdy mówi o królestwie Polskiém po r. 1864 i Galicyi (s. 344) wskazuje, że upadek jego wiele przyczynił się do zubożenia włościan (s. 237), i nie zaprzeczy zapewne, że stosunkowo pomyślny rozwój przemysłu w epoce

królestwa kongresowego, o czém sam wspomina (s. 103) musiał także dodatnio wpływać na stan rolnictwa i ludności rolniczéj w latach 1815—1830. Stan ten pogorszył się w następnym okresie mianowicie od r. 1832—1846; na to składało się wiele okoliczności nad któremi rozwodzić się tu niepodobna. Wszelako twierdzenie p. S. jakoby obywatele ziemscy ze szlachty ciągle powiększali swe grunta kosztem włościan, niczém nie jest udowodnione. Cyfry, które przytacza a o których dokładności sam wątpi, świadczą tylko, że przy ówczesnym systemie pańszczyźnianym drobna własność pod każdym względem musiała ustępować większéj. Powiększenie obszaru téj ostatniéj w latach 1841—1846 o 30% znaczniejsze od ubytku ziem włościańskich świadczy, że rozszerzanie się gruntów dworskich odbywało się niekoniecznie kosztem włościan. Ze szczegółowych zaś cyfr widzimy, że rozszerzenie się to głównie dotyczyło lasów i łąk, które tylko większa własność, albo własność posiadająca kapitały należycie zużytkować może. Prof. S. zdaje się nisko cenić gospodarstwo leśne: nie widzi żadnego anachronizmu w utrzymaniu służebności leśnych, właściwych czasom gdy włościanie byli przywiązani do gleby, podziela oburzenie p. Głowackiego (1) na to, że w Galicyi 90% lasów prywatnych zostaje w posiadaniu większych właścicieli (341), nie zwracając uwagi na to, że tylko wielka własność *może* i *umié* utrzymać lasy. (2)

Odzywanie się p. S. o dawnéj administracyi Królestwa żałować każe, że autor, który tak starannie zbiéra materyały do statystyki i administracyi tego kraju, nie zaglądał jak widać do podręcznika bardzo przydatnego w téj mierze, do pół-urzędowego kalendarzyka Politycznego, wydawanego w latach 1840—1861 prze Fr. Radziszewskiego a obejmującego obok spisu urzędów królestwa nieraz ciekawe materyały statystyczne ze źródeł urzędowych. Z niego dowiedziałby się, z jakich to „figur dawnéj arystokracyi polskiéj składała“ się

---

(1) O karpackiéj Rusi r. 1877.

(2) Obliczają na 156.204 włók albo 2.935.068 dziesięcin ogólny obszar lasów Królestwa tak prywatnych jak skarbowych; stanowi on 21,153% całéj powierzchni kraju. Największą stosunkowo przestrzeń zajmują lasy w gub. lubelskiéj (30%). kieleckiéj (28,17%) i radomskiéj (25,6%) gdzie przeważa wielka własność; najmniéj w gub. warszawskiéj (13,2%), kaliskiéj 13,8%) i płockiéj (16,3%), gdzie własność jest bardzo rozdrobniona. Gub. siedlecka, jakkolwiek najmniéj zaludniona w Królestwie z powodu rozdrobnienia własności, jest tak ogołocona z lasów jak najludniejsza gub. piotrkowska (około 20%). Podług wiadomości z gub. radomskiéj od czasu urządzenia włościan do r. 1871 ubyło lasów 54.016 dziesięcin czyli 13% obszaru leśnego gubernii. Można powiedzieć bez przesady, że w ostatnich 15 latach ubyło co najmniéj 10% ogółu przestrzeni lasów Królestwa.

b. rada administracyjna, w któréj przed r. 1861 oprócz dyrektorów głównych (z tych dwóch Polaków) i sekretarza stanu, zasiadało pięciu generałów i trzech cywilnych dygnitarzy rosyjskich. Od téj magistratury, pod względem personelu przeważnie rosyjskiéj, daleko więcéj niż od obywateli ziemskich nie mających prawie żadnego udziału w urzędach, zależał kierunek administracyi. Personel jéj składali wprawdzie przeważnie krajowcy, ale i administracya galicyjska roku 1846 także składa się głównie z krajowców t. j. Galicyan, co jéj nie przeszkadzało wystąpić bardzo gorliwie przeciwko „mniejszości“ krajowéj, gorliwiéj może niż sam rząd tego sobie życzył. Rząd Królestwa a nawet rząd Cesarsko-rosyjski zupełnie inaczéj wówczas zapatrywał się na te stosunki społeczne, i jego energicznym środkom przypisać należy, że excesa chłopskie w Galicyi nie rozszerzyły się na sąsiednie okolice Królestwa i Cesarstwa.

Do przyczyn smutnego stanu włościan w naszym kraju p. S. zalicza także wójtostwa gmin w rękach obywateli ziemskich. Nie chcemy powiedzieć, żeby ta instytucya zabezpieczała włościan od nadużyć, ale autor nie zwraca uwagi, że zaprowadzenie jéj w Księstwie Warszawskiém było w bezpośrednim związku ze zniesieniem poddaństwa, i że zmiana tak radykalna czyniła racyonalnym porządek administracyjny, któryby zapobiegał niedogodnościom nagłego przejścia od patryarchalnéj zależności do stosunku równości obywatelskiéj. Można byłoby życzyć, żeby jednocześnie więcéj uczyniono dla polepszenia bytu ekonomicznego włościan, ale tylko uprzedzenie utrzymywać może, jakoby do r. 1864 nic w tym celu nie zdziałano oprócz tego, co wynikło z postanowień cesarskich r. 1835 i 1846. Pan S. nie raczy wiedzieć, że po za obrębem tychże, oczynszowanie włościan nie tylko w dobrach skarbowych i donacyjnych, ale w większéj części majątków prywatnych stopniowo już przeprowadzone zostało przed r. 1861, (1) w którym uznano konieczność ostatecznego uregulowania téj kwestyi, co dokonane zostało prawem z r. 1862, dla tego też zastosowanie tego prawa niedopuszczone zresztą zawichrzeniami roku następnego, miało zakres tak szczupły, że sama zależność czynszowa już na rok przed ustawą r. 1864 faktycznie ustała a przywrócenie jéj lub utrzymanie de jure byłoby połączone z największemi trudnościami; że instytucye gminne zaprowadzone w tym roku z pewnemi zmianami już były postanowione ustawą r. 1860 po-

(1) Podług wiadomości statystycznych zamieszczanych w kalendarzu Obserwatoryum Warszawskiego p. L. Wolskiego referenta Statystyki b. komisyi Spr. Wewnętrznych przed r. 1860 było oczynszowanych przeszło $^1/_3$ włościan w dobrach prywatnych gub. lubelskiéj, blisko połowa radomskiéj, płockiéj i augustowskiéj a $^2/_3$ gub. warszawskiéj.

wstrzymaną w zastosowaniu dla związku z gotującą się reformą sądową; że zgoła prawodawca r. 1864, nie potrzebował wcale „uwalniać włościan od przymusowéj pańszczyzny“ i, oprócz niektórych szczególnych przepisów z tymczasowego stanu wynikłych, dał tylko sankcyą już istniejącemu porządkowi rzeczy. Bliższe wejrzenie w stosunki czasów, które poprzedziły r. 1864, przekonałoby p. S. że „feudalna“ jurysdykcya obywateli ziemskich nad włościanami w charakterze wójtów gmin była więcéj ograniczona niż władza sędziów pokoju w miastach Królestwa i w guberniach zachodnich, od któréj jest tylko apelacya do kolegiów złożonych z osób ich sfery, podczas gdy nad wójtami gmin dawnego autoramentu, zarówno jak nad burmistrzami, przełożeni byli w porządku administracyjnym naczelnicy powiatu, w porządku policyjno karnym—zwykłe władze sądowe. Ta zależność i obowiązek pracy kancelaryjnéj, nie bardzo przypadające do upodobania naszych ziemian, były powodem wyręczania się niekiedy „zastępcami“ z klasy oficyalistów wiejskich, zwykle bowiem funkcye wójtów sprawowali sami dziedzice lub w większych majątkach— ich dzierżawcy. Mówiąc o przebywaniu większych właścicieli w stolicy lub zagranicą (137), p. S. bierze zapewne miarę ze stanu rzeczy jaki był w Rosyi za czasów poddaństwa, gdzie zamożniejsi obywatele ziemscy przemieszkiwali zwykle po miastach, korzystając z prerogatyw swego stanu i wybiéralności urzędów, tém bardziéj że charakter ludności wielkorosyjskiéj szczególnie w okolicach mniej urodzajnych więcéj skłonny do przemysłu i kupiectwa niż do właściwego rolnictwa ustalił system gospodarstwa, przy którym administrowanie majątku za pośrednictwem plenipotentów i rządców było ułatwione. System taki widzimy także pośród właścicieli ziemskich Rosyan w krajach dawnéj Polski. Przeciwnie, tradycye ziemskie szlachty polskiéj, zamiłowanie bytu wiejskiego, upodobanie do niezależności i do stosunków najwięcéj przypominających przeszłość, sprawiły, że nasi obywatele ziemscy wyjątkowo tylko i to jedynie bogaci przesiadywali w stolicy lub zagranicą, nigdy zaś po miastach prowincyonalnych jak we właściwéj Rosyi. Zmiany zaszłe po rozbiorach Polski i po r. 1831 jeszcze bardziéj zamknęły ziemian w ich włościach. Pan S. z kilkuletniego pobytu u nas mógł się przekonać, że główne miasto tutejszego kraju bardzo niewiele mieści obywateli ziemskich w swych murach, chyba podupadłych i noszących tylko to nazwisko.

Wszakże instytucye gminne najwięcéj faworyzujące włościan przy braku oświaty i ducha obywatelskiego nie zawsze dają dostateczną rękojmię od nadużyć: widzimy to ze wzrastającéj od r. 1865 liczby spraw o nadużycia w urzędowaniu, w których inkryminowany-

mi bywają przeważnie członkowie nowych instytucyj gminnych. (1) Porównanie liczby tych spraw po r. 1864 z wykazami poprzedniego okresu 1848—63, przy uwzględnieniu różnicy w sposobie obliczania (cyfry z tego okresu są przynajmniéj o 15o$^0/_0$ za wysokie), przekonałoby, że przy obecnych urządzeniach gminnych, przynajmniéj w piérwszych 10 latach po ich zaprowadzeniu, nadużycia władzy i zaufania były znacznie częstsze niż przy dawniéjszym stosunku patrymonialnym. Obecne władze może silniéj, niż dawniejsze, ujmują się za pokrzywdzonymi włościanami, okoliczność jednak ta wpłynąćby mogła nie na liczbę dochodzeń, zależną od skargi pokrzywdzonych, ale tylko na represyą owych nadużyć, która zresztą i po r. 1864 ze strony władz administracyjnych nie była zbyt silną, jak o tém świadczy wielka liczba repozycyj z powodu odmówienia decyzyi kwalifikacyjnéj. (2)

Sposób w jaki p. S. przechodzi do wniosku, że zmiany r. 1864 sprowadziły polepszenie nie tylko ekonomicznego, ale i moralnego stanu społeczeństwa pokazuje, że o bezwarunkowo dodatnim ich skutku z góry jest przekonanym. Wzrost liczby małżeństw powszechnie jest uważany jako wskazówka dobrobytu a bardziéj jeszcze zaufania w ustaleniu się porządku rzeczy zapewniającego dobrobyt. Przyjmuje to i p. S., mówiąc o ruchu ludności w okresie 1835—1862 (str. 238—267), lecz gdy się nastręcza fakt znacznego zmniejszenia się małżeństw w ostatnim okresie szczególniéj w porównaniu z okresem 1815—1830, czyni uwagę, że to zmniejszenie się może być zarówno rezultatem przyjaznych jak nieprzyjaznych warunków, w które kraj został postawiony (s. 265). Mała stosunkowo liczba małżeństw w latach 1868—1876 świadczy o téj zabiegłości materyalnéj, którą wyraża posiadanie własności, o większéj oględności w zawiéraniu związków, podczas gdy mnogość małżeństw w okresie 1815—30 pochodziła z lekkomyślności ciemnego gminu, właściwéj proletaryuszom niefrasobliwości o jutro, w części ze sztucznéj zachęty np. z ulgi w powinności wojskowéj dla żonatych. Nie liczba zawiązanych małżeństw, ale ich trwałość, którą poświadcza znaczna stosunkowo ilość osób zostających w małżeństwie, jest stanowczo dodatnim objawem. Autor sądzi, że pod tym względem ostatni okres wytrzymuje porównanie z poprzedniemi: obliczenie to wszakże opiéra na ułamkowych

(1) Przeszło połowa czynów tego rodzaju w latach 1865—74 spełniona była na wsi, a więc przez urzędników i oficyalistów gminnych.

(2) Repozycye z tego powodu stanowiły blisko 40$^0/_0$, ogól spraw o nadużycie w urzędowaniu. Liczba przestępstw tego rodzaju od r. 1849 do 1862 zmiejszyła się o 46$^0/_0$, w latach 1865—72 zwiększyła o 64,6$^0/_0$.

danych z kilku gubernij. (1) Ponieważ zaś te dane obliczone są w stosunku do ludności mającej więcej niż lat 17, dla porównania więc z poprzedniemi epokami, oraz z innemi krajami, p. S. stosuje do rzeczonego okresu w Królestwie skalę pruską: podług tego wypada na 10 tysięcy mieszkańców:

rok 1848 : 6.115 małżeństw istniejących;
„ 1858 : 6.080 „ „
Śred. z lat:
rok 1866—75 : 6.650 małżeństw istniejących.

Z czegoby wynikało, że kraj tutejszy znajduje się obecnie w warunkach najkorzystniejszych, podług bowiem danych statystycznych najświeższéj daty, wypada w tym stosunku małżeństw:

w Hiszpani . . .	6.544
Francyi . . .	6.293
w Prusach . . .	6.062
w Austryi . . .	6.048
w Niemczech . .	5.905
w Anglii	5.759.

Ale zastosowanie takiéj skali do tutejszego kraju jest zupełnie błędne, bo pamiętać należy, że w masie ludności żenią się u nas daleko wcześniéj niż w Europie Z-éj; wczesne małżeństwa (t. j. przed 20 r. ż.) stanowią tu przeło 23%, a gdy we Francyi 10,71%, a w Prusach 7,27 %; dla obliczenia więc małżeństw w stosunku do ludności od 20 r. ż. wypadałoby z ogólnéj ich liczby wytrącić odsetkę przynajmniéj 3 razy większą, niż ta jaka przypada ze skali pruskiéj: w ten sposób stosunek małżonków podług ogólnéj skali dla Królestwa z ostatniego okresu wypada 5.505, znacznie więc mniejszy niż z wielu krajach Europy a bez porównania mniejszy od cyfry z dawniejszych lat 1848 i 1858.

Błędną jest skala porównania podług któréj p. S. przychodzi do wniosków o mniejszéj jakoby liczbie przestępstw w okresie lat 1865—74 w porównaniu do poprzedniego 1848—1859. Do r. 1865 liczby te otrzymywano przez dodanie osobnych od każdego sądu wykazów odbywanych w nim czynności karnych. Pomijając niedokładność takich wykazów jako formowanych przez osoby niezawsze ze statystyką obznajmione, cyfry z nich otrzymane musiały koniecznie być wyższe od rzeczywistych, dla tego, że przy takim porządku rze-

(1) Materyałów tych na wezwanie b. komisyi Sprawiedliwości w r. 1874 dostarczyli tylko gubernatorowie: radomski, kielecki a częściowo warszawski, płocki i lubelski. Z nich tylko korzystał autor niniejszéj statystyki.

czy niepodobna było odliczyć spraw, w których właściwéj istoty czynu karnego nie było, jako też takich, które dla zmiany jurysdykcyi lub kompetencyi wielokrotnie pod pozycyami różnych okręgów sądowych figurowały. Ustanowienie istoty czynu opiérało się na skardze lub doniesieniu policyi, w skutek tego w rubryce rozbojów, rabunków, zabójstw, nie raz figurowały czyny prostéj samowolności, albo mimowolnego przyczynienia się do śmierci. Ustało to z zaprowadzeniem bióra statystycznego b. komisyi sprawiedliwości w r. 1864 i nowego systemu kontroli sądowéj, jaki i dziś z pewnemi odmianami odpowiednio do obowiązującéj procedury, funkcyonuje. Cyfry przestępstw tak w ogólności jak po szczególe ważniejszych kategoryj, odtąd zmniejszyć się musiały nie tylko z powodu wyłączenia z pod kontroli komisyi sprawiedliwości, spraw oddanych władzom gminnym, których zakres coraz bardziéj się rozszerzał, ale z powodu ścisłéj segregacyi i pominięcia spraw do niebytu właściwego przestępstwa, lub dla braku podstaw dochodzenia zaniechanych. (1) Pan S. zupełnie na to nie zwraca uwagi i porównywa całkiém do siebie niepodobne cyfry, nie dziwiąc się bynajmniéj ich dysproporcyi; gdyby bowiem nawet rzeczywiście kryminalność ostatniego okresu zmniejszyła się, to taki ubytek przestępstw, jaki autor przywodzi, byłby czémś niepraktykowaném w kronikach statystyki sądowéj. Podług tego cośmy tu powiedzieli, sprawdzenie chociażby przybliżone, czy i o ile przestępstwa w naszym kraju po r. 1864 zwiększyły się lub pomniejszyły w porównaniu z laty poprzedniemi, jest całkiém niemożebne. Dla ocenienia zaś stanu moralnego tego ostatniego okresu służyć może jedynie wykaz ruchu przestępstw od zaprowadzenia kontroli sądowéj b. komisyi sprawiedliwości do nowéj organizacyi sądów, która znowu zmieniła sposób obliczania; a więc od r. 1865 do 1875 włącznie. Z tego wykazu przekonałby się p. S., że wbrew jego mniemaniu, stan moralny, z czynów karogodnych uważany, stanowczo pogorszył się szczególniéj w klasie nieletnich, wychowańców tego właśnie czasu, oraz włościan t. j. właśnie tych, których ustawy r. 1864 szczególnie dotyczą. (2)

Uwagę co do właściwości skali porównania zastosować winniśmy do tego, które czyni autor w ogóle pomiędzy tutejszém Królestwem a Poznańskiém i Galicyą. Już powiedziało się, że takie po-

---

(1) Zob. Stan moralny społeczeństwa naszego zam. w Bibliotece. Warsz. r. 1874 z Sierp. § 2 i 5.

(2) Porówn. Stan moralny naszego społeczeństwa § 5. Sprawozdanie komisyi Sprawiedliwości na r. 1874. Statystyka kryminalna Królestwa z r. 1875 i Nieletni przestępcy w r. 1875 w „Gazecie Sądowéj“ z r. 1876 Nr. 26.

równanie bez uwzględnienia warunków geograficznych i historycznych tych prowincyj musi doprowadzić do wniosków, których konsekwencyi sam autor nie przyjąłby. Dodajmy do tego, że podług powziętéj a priori myśli, unika on starannie wystawienia dodatniéj strony sąsiednich prowincyj: nie mówi n. p. nic o stanie oświaty w Poznańskiém, oświatę w Galicyi, w Królestwie kongr. porównywa tylko pod względem liczby szkół wiejskich, używając przytém metody, która ani o stosunkowéj liczbie szkół, ani o właściwém korzystaniu z nich nie daje wyobrażenia; mówi wreszcie na podstawie już nieco zadawnionych wiadomości podanych przez Glattera (1) o zwiększaniu się przestępstw w Galicyi, nic nie wspominając o postępie tego rodzaju w Królestwie.

O stanie szkół ludowych w Galicyi od czasu zaprowadzenia tam Rady Szkolnéj, posiadamy cyfry ze sprawozdań téjże wyjęte, które tę rzecz przedstawiają w świetle cokolwiek odmiennném, przy porównaniu z Królestwem Polskiém. I tak:

	liczyło się szkół:			rok 1877	
	roku 1870	1872	1874	szkół,	uczniów.
w Królestwie Polskiem	1.863	1.994	2.271	3.184	168.549
w Galicyi	2.374	2.450	2.486	2 972	204.429.

Jakkolwiek więc liczba szkół w ostatnich siedmiu latach w Królestwie powiększyła się w znaczniejszym stosunku niż w Galicyi, w ogóle jednak liczba ich stosunkowo do ludności w téj ostatniéj prowincyi jest większa; na 10.000 dusz ludności widzimy w Galicyi 49,5 szkół, w Król. Pols. zaś 46,9; uczniów w tym stosunku przypada w Galicyi 340, w Król. Pols. 261. Nadmieniamy jeszcze, że na r. 1872, liczba uczniów Okręgu Naukowego Warszawskiego wymieniona została 170.062; jeżeli więc nie zachodzi jaka niedokładność, wnosićby należało, że od r. 1872 do 1877 liczba uczniów w Królestwie zmniejszyła się o 1.411. Tymczasem w Galicyi od r. 1870 liczba uczniów zwiększyła się o 60.317.

Stan moralny ludności Galicyi w porównaniu z Królestwem tak się przedstawia z wykazów Statystyki Kryminalnéj, 10 lat 1865—1874. W obydwu tych krajach liczba przestępstw powiększyła się, ale w Król. Pols. o 59%, w Galicyi o 44%; liczba recydywistów w Król. Pols. *zwiększyła* się o 3,7%. w Galicyi *zmniejszyła* o 4,6%; liczba nieletnich przestępców w Król. Pols. *zwiększyła* się o 26,5%, w Galicyi *zmniejszyła* o 39%. To są najwydatniejsze punkta Statystyki Krymi-

(1) Oesterreich in Ziffern. Wien, 1872. Cyfry w tém dziele przywiedzione są ze spisu urzędowego 31 Grudnia r. 1869.

nalnéj, bo szczegółowe pozycye zależą od okoliczności nad któremi rozwodzić się tu niepodobna.

Co do stanu ekonomicznego Galicyi, ten w ogóle mniéj korzystnie przedstawia się niż w Król. Pols., z powodów wyżéj przywiedzionych. Zauważyć wszakże należy, że przemysł i gospodarstwo tego kraju, podupadłe w latach 1847—1867, skutkiem klęsk jakie ta prowincya dzieliła z całą monarchią, odtąd stale lubo zwolna dźwigają się, co nawet z danych nieznacznie i przez p. S. przywiedzionych, zauważać można.

Wytknięcie wszystkich, choćby tylko ważniejszych usterków, do których prowadzi tendencyjność téj, zresztą pod względem naukowym pożytecznéj książki, wychodzi z po za obrębu naszego zadania. (1) Dodamy tylko, że polemika z p. Załęskim, obejmująca niemałą część obecnego tomu, nie dowodzi zgoła, aby zarzuty jakie autor czyni swoim krytykom a za nimi i całemu społeczeństwu polskiemu były słuszne. Nie słyszeliśmy narzekania na zniesienie pańszczyzny, nie możemy przyznać, aby cechą polskiéj kultury było uciskanie ludu, i żeby pańszczyzna w Król. Pols. miała być dla ludu wiejskiego uciążliwszą aniżeli poddaństwo w Cesarstwie, które p. S. delikatnie nazywa: „nie zrywaniem solidarności interesów pomiędzy panami a poddanymi“ (str. 411). Obroki wielkorosyjskie z przed r. 1861 zbyt się różnią od czynszów za używalność lub dzierżawę gruntów, i cały system tiagłowy tak się różni od pańszczyzny odrabianéj z chaty, że dla porównania tych dwóch rzeczy potrzeba jeszcze poprzedniemi studyami ustanowić między nimi jednomierność.

Co się zaś tyczy chrześciańskiéj moralności i pokory, które wedle p. S. mają charakteryzować cywilizacyą rosyjską, wybaczy nam szanowny profesor, że pozwolimy sobie dopatrywać i w polskiéj kulturze nie mniéj moralności chrześciańskiéj.

R. B.

---

(1) Nie możemy jednak pominąć niektórych zboczeń, z tendencyą książki nie mających związku, zwracających jednak uwagę ze względu na stanowisko autora. Nazwiska polskie częstokroć dziwnie są przeistoczone; np. dyrektora wydziału b. komisyi spraw wewnętrznych, Gudowskiego, nazywa „Gudowiczem.“

KRONIKA NAUKOWA.

Głośno mówiące telefony.

(Nowe przyrządy Edisona, Gowera i Machalskiego).

Kto dziś pisze sprawozdania z postępu wynalazków, ten się obejść nie może bez ciągłego przytaczania nazwiska Edisona. Wyjątkowy umysł tego genialnego człowieka i niezmordowana praca wprawiają w coraz większe zdumienie. Nie masz prawie miesiąca, żeby z pracowni w Menlo-Park nie wyszła jakaś rzecz nowa i niespodziana. Ztamtąd wynalazki sypią się jak z rogu obfitości, i teraz mamy do zanotowania nowy, oryginalny, a niepospolitéj doniosłości. Jest nim telefon nowego rodzaju, przedstawiony niedawno w Londynie, w kole uczonych, przez siostrzeńca Edisona.

Telefon ten dochodzi już co do siły powtarzania głosu do możliwych granic. Wiadomo, że wszystkie dotychczas znane telefony powtarzają bardzo słabo głos przesyłany za pomocą drutu, i tylko niektóre z nich wydają dźwięki dość silne, by je słyszéć można było z odległości stóp kilku, podczas zupełnéj ciszy. Edison usunął tę wadę i zbudował telefon, powtarzający zawsze tak donośnie, iż go w całéj dużéj sali słyszéć dobrze można.

Budowa tego nowego telefonu prostą jest, jak wszystko co od Edisona pochodzi. Wysyłacz jest zwykłym telefonem węglowym, opisanym już w kronice naukowéj „Ateneum" (r. 1878, tom IV), który do stacyi następnéj wysyła po drucie prądy o zmiennéem natężeniu, proporcyonalném w każdéj chwili do natężenia fal głosowych. Odbieracz jest zupełnie oryginalnym i opiéra się na zjawisku dotychczas jeszcze pod względem naukowym niewyjaśnioném. Przed paru laty odkrył Edison nową własność prądu elektrycznego, który zastosował w swoim Elektromotografie. Własność tę opiszemy za pomocą na-

stępującego doświadczenia. Weźmy ćwiartkę papiéru i zwilżmy ją słabym roztworém siarczanu sody, następnie połóżmy ten papiér na jakiéj podkładce metalowéj, np. płytce cynkowéj, albo z innego metalu. Połączmy owę podkładkę z jednym biegunem źródła elektryczności. Jeśli weźmiemy teraz do ręki laseczkę metalową i będziemy jéj końcem prowadzili po papiérze, to uczujemy pewien opór. Czuje się wtedy, że papiér jest szorstkim i laseczka nie porusza się gładko po powierzchni zmoczonego papiéru. Lecz gdy laseczkę połączymy z pozostałym biegunem, to wtedy prąd zmuszonym będzie przechodzić, przez papiér do metalicznéj podkładki, i ujrzymy wtedy dziwne zjawisko. Pierwéj laseczka suwała się z pewną trudnością po papiérze, teraz papiéru prawie nie czuć i suwa się ona po papiérze, jak łyżwa po lodzie. Im prąd silniejszy, tém powierzchnia papiéru staje się bardziéj śliską.

Jeżeli więc zaczniemy taką laseczką prowadzić po preparowanym papiérze i będziemy prąd raz przepuszczali, to znów przerywali w szybko po sobie następujących odstępach czasu, to uczujemy wstrząśnienia, pochodzące od tego, iż raz jest papiér gładkim, potém znów szorstkim. Lecz w dodatku przekonał się Edison, iż ślizkość jest proporcyonalna do siły prądu, więc prądy o natężeniu zmienném wywołują co chwila odpowiednie zmiany na powierzchni papiéru. Na téj zasadzie opiéra się nowy Edisonowski telefon.

Nie tylko papiér zmoczony roztworami niektórych soli, jak siarczanu sody, potażu i in., posiada opisane wyżéj własności, lecz i wiele innych ciał porowatych, jak np. wapień.

Nowy odbieracz budowę posiada bardzo prostą. Znajduje się w nim mosiężny wałek, obracany za pomocą korby i pokryty na swéj powierzchni masą wapniową, zmoczoną w roztworze wspomnianych soli. Na powierzchnię wałka opiéra się sprężynka prosta, trąca się o niego jednym, wyplatynowanym końcem podczas obrotu korbą. Drugi koniec sprężynki przymocowanym jest do środka cienkiéj błony mikowéj, mającéj przeszło 10 centymetrów średnicy. Oto i cały aparat. Gdy ktoś mówi do wysyłacza, to po drutach przybiegają do odbieracza prądy o zmienném natężeniu, wchodzą tam do sprężynki, przechodzą przez wałek i zmieniają ciągle tarcie na jego powierzchni, proporcyonalnie do siły prądu. Gdy prąd jest słaby, sprężynka mocno się trze o wałek i jest ciągniętą naprzód razem z błoną, która się w tym kierunku wygina. Gdy prąd jest silniejszy, sprężynka zeslizguje się napowrót i błona cofa się nieco. Tą drogą powstają drgania i mikowa błona powtarza mowę.

Podczas prób londyńskich telefon mówił tak głośno, iż mowę słyszéć było można dokładnie we wszystkich zakątkach sali.

Inny telefon, pomysłu p. Gowera, zajmuje obecnie koła naukowe w Anglii i we Francyi. Główną jego zaletą nadzwyczajna prostota, a więc i taniość, która otworzy szerokie pole do praktycznych zastosowań.

Telefon ten co do zasady nie różni się niczém od zwykłego telefonu Bella, jest tylko jego doprowadzeniem do możliwych prawie granic doskonałości. Składa się jak tamten z magnesu, otoczonego zwojami izolowanych drutów i z blaszki żelaznéj, drgającéj podczas mowy w bliskości biegunów magnesu.

Wszystkie części składowe, po długich poszukiwaniach zostały dobrane w sposób tak doskonały i dokładny, że głos przenosi się z niezwykłą siłą i bez użytku bateryi elektrycznéj słyszéć można mowę blaszki żelaznéj w dość dużym pokoju. Magnes użyty przez Gowera zamknięty jest w małéj przestrzeni, lecz posiada siłę niezwykłą w skutek wybornego namagnesowania i stosownego umieszczenia, w bliskości od siebie obu biegunów, według systemu Faradaya. Blaszka żelazna jest grubszą od téj, którą używano dotychczas w telefonach; korzyść ztąd ta, że w obecności biegunów drga większa masa miękkiego żelaza i prądy przebiegające po drucie są silniejsze. Telefon Gowera posiada także szczególny rodzaj sygnału. W blaszce znajduje się mały otwór, zamknięty blaszką taką, jakiéj używają do budowy *harmonium*. Dosyć jest dmuchnąć do telefonu, wnet blaszka zaczyna drgać i wydawać ton sobie właściwy, który się z wielką siłą przenosi na następną stacyą, przywołując tam kogoś do słuchania.

Telefon Gowera zasługuje na uwagę szczególniéj ze względu na to, że jest prawdziwie wzorowym, co do dobrania i połączenia wszystkich części składowych. Siła głosu w telefonach bez bateryi, doprowadzona w nim jest, jak się zdaje, do granic możliwych.

Na jedném z posiedzeń Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika we Lwowie, miałem zaszczyt pokazywać niedawno nowe telefony, pomysłu pana inżyniera Machalskiego, które zadziwiły słuchaczów nadzwyczajną i niesłychaną dotychczas siłą głosu. W dużéj sali słychać było to, co mówił telefon, i mowa przenosiła się z tak

małą stosunkowo stratą, że zrozumieć można było każde słowo. Jednak najpyszniéj przenosił się śpiew, ze wszystkiemi cieniowaniami i zatrzymaniem artykulacyi.

Budowa tego telefonu jest co do zasady ogólnéj taką, jak w opisywanym już w kronice naukowéj „*Ateneum*,“ (r. 1878, tom IV) węglowym telefonie Edisona. Jest to telefon zbudowany na zasadzie mikrofonicznéj, więc potrzebujący do działania bateryi i to nawet dość silnéj.

Wysyłacz składa się z napiętéj błony kauczukowéj, opartéj w swym środku o kawałek jakiegoś ciała, którego skład p. M. trzyma do chwili otrzymania patentów w tajemnicy. Ciała te zastępuje węgiel sztuczny, prasowany w telefonie węglowym Edisona. Ma ono, jako średni przewodnik elektryczności, własności mikrofoniczne, to znaczy, że pod działaniem drgań napiętéj kauczukowéj błony, zmienia swe przewodnictwo i to proporcyonalnie do siły drgań przyciskającéj błony. W chwili, gdy się do wysyłacza nic nie mówi, to prąd z bateryi przebiega po drucie do następnéj stacyi, nie zmieniając co chwilę swego natężenia. Lecz gdy fale głosowe, dobywające się z ust naszych, uderzą o błonę kauczukową i wprawią ją w drganie, to przez podstawione pod błonę ciało, przedzierać się będą prądy o zmiennėm natężeniu, które potém, na stacyi odbiérającéj w zwykłym telefonie Bella, zamieniają się na drgania blaszki powtarzającéj mowę.

Najważniejszą część aparatu stanowi owo ciało, umieszczone pod drgającą podczas mowy błonką. Jest ono rodzajem kurka dla elektryczności, przepuszczającego ją do następnéj stacyi tyle, ile wskaże mniejsze, lub większe odchylenie błony. Pan Machalski po dłuższych poszukiwaniach znalazł skład tego ciała taki, że główne wady dotychczasowych telefonów na zasadzie mikrofoniczniéj usunięte zostały. Nie słychać mianowicie wcale chrypienia, towarzyszącego dawniéj aparatom podobnego rodzaju, mowa przenosi się wyraźnie a siła jéj jest taką, jak w żadnym z dotychczasowych przyrządów tego rodzaju. Mogę to twierdzić w porównaniu z telefonem węglowym Edisona, który funkcyonował na wystawie Paryskiéj w amerykańskim oddziale i z telefonem Righiego, który pokazywanym był na kongresie naukowym w r. 1878 w Paryżu, także w czasie wystawy.

Co się tyczy praktyczności telefonów pana Machalskiego, to o ile kilkumiesięczne próby wykazały, dają się one zupełnie dobrze do użytku codziennego zastosować. W biurach wydziału krajowego we Lwowie, zaprowadzono je przed kilku miesiącami i funkcyonują dotychczas wybornie.

Niedługo wynalazca ma przybyć z telefonami swemi do Warszawy i tam pokazać je w kołach kompetentnych.

Sprawozdanie komisyi Rady miejskiéj Paryża, o oświetleniu elektryczném.

W uzupełnieniu tego com niedawno podał w kronice naukowéj „Ateneum," (r. 1878, t. IV) o postępach oświetlenia elektrycznego w ostatnich czasach, pozwolę sobie podać jeszcze dzisiaj streszczenie sprawozdania, o próbach z takiém światłem, robionych przez komisyą, która została wydelegowana do zbadania obecnego stanu sprawy przez Radę miejską miasta Paryża.

Przez rok cały, niektóre części miasta, a głównie wielka ulica Avenue de l'Opéra były oświetlane świécami systemu Jabłoczkowa, przez towarzystwo akcyjne, zwące się Société générale d'électricité. Po roku towarzystwo to zażądało trzyletniego kontraktu z miastem na oświetlenie znacznéj przestrzeni w okolicach giełdy i wielkiéj opery, lecz komisya wystąpiła z wnioskiem odmiennym i żądała, żeby próby były dalej prowadzone, na większą jeszcze skalę.

Komisya orzekła, iż w obecnym stanie, pomimo zkądinąd znakomitego postępu, światło elektryczne systemu Jabłoczkowa nie może jeszcze zastąpić gazu. Trzeba więc jeszcze całą sprawę pozostawić jak jest i tylko dać pole towarzystwu do doświadczeń najróżnostronniejszych. I tak Avenue de l'Opéra ma być jeszcze daléj przez rok jeden oświetlaną świécami elektrycznemi, a oprócz tego w wielkich Hallach i na placu Bastylii mają być zaprowadzone nowe lampy.

Rada miejska ogłasza przytém, że każde towarzystwo oświetlenia elektrycznego, które się wykaże najprzód dostatecznością produkowanych przez siebie lamp, będzie dopuszczone do robienia prób równoczesnych w pewnych kwartałach miasta.

W ten sposób, otworzy się w Paryżu między narodowy konkurs najrozmaitszych towarzystw i wynalazców. Mieszkańcy będą mieli przez ten czas dosyć czasu na przyzwyczajenie się do elektrycznego światła, a specyaliści będą badali i porównywali wszystkie metody.

Kontrakt z towarzystwem Jabłoczkowa nie został zawarty głównie dla tego, że żądano za wielkiego wynagrodzenia. Wymagano sześćdziesiąt centymów za każdą świécę i za każdą godzinę. Miasto natomiast proponuje zapłatę w stosunku do siły i ilości światła, które

towarzystwo ma dostarczać. Chce ono płacić tylko 30 centymów za jednę świécę i godzinę pracy.

Tymczasem i towarzystwa gazowe stają do konkursu. Niektóre ulice otrzymały zwiększoną ilość dziobków gazowych, a w innych przygotowują się nowe kandelabry, które mają dać bez porównania lepsze oświetlenie od dotychczasowego.

Niewątpliwie, że w ciągu prób całorocznych, dadzą się zaprowadzić w oświetleniu elektrycznem niektóre zmiany i niektóre oszczędności, pomijane dotychczas ze względu na to, żeby jak najwspanialéj dla oka lampy się przedstawiły.

Najprzód banie ze szkła mlecznego, otaczające ognisko elektryczne, pochłaniają ogromną ilość światła. Wyglądają w skutek tego lampy bardzo świetnie, jakby księżyce zdjęte z nieba i umieszczone na słupach, białe kule są bardzo miłemi dla oka, lecz wprowadzenie szkieł bardziéj przezroczystych, lub usunięcie ich zupełne niezbyt by zaszkodziło wyglądaniu a podwyższyłoby skutek oświetlenia o kilkadziesiąt procentów. Każda bowiem świéca Jabłoczkowa zapalona nie razi zbytnie oka, szczególniéj jeśli jest dostatecznie wysoko ustawioną. Zresztą nikt nie jest obowiązany do przyglądania się lampie, jak nikt nie potrzebuje patrzéć na słońce, które nas w dzień oświéca.

Oprócz tego lampy dotychczasowe wysyłają bardzo wiele światła w górę, gubiącego się nadarmo i służącego chyba jedynie do oświetlenia nieba.

Papyrograf, ołówek woltaiczny.

Zadanie otrzymania z jednego pisma, albo z jednego rysunku wielkiéj ilości kopij, było w ostatnich czasach przedmiotem wielu poszukiwań i patentowano wiele wynalazków, rozwiązujących w sposób mniéj lub więcéj dogodny to ważne, szczególniéj w handlowych stosunkach, zadanie. Chodziło przedewszystkiém o to, żeby usunąć zwykle dotąd używany sposób reprodukcyi za pomocą litografii, wymagający większych aparatów i wiele zachodu. Jednym z najsławniejszych wynalazków w tym kierunku jest elektryczne pióro Edisona, o którém „Kronika naukowa“ „Ateneum“ (r. 1879, t. I.) już wspominała. Aparat to bardzo prosty i doskonale funkcyonujący. Mała igiełka, którą się pisze, jest ołówkiem, bardzo szybki odbywa ruch w tył i naprzód, tak, że kiedy piszemy, to kréski tworzą się z szeregu dziurek bardzo blizko od siebie leżących. Jeśli przez takie pismo popatrzymy na światło, to ujrzymy je jako jasne i przejrzyste, na szarem tle papiéru. Z jednego takiego egzemplarza, można otrzymać

kilkaset, a nawet przy pewnych ostrożnościach przeszło tysiąc kopij, w sposób bardzo prosty. Papiér, na którym znajduje się przedziurawione pismo, kładzie się na czysty arkusz, i po wierzchu przeprowadza się wałek z tłustą i gęstą farbą. Farba przeciska się przez dziurki i odbija się na czystym arkuszu, a ponieważ dziurki są w bezpośredniéj bliskości jedne od drugiéj, więc kréski wychodzą ciągłe. Ruch igiełki, odbywający się przy pomocy małéj magneto-elektrycznéj maszynki, jest nadzwyczaj szybki. Pióro Edisona okazało się bardzo praktyczne, linie nawet w rysunkach wychodziły cienkie i ładne, lecz przyrząd sam był dość skomplikowany, więc i cena wysoką. W Paryżu aparat całkowity do średniego formatu kosztuje 200 fr.

Bardzo podobnym co do zasady, lecz różnym co do środków wykonywania kopij jest papyrograf Zucattiego. Na papiérze mocno klejonym pisze się atramentem chemicznym, do składu którego wchodzi głównie potaż gryzący. Atrament taki rozpuszcza kléj pod kréskami pisma. Po napisaniu zmywa się papiér wodą i w miejscach, gdzie było pismo, nie posiada on kleju i jest porowatym. Gdy się więc przeciągnie po nim farbą za pomocą wałka, to rzadka farba przeciska się w miejscach porowatych i odbija się na podłożonym czystym papiérze. Papyrograf po ostatniéj paryskiéj wystawie zjednał sobie dość znaczne upowszechnienie. Ma on wiele podobieństwa do pióra elektrycznego Edisona, gdyż i tu i tam pismo robi się przemakalném dla farby, tylko to, co tam osiągnięto drogą mechaniczną, tu się robi drogą chemiczną. Jednak pióro Edisona ma tę zaletę, iż daje kopie bez porównania czystsze i ładniejsze.

W najnowszym czasie pojawił się przyrząd, zwany ołówkiem woltaicznym, bardzo podobny do poprzedzających, różniący się tylko sposobem robienia dziurek w papiérze. To, co tam otrzymano kłuciem igły, lub drogą chemiczną, to w ołówku woltaicznym robi iskra elektryczna.

Wynalazcami tego ołówka są panowie Bellet i Hallez d'Arros. Działanie jego opiéra się na znanym fakcie fizycznym, że za pomocą nawet dość słabéj iskry elektrycznéj można przebić papiér na wylot. Iskra po swoim przebiegu zostawia w nim małą dziurkę. Otóż wyobraźmy sobie, że jakiéś źródło elektryczności daje nam szereg iskier bardzo szybko następujących, i że iskry te wyskakują z ołówka, który w ręku trzymamy, do tablicy metalowéj. Połóżmy na téj tablicy ćwiartkę papiéru i zacznijmy pisać owym ołówkiem. Wtedy iskry co chwila przebijać będą papiér i jeżeli wystarczająco szybko po sobie następują, to otrzymamy pismo na papiérze, złożone z szeregu dziurek bardzo blisko od siebie leżących, otrzymamy taką samę

kliszę, jaką daje pióro Edisona, i możemy jéj użyć do odbijania kopij.

O zrobieniu takiego przyrządu myślano już dawniéj, lecz przy wykonaniu nasuwały się niektóre trudności, które dopiéro teraz zostały usunięte. Do otrzymania szybko po sobie następujących iskier elektrycznych, używano tych, które daje cewka indukcyjna Ruhmkorffa. Lecz przy zwykłych cewkach iskry nie wyskakiwały dość szybko, i otrzymywano ciągle wkońcu ołówka iskry rozdwojone, lub zbaczające od wymaganego kierunku, szczególniéj w chwili gdy zbliżano ołówek do papiéru.

W skutek tego pismo wychodziło nieczyste i zamazane, oraz złożone z kropek dość od siebie odległych. Żeby téj ostatniéj niedogodności zaradzić, zamiast zwykłego młotkowego przerywacza w cewce Ruhmkorffa, zrobiono inny, dający daleko szybsze przerwy, a którego bliższy opis, w ciasnych ramach niniejszéj kroniki wdawać się nie możemy. Daléj osłabiono, przez rozszczepienie prądu, iskrę elektryczną tak, że zaledwie wystarcza ona do przebicia papiéru i nie daje odskoków na boki. Przekonano się także, że żeby otrzymać kréski zupełnie czyste, należy zmoczyć poprzednio papiér w soli i wysuszyć.

Zastosowania ołówka woltaicznego mogą być bardzo liczne i rozmaite. Oprócz zwykłego kopiowania, można przenosić rysunki na kamień litograficzny, albo téż na cynk i robić klisze, które mogą iść do druku. Czasopismo „Electricité“ podaje kilka rysunków w ten sposób odbitych, które są dość ładne, lecz mają jednę, uderzającą odrazu w oczy wadę. Kréski wszystkie są niedociągnięte do samego końca, lecz w miejscu, gdzie mają spotkać inną kréskę, jest mała przerwa. Pochodzi to ztąd, że pod ołówkiem papiér zostaje zupełnie przecięty, jeżeli więc narysujemy zamkniętą figurę, np. kółko, to kółko oddzielone od reszty papiéru odpadnie. Trzeba więc, ażeby przy rysowaniu lub pisaniu ołówkiem woltaicznym kréski nie przecinały się zbyt często.

Do zalet przyrządu należy, iż jest niewielkim, podręcznym i niełatwo ulegającym zepsuciu.

Profesor Zöllner i spirytyzm.

Wpadła mi niedawno w rękę rzecz p. Zöllnera, profesora uniwersytetu w Lipsku, traktująca o osławionych zjawiskach spirytyzmu; zkądinąd szanowny i znakomity profesor dał się obałamucić szarlata-

nowi i wydał sprawozdanie, które, będąc poparte poważném jego imieniem, tylko szkodę nauce wyrządzić może.

Od niejakiego czasu przejawiają się w kołach powag naukowych, pewne zboczenia umysłowe, nad któremi ubolewać można, gdy się pojawiają między ludźmi o mierném wykształceniu, lecz których tolerować się nie godzi, gdy się czepiają ludzi zajmujących wyższe naukowe stanowisko. Błędne przekonania szerzą się wtedy jak zaraza między szerokiemi kołami publiczności, osłonięte powagą stanowiska tak wysokiego w nauce, jakiém jest stanowisko profesora lipskiego uniwersytetu.

Już w kilku latach ubiegłych niektóre z głośnych i dobrze nauce zasłużonych imion w Anglii nie wahało się ogłosić gorącemi zwolennikami wywoływaczy duchów, pokazujących swe figle po tyle a tyle funtów za godzinę. Crookes odkrywca pierwiastku Tala, radiometru i warunków równowagi w stanie ultragazowym materyi, Varley słynny elektryk, Huggins astronom i kilku innych, obcują oddawna przy pomocy *mediów* z jakiemiś tworami fantazyi. Ogłaszają potém swe przywidzenia drukiem i fałszywéj nauce jednają coraz nowych zwolenników. I w innych krajach choroba się roszerzyła. W Szwajcaryi Perty, w Rosyi Butlerow słynny chemik, i inni. W Niemczech przyjmowała się ona dotąd z trudnością, z wyjątkiem kilku odosobnionych osób, mających nieco wyższe wykształcenie i orszaku tępych i niesamodzielnych a egzaltowanych umysłów, idących w ich ślady.

Dziś i tam zaczynają majaczyć na dobre, a z uniwersytetu lipskiego wyszło hasło, poparte na piérwszym planie Zöllnerem, a daléj grupą kilku innych profesorów. Zöllner wydał książkę o zjawiskach spirytycznych, w których opisuje swe doświadczenia z osławioném medium, noszącém nazwisko Slade'a, i daje nową teoryą pseudo-zjawisk tego rodzaju.

Zabawni muszą być ci profesorowie, siedzący przy pukających stolikach!

Osobistość Slade'a zasługuje na szczególniejszą uwagę. Pokazywał on dawniéj swoje figle w Anglii i to za dobre pieniądze. Przez długi czas robił dobry *business*. Nareszcie jakichś dwóch dziarskich doktorów, nie obawiających się zemsty istot pozagrobowych, położyło koniec całéj farsie. Slade pokazywał publicznie sztukę dość pospolitą, mianowicie pisało się na tabliczce pytanie, wstawiało ją na moment pod stół i po wyciągnięciu znajdowano odpowiedź już gotową, nakreśloną zawsze na zawołanie usłużną ręką duchów. Otóż, wspomnieni wyżéj doktorowie chwycili tabliczkę w chwili, gdy miała

być pod stół włożoną i odkryli już zręcznie przez kuglarza przygotowaną odpowiedź. Zrobił się skandal, sprawa poszła przed sądy i Slade został skazany, za zbrodnię oszustwa, na karę przepisaną ustawami; jednak adwokaci znaleźli jakąś nieformalność w prowadzeniu sprawy i medium miało dość czasu uciec po za granice Anglii.

Rozpoczęła się wtedy wędrówka po stałym lądzie. Slade'a wypędzano zewsząd, jakby był rzeczywistym prorokiem. Podczas swéj niemieckiéj wyprawy, poznał się z Zöllnerem i potrafił go zjednać dla swojéj sprawy. Fatalne tabliczki samopiszące zostały usunięte na drugi plan i zaczęto się zajmować zawiązywaniem i rozwiązywaniem cudownych węzełków na sznurkach. Przed posiedzeniem pan profesor brał zwykły sznurek konopiany, kilka stóp długi, łączył oba końce i przyklejał lakiem z przyłożeniem własnéj pieczęci do stolika. Tak sam opisuje przygotowania do doświadczenia. Sam wybrałem jeden z przypieczętowanych sznurków i ażeby go ani na chwilę nie stracić z oka, przed usadzeniem się za stołem, zawiesiłem sznurek naokoło mojéj szyi, mając ciągle na oku pieczęć, łączącą oba końce.

Na pieczęci Slade położył swoję rękę i jeden z obecnych to samo uczynił. Obie ręce Slade'a były ciągle widoczne, a jednak, w biały dzień, przed oczyma kilku obecnych związały się węzły na sznurku i to węzły takie, które w zwykły sposób mogą być zrobione tylko wtedy, gdy przynajmniéj jeden koniec sznurka jest wolnym.

Fakt rzeczywiście dziwny i świadczy o wielkiéj zręczności Slade'a. Lecz zobaczmy jak go „objaśnia" szanowny profesor lipskiego uniwersytetu. Uprzytomnijmy sobie w tym celu sposób, w jaki zwykle węzły się zawiązują. Najprzód robi się na sznurku małą pętelkę, a potém przesuwa się przez nią wolny koniec sznurka. Otóż żeby módz zrobić węzeł, trzeba mieć jeden koniec wolny, a przy doświadczeniu ze Sladem takiego końca nie było, bo był on przypieczętowanym do stołu.

Zöllner powiada, że medium takie jak Slade, obdarzone jest zdolnością poruszania przedmiotów „w czwartym rozmiarze." Cóż to jest ten czwarty rozmiar? Linia prosta ma jeden rozmiar—długość; płaszczyzna ma dwa—długość i szerokość; przestrzeń ma trzy rozmiary, długość, szerekość i wysokość. W fantazyi naszéj przypuścić możemy, idąc daléj, czwarty jakiś, bliżéj nie dający się określić rozmiar. Zöllner powiada, iż istnieje on nawet rzeczywiście, jako taki. Co to ma być—nie wiemy.

My, ludzie, na powierzchni ziemi jesteśmy istotnie trzyrozmiarowemi i mamy pojęcie tylko o tém, co się w przestrzeni trzywymiarowéj dzieje. Lecz wyobraźmy sobie, że istnieją istoty dwuwymiarowe, których świat mieści się na jakiéjś płaszczyznie i przedstawmy także sobie, że owe istoty dwuwymiarowe, nie mające żadnego pojęcia o trzecim wymiarze, robią węzeł na sznurku. Taki węzeł dwuwymiarowy jest mniéj skomplikowanym. W płaszczyznie w któréj się ten niby światek porusza, dość jest obrócić jednę część sznurka o 36o stopni, zrobi się pętliczka i węzeł jest gotowy. Taki węzeł, my, istoty trzywymiarowe, rozwiązalibyśmy zwykłém podniesieniem części pętliczki do góry i odtrąceniem. Oba końce sznurka mogłyby być przytém, jak najdokładniéj przypieczętowane. A istoty dwuwymiarowe uczynićby tego nie mogły, bo nie mogą jednéj części pętlicy podnosić do góry, do trzeciego wymiaru, i jedynie wtedy rozwiążą węzeł, kiedy jeden koniec sznurka będzie wolnym. W takim razie mogą go w płaszczyźnie obrócić napowrót o 36o stopni.

Zöllner powiada więc, że my możemy to robić, czego nie mogą uczynić istoty dwuwymiarowe, również jak istoty posiadające własność poruszania się „w czwartym wymiarze“, w rodzaju Slade‘a, rozwiązują i zawiązują węzły w sposób, którego pojąć nie możemy. Jak dla owych dwuwymiarowych istot dziwném byłoby rozwiązanie opisanego wyżéj węzła, tak samo dla nas ma być dziwném to, co robią media spirytyczne.

Żeby to bliżéj wytłómaczyć, opiszemy jeszcze jeden przykład. Dajmy na to, że na płaszczyźnie, w któréj żyją istoty dwuwymiarowe, zakréśloném jest kółko. Istota dwuwymiarowa z takiego kółka wydostać się nie może, bo nie ma trzeciego wymiaru, gdy tymczasem my, podniósłszy nogę do trzeciego wymiaru, do góry, z łatwością wyjść możemy. Nas kółko nie zamyka, ale natomiast gdyby ktoś nakrył kloszem, tobyśmy żadną miarą z pod niego, bez usunięcia go na bok, wydostać się nie mogli, chyba żebyśmy, według pana profesora Zöllnera, podnieśli nogę..... do czwartego wymiaru!...

Czytelnik osądzi sam, ile w tych poglądach jest zdrowych zasad.

Gołoledź pod Paryżem.

Ubiegła zima należała na zachodzie do bardzo srogich i wielkie szkody zrządziła w mieście i życiu. Przytém było kilka meteorologicznych zjawisk zadziwiającéj natury, na które zwrócono szczególniejszą uwagę. Między innemi jedno z najwybitniejszych miejsc

zajmuje dziwna gołoledź w okolicach Paryża, która od 23 do 25 Stycznia była prawdziwą klęską dla lasów okolicznych. Szczególniéj piękny lasek Fontainebleau na tém ucierpiał. Olbrzymie drzewa waliły się, bez działania wiatru, pod jednym tylko ciężarem lodu, pokrywającego na znaczną grubość wszystkie gałązki.

Dzienniki i pisma ilustrowane były przepełnione opisami wypadków i rysunkami z dziwnego zjawiska. Słupy telegraficzne były powywracane ciężarem lodu nagromadzonego na drutach, i przez kilka dni komunikacya telegraficzna we Francyi była badzo nieregularną.

Według obliczeń, w samym lasku Fontainebleau zwalonych zostało 150.000 metrów sześciennych drzewa.

Fakt nadzwyczajny obudził szczególne zajęcie między uczonymi i zaczęto komentować w najrozmaitszy sposób zagadkowe zjawisko. Niedawno prof. Jamin ogłosił w Revue des deux Mondes wynik swoich spostrzeżeń i podał teoryą gołoledzi, o któréj pozwolimy sobie obszerniéj nieco pomówić, czerpiąc ze znakomitego artykułu sławnego profesora. Najprzód przypatrzmy się poprzedzającemu katastrofę stanowi atmosfery. Przez kilka tygodni spadały znaczne masy śniegu, oczyszczając po drodze powietrze ze wszystkich stałych części w niém zawieszonych. Wszystkie pyłki, zarodki organicznych istot itp. były przybite do ziemi, atmosfera stała się więc nadzwyczajnie czystą i przejrzystą. Według Jamina było to koniecznym warunkiem powstania gołoledzi.

Po takiém przygotowaniu nastąpił dzień 23 Stycznia. Termometr wskazywał 4 stopnie niżéj zera (C.), wiatru ani śladu i zaczął padać drobny deszczyk, uderzając o ziemię prawie pionowo. Nic go od drogi wyznaczonéj siłą ciężkości nie odchylało. Uderzającém jednak było to, że chociaż temperatura była niżéj zera, to jednak deszcz uderzał o ziemię w stanie zupełnie płynnym. Lecz za dotknięciem jakichkolwiek przedmiotów w téj chwili zmieniał się w lód. Trwało to tak przez dwa dni i wszystko w okolicy było pokryte warstwą lodu. Każda gałązka drzewa musiała mieć powłokę cylindryczną lodu, ważącą kilka a nawet kilkadziesiąt razy tyle, co ona sama. Druty telegraficzne zawinięte były w walcach lodowych mających 2 do 3 cali średnicy. Słupy telegraficzne musiały nieść ciężar, przewyższający ich własny z jakie piętnaście razy. Przytém nie było prawie śladu wiatru; cisza panowała zupełna, przerywana tylko trzaskiem łamiących się pod ciężarem lodu drzew. Dęby olbrzymie łamały się w połowie swojéj wysokości, a nawet i zwierzęta nie były oszczędzane, bo znajdowano ptaki, pokryte zupełnie lodem. Widocznie piérwsza warstwa uniemożebniła im ruchy, a daléj inne szybko zakryły

je naokoło. Jamin robi przypuszczenie, że szczątki zwierząt potrzeciorzędowych, znalezione w okolicy rzeki Leny, mogły być w ten sposób zachowane i przymocowane do wielkich mas lodowych.

Jamin podaje teoryą tego zjawiska, trafiającą do przekonania i opartą na znanych zjawiskach fizycznych. Pozwolimy sobie podać ją tutaj w streszczeniu.

W każdym podręczniku fizyki, znajdziemy opis doświadczenia, w rozdziale, w którym jest mowa o zamarznięciu wody. Przy pewnych ostrożnościach można wodę oziębić niżéj zera, nawet bardzo znacznie, a mimo to pozostaje ona w stanie płynnym. Przedewszystkiém potrzeba do tego nadzwyczajnego spokoju. Doprowadzono w ten sposób zniżenie temperatury do 20 stopni niżéj zera. Potrzeba wtedy tylko najmniejszego wstrząśnienia, a cała masa wody zamienia się odrazu w lód. Dotknięcie jakiémkolwiek ciałem stałém, wrzucenie kawałka lodu, choćby najdrobniejszego, wystarcza do takiéj raptownéj zamiany.

Jest to zjawisko, które według Jamina powtórzyło się przy wielkiéj gołoledzi w okolicach Paryża. Gołoledź może powstać w rozmaitych warunkach. Raz śnieg, pokrywający ziemię i przedmioty na niéj się znajdujące, może stopniéć chwilowo na swéj powierzchni i potém znowu zamarznąć. To znów gdy ziemia jest zimną, oziębioną przez długie mrozy a wiatry przynoszą cieplejsze deszcze, to woda spadając na zimne przedmioty marznie i pokrywa wszystko powłoką lodu. Lecz we wszystkich tych przypadkach, tworzy się tylko cienka skorupka, nie mająca żadnego porównania z grubszemi warstwami, które się pojawiły w Styczniu r. b. Jamin twierdzi, że deszcz padający był właśnie w takich warunkach, co i owa woda niezmarznięta a jednak posiadająca temperaturę niżéj zera. Zjawisko tego rodzaju już dawniéj było zauważone, szczególniéj przy mgłach, które w górach nieraz mają kilka lub kilkanaście stopni niżéj zera, a jednak kulki wody, z których się składają, nie marzną. Prawdopodobnie, podział wody na drobne kulki jest okolicznością, sprzyjającą opisanemu wyżéj zjawisku. Krople deszczu miały prawdopodobnie temperaturę niższą od zera; w skutek szczególnych warunków nie marzły, aż póki nie otrzymały silniejszego wstrząśnienia. Sam ruch jednostajny, spadanie z góry na dół, nie był przeszkodą. Przytém powietrze było spokojne, czyste i wolne od wszelkich stałych cząstek, zwykle w niém zawieszonych.

Wszystkie więc warunki sprzyjające zbiegły się, żeby na wielką skalę powtórzyć zjawisko, dostrzeżone w gabinetach fizycznych.

Deszcz mógł spadać spokojnie, nie napotykając nigdzie na drodze ciał stałych z któremiby się zetknął.

Dopiéro w chwili, gdy uderzył o powierzchnię ziemi, zamieniał się natychmiastowo w lód, a ponieważ te same warunki trwały przez dni parę, więc warstwa lodowa doszła do niesłychanéj grubości i spowodowała opisane wyżéj katastrofy.

Że zjawisko tego rodzaju jest bardzo rzadkiém, nic w tém dziwnego, bo rzeczywiście trzeba szczególnego zbiegu okoliczności, żeby wszystkie warunki jednocześnie się znalazły i żeby przedtém przez dłuższe śniegi były przygotowane.

Bruno Abakanowicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przed kilkoma miesiącami „Gazeta Policyjna“ ogłosiła sprawozdanie o ruchu ludności miasta Warszawy za rok 1878, którego streszczeniem zaczniemy niniejszą kronikę. Za dokładność cyfr nie ręczymy; sami nawet sprawozdawcy ręczyć za takowe nie mogą, nasza bowiem statystyka znajduje się w kolebce. Przypuszczamy jednak, że i przybliżone grupy liczb, odnoszących się do rozwoju największego miasta polskiego, powinnyby dla ogółu przedstawiać pewien interes.

Na początku streszczenia tego musimy zrobić zarzut sprawozdawcom, że z niezrozumiałych powodów obok mnóstwa liczb stosunkowych nie umieścili cyfr przedstawiających zarówno ogólną sumę ludności miasta, jak i liczbę obywateli różnych wyznań. Nie wymieniono téż liczby kobiét i mężczyzn.

Piérwsze grupy cyfr można jeszcze było wyrachować z liczb stosunkowych, do wyliczenia jednak ostatniéj grupy zabrakło nam materyału tak dalece, że gdyby nie ostrzegało nas świadectwo własnych zmysłów, to gotowibyśmy ze sprawozdania „Gaz. Polic.“ przypuszczać, iż w Warszawie rodzą się wprawdzie chłopcy i dziewczęta, umiérają kobiéty i mężczyźni, ale żyją, tylko istoty rodzaju nijakiego.

Otóż takich istot, płci nie dającéj się określić, egzystowało w Warszawie w r. 1878, w liczbie okrągłéj 315.000, nie licząc wojska i przejezdnych. W r. 1872 (statystka Załęskiego str. 343) było ich 276.000; w ciągu sześciu zatém lat przybyło 39.000, czyli 12,4%. Tym sposobem miastu przybywa rocznie 2%, ludności i gdyby tak daléj poszło, wówczas po 35 latach ludność Warszawy podwoiłaby się.

Dzieląc dzisiejszych mieszkańców według wyznań, znowu na podstawie owych liczb stosunkowych, będziemy mieli w cyfrach okrągłych:

Katolików	185.700
Starozakonnych	103.600
Protestantów	16.900
Prawosławnych	8.700
Razem	314.900

Trzy najważniejsze zjawiska wpływające na ruch ludności, a mianowicie: małżeństwa, narodziny i śmierć przedstawimy poniżéj w cyfrach stosunkowych, odniesionych do tysiąca mieszkańców. Dla porównania zaś postawimy obok nich liczby podobne, określające ilość małżeństw, narodzin i śmierci: w Warszawie w r. 1872, w całym kraju między latami 1827 i 1873 tudzież średnie z całéj Europy:

	Warszawa.		Król. Pols.	Europa.
	1878	1872	1827—1873	
Małżeństwa	8,36%	8,9	9,5	7,7%
Urodzenia	36,05%	47,3	45,9	34,5%
Smierć	41,69%	45,3	31,5	29,6%.

Rubryka piérwsza (Warszawa w r. 1878) potrzebuje małego wyjaśnienia. Sprawozdawcy ruchu ludności z cyfry urodzeń i śmierci wyłączyli podrzutków, których jakoby większa część pochodzi z za miasta. Zrobili słusznie czy niesłusznie, oto mniejsza, w każdym jednak razie reforma ta zmienia wielkość cyfr o których mowa. I tak:

		Różnica:
Urodzonych bez podrzutków	36,05%	8,35%
„ z podrzutkami	44,40%	
Zmarli bez podrzutków	41,69%	5,61%
„ z podrzutkami	47,30%	
Dzieci nieprawe stanowią bez podrzutków wśród ogółu nowonarodzonych	11%	7%
Dzieci z podrzutkami	18%	

Z przykładu tego widzimy jak śliską rzeczą są rozumowania, oparte na cyfrach statystycznych. Mała zmiana punktu z jakiego patrzy się na ruch ludności sprawiła to, że Warszawa stała się mniéj płodną, mniéj śmiertelną i o 8% moralniejszą.

Porównywając cztery poprzednie grupy cyfr z uwzględnieniem dopiéro co przytoczonéj poprawki, któréj w latach poprzednich nie było (podrzutków bowiem wliczono do ogółu urodzonych i zmarłych), wnosimy: że ilość małżeństw w Warszawie jest wprawdzie większa stosunkowo niż średnia w Europie, ale zarazem jest niższa od średniéj w Królestwie Polskiém. Prócz tego skłonność do zawiérania mał-

żeństw zmniejsza się z biegiem czasu, co stanowi zjawisko powszechne.

Że cyfra narodzin, nawet przyjmując 44,4%, wyższa jest wprawdzie od średniéj europejskiéj, ale niższa od średniéj w Król. Pols. a nawet od cyfry stosunkowéj z r. 1872.

Że śmiertelność Warszawy o 10% do 16% przechodzi śmiertelność w całym kraju, a témbardziéj średnią europejską, co dowodzi zresztą staréj prawdy, iż Warszawa należy do najniezdrowszych punktów Europy. Gdy zaś do cyfry zmarłych dołączymy podrzutków (jak to robiono w latach poprzednich), wówczas okaże się, że śmiertelność z r. 1878 należy do największych jakie miały miejsce od r. 1873, chociaż żadnéj groźniejszéj epidemii nie było.

Uporządkujemy teraz cyfry wedle wyznań.

	Wśród ogółu mieszkańców.	W zawartych małżeństwach.	W urodzeniach.	Między zmarłymi.
Katolicy stanowią	59%	73,35%	62,12%	64,13%
Starozakonni . .	33%	13,10%	27,34%	24,82%
Protestanci . .	5%	8,69%	6,68%	6,83%
Prawosławni . .	3%	4,86%	3,86%	4,22%

Albo inaczéj:

	Na 1.000 osób żyjących było: nowonarodzonych,	zmarłych.	Przewyżka zmarłych.
Katolików	38,16	45,44	7,28
Starozakonnych . . .	29,97	31,46	1,49
Protestantów	44,90	53,06	8,16
Prawosławnych . . .	49,08	62,05	12,97
Średnio bez podrzutków	40,05	48	8%.

Pominąwszy niezgodność ostatniéj cyfry średniéj z poprzedniemi, wypada w każdym razie, że w Warszawie w r. 1878 przeszło o 5 osób na 1.000 więcéj umiérało aniżeli rodziło się. Przyrost więc ludności, jaki widzimy, nie jest naturalny, ale jest skutkiem napływu z zewnątrz. Gdyby rzeczy poszły daléj w tym kierunku, wówczas po upływie pewnéj liczby lat dzisiejsze rody warszawskie wygasłyby, a ich miejsce zajęły nowe żywioły.

Jeżeli pochopność do zawiérania małżeństw i ilość urodzeń stanowi cechę dobrobytu, wówczas najlepiéj mieliby się w Warszawie: katolicy, protestanci i prawosławni, każde bowiem z wyznań owych daje większy procent nowożeńców i noworodków, aniżeli ten, jaki stanowi wśród ogółu ludności. Żydzi natomiast stosunkowo dziwnie rzadko żenią się i rodzą, co świadczyć się zdaje o wielkiéj biédzie między nimi. Natomiast jednak jeżeli Warszawa jest potworem, który więcéj pożera niż rodzi, pewnym rodzajem straconéj placówki,

to już wyznać trzeba, że na stanowisku tém, żydom najlepiéj się powodzi. Między prawosławnymi prawie o 13 na tysiąc umiéra więcéj niż się rodzi, między protestantami 8%, między katolikami 7%, a między starozakonnymi ledwie 1,5%. Im zabójcze sanitarne warunki Warszawy najmniéj szkodzą!

W końcu objaśnienie strasznéj śmiertelności Warszawy. Oto ze 100 zmarłych 62% stanowią dzieci do lat 5 prawe i nieprawe, pozostałą zaś resztę 38 stanowią indywidua od 5 do 100 (!) lat życia. To jedna strona kwestyi, drugą zaś stanowi rodzaj chorób. Między zmarłymi najwięcéj pada ofiarą: cierpień płucnych (27% ogółu zmarłych) i kataru kiszek (19% ogółu zmarłych). Złe powietrze, zła woda i zła opieka nad dziećmi niszczą organizm miasta!

Ponieważ mówimy o fizycznych słabościach grasujących w Warszawie, nie od rzeczy więc będzie wspomnieć o pewnéj chorobie moralnéj, która szkodzi interesom całego kraju, a imię jéj: lenistwo, czy też obojętność dla spraw publicznych. Najświeższy objaw słabości téj odkrył „Wiek“ przy poszukiwaniu Komitetu Przemysłowego, który prawnie istnieje, ma swoję ustawę, zużywa rocznie 2.000 rs. na utrzymanie sekretarza i 1.500 rs. na kancelaryą, i nie wiadomo co robi. Dodać winniśmy, że urzędy członków komitetu są honorowe, a zajmują je fabrykanci warszawscy i prowincyonalni.

Potrzeby naszego przemysłu są niezliczone, tworzy się on bowiem i wegetuje w bardzo trudnych warunkach. Ukształcenie ogólne i fachowe rzemieślników jest zaniedbane, odpowiednich szkół prawie nie ma i nie ma téż organu, któryby się o takowe starał u rządu. Nie ma także instytucyi, któraby dbała o poprawę bytu rzemieślników i zabezpieczenie ich przyszłości. Nikt w końcu nie udziela ogółowi wskazówek co do tego: jakie gałęzie przemysłu stworzyćby należało, a które są już u nas przeludnione i nie opłacają się?

Skutkiem tego ludzie nasi wybiérają rzemiosła, terminują w nich, tworzą nowe przedsiębierstwa, wszystko na oślep. Wiele indywiduów trwoni czas i piéniądze napróżno, a tymczasem sprowadza się z zagranicy mnóstwo rzeczy takich, które przy nadaniu przemysłowi jakiegoś kierunku, w kraju wyrabiaćby można.

Otóż od początku utworzenia się aż do dni naszych, ów komitet rękodzielniczy czy przemysłowy nie dotknął ani jednéj z tych kwestyj. Nie zajmował się ani szkołami dla dzieci, ani odczytami dla dorosłych, ani kasami przezorności, ani szczepieniem nowych gałęzi przemysłu w kraju, ani nawet statystyką przemysłową.

Powody takiéj bezczynności są dwojakie, najważniejszym zaś— apatya czy niewiadomość ludzi składających komitet. Zarzut podobny jest raczéj za słaby niż za silny w obec znalezienia się komitetu

w sprawie zapisu Konarskiego. Zmarły zostawił pod zawiadywanie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego sumę, która obecnie wzrosła do 15o.ooo rs. i którą postanowiono obrócić na założenie: wzorowych warsztatów rzemieślniczych. Otóż wezwany o wydanie opinii komitet przemysłowy zgodził się na warsztaty, ale radził je założyć w Chełmie.

Ponieważ Chełm nigdy nie był żadném ogniskiem przemysłowém i leży w bardzo oddalonym zakątku kraju, gdzie tylko bogacze na naukę rzemiosł zjeżdżaćby się mogli, opinią więc podobną uważać musimy wprost za objaw złéj woli. Jeżeli zaś tego rodzaju nastrój duchowy panuje w komitecie przemysłowym, to wielkiém jest dla kraju szczęściem jego ustawa, która działalność tego ciała zamyka, nie powiemy, w szczupłych, ale w niezdecydowanych granicach.

„Wiek," gromiąc komitet, o tyle ma słuszność, o ile zarzuca mu brak inicyatywy i skandaliczne znalezienie się w sprawie wzorowych warsztatów. O tyle jednak nie ma słuszności, o ile powołuje się na paragrafy, które żadnych właściwie prerogatyw komitetowi nie nadają. Dla próby przytoczymy parę przykładów:

„Komitety rękodzielnicze, mając na uwadze wchodzące w zakres ich działania interesa(?), popiérają takowe w miarę swéj możności."

„Komitety rękodzielnicze zajmują się zbiéraniem *najbardziéj* szczegółowych wiadomości o rękodzielniach i fabrykach w tych guberniach, w których są ustanowione. Dostarczanie tych wiadomości pozostawia się *dobréj woli* (!) właścicieli zakładów przemysłowych."

„Przedmiotem decyzyi komitetów mają być następujące czynności:

a) przyjmowanie otrzymywanych odezw do wiadomości (!), dla dołączenia do akt, lub téż dla wykonania;

b) żądanie różnych (?) wiadomości;

c) odpowiedzi na różne (?) zapytania;

d) przedstawienia do Rady Rękodzielniczéj."

Lepiéj było zatém paragrafów takich nie cytować, lecz powiedziéć wprost, że przemysłowcy Królestwa mieli możność odbywać publiczne i legalne narady, mieli możność robić przedstawienia do władz, ale nie korzystali z tego. Ponieważ zaś nie korzystali i nie korzystają z tego, ponieważ komitet żadnych społeczeństwu usług nie oddał i nie oddaje, zachodzi więc kwestya: za co skarb płaci rocznie 3.5oo rs. na sekretarza i kancelaryą instytucyi nie funkcyonującéj?

Spodziéwać się wypada, że na ten przedmiot zwróci swą uwagę władza wyższa, zwłaszcza obecnie, gdy państwo potrzebuje robić oszczędności. I dla kraju i dla skarbu byłoby pożyteczniéj zamknąć

ów *quasi* komitet, a natomiast zatwierdzić ustawę prywatnego przemysłowo-rękodzielniczego stowarzyszenia, któreby miało prawo robić przedstawienia do ministeryum, a sekretarzy i kancelaryą z własnych utrzymywałoby funduszów. Ci, którzyby sami weszli do stowarzyszenia, z pewnością robiliby więcéj, niż dzisiejsi mianowani członkowie.

Tymczasem i bez udziału komitetu na polu przemysłowém budzi się ruch i potęguje. Z inicyatywy p. Blocha zgromadzenie kupców warszawskich zgodziło się podobno na założenie biura statystycznego, które (jak słyszeliśmy) czynności swoje ma już w tych dniach rozpocząć. Co zaś ważniejsza, rozeszły się w prasie pogłoski, jakoby z początkiem przyszłego roku szkolnego miała być otwartą *szkoła techniczna* w Warszawie, urządzona na wzór podobnego zakładu istniejącego w Moskwie. Szkoła taka (jeżeli sprawdzi się wieść) byłaby prawdziwém dobrodziejstwem dla kraju, gdyby katedry zostały stosownie obsadzone. Profesorów nawet nie należałoby szukać zbyt daleko; kraj nasz bowiem posiada wcale pokaźną liczbę: matematyków, fizyków, chemików i techników, głośnych w literaturze naukowéj, którzy szkole oddaćby mogli nieocenione usługi. Byle ich tylko wezwano!

Godzi się także wspomnieć o fakcie dotyczącym dobrobytu klas rzemieślniczych. Przed kilkoma dniami p. Oberpolicmajster w porozumieniu z p. Prezydentem miasta zorganizował komisyą do zrewidowania mieszkań zajmowanych przez klasy uboższe. Lokale te, jak czytamy w okólniku, tworzą się z piwnic, suteren, wozowni, komórek a nawet kloak, i naturalnie przyczyniają się do wywołania chorób, tudzież zwiększenia śmiertelności, nie mówiąc już o niewygodach. Otóż komisya ma o wszystkich podobnych pomieszczeniach złożyć raporty, po czém lokale do użytku niezdatne zostaną zamknięte.

W ogóle administracya dzisiejszego p. Oberpolicmajstra nacechowana jest ruchliwością i istotną dbałością o dobro miasta, czego świeży dowód stanowi wymieniona komisya rewizyjna. Że p. Policmajster wziął się na seryo do nor warszawskich i że je szczerze pragnie zreformować, świadczy o tém okoliczność, iż do komisyi rewizyjnéj wezwał obywateli, a mianowicie sześciu starszych rozmaitych zgromadzeń rzemieślniczych. Prócz tego do składu komitetu należą lekarze, budowniczowie i dwaj inżynierowie, wszyscy pod przewodnictwem radcy kolegialnego Benzemana. Jest więc rękojmia, że komisyi ani energii, ani znajomości przedmiotu, ani dobréj woli, nie zabraknie.

Bardzo często w rozmowach prywatnych słyszéć a niekiedy i w pismach czytać można utyskiwania na nowe pokolenie rzemieślników, osobliwie na czeladź. Dziwna rzecz! gdy w zachodniéj Europie robotnik narzeka na jarzmo majstra, u nas majstrowie płaczą na krzywdy, wyrządzane im przez robotników.

Mnóstwo obstalunków a mała liczba ludzi obeznanych z rzemiosłami, sprawiły to, że majstrowie zależą od czeladzi, muszą im płacić dobrze, dawać wysokie zaliczki a nadto prosić, aby przyjmowali robotę. Jest to więc dla czeladzi położenie bardzo dogodne, na nieszczęście jednak ludzie ci korzystać z niego nie umieją. Łatwy zarobek nie wpływa na istotne polepszenie ich bytu, ale zachęca do próżniactwa, knajpowania i rozpusty; zaliczki zaś przyczyniają się tylko do demoralizacyi: wielu bowiem czeladników, wziąwszy z góry piéniądze, nie tylko że roboty na czas nie oddaje, ale i piéniędzy pożyczonych nie zwracają.

Krótko mówiąc, dzisiejszy ruch przemysłowy zamiast na dobre, na złe w wielu wypadkach wychodzi i majstrom i czeladzi, zaognia między nimi stosunki i psuje ludzi.

Taki stan rzeczy mieści w sobie gorzką, ale i głęboką naukę: odbija się bowiem na tych, którzy go pośrednio lub bezpośrednio wywołali czy nie zapobiegli mu, a więc na majstrach i społeczeństwie. Fakta bowiem takie, jak nierzetelność, nieprzezorność, lenistwo, brak rąk do pracy, rozpusta itd. są owocami bardzo dawnych posiewów.

I tak: żalą się majstrowie na zepsucie czeladzi, ale wszakże to oni sami ją wychowali. Niech teraz przypomną sobie: czy wszczepiali w swoich terminatorów zasady uczciwości, czy posyłali ich do szkoły, czy nie wyzyskiwali ich, czy nie uczyli próżniactwa, odrywając ich od warsztatu do posług domowych? Skarżą się na brak rąk do pracy, a wszakże w ich mocy było przygotować sobie światłą czeladź, przyjmując młodzieńców ukształceńszych do nauki rzemiosła. Oni jednak tego rodzaju jednostkom kazali sobie grubo płacić za naukę!

Społeczeństwo także cierpi na tém niemało, a o przyszłość jeszcze więcéj się trwoży, spoglądając na zastępy młodych rzemieślników, wśród których temperatura moralno-religijna osłabła, rozumu nie ma wiele, a łatwowierność właściwa umysłom niewykształconym może być dostępną szerzeniu się przewrotnych zasad. Cóż jednak zrobiono dla podniesienia moralnego i umysłowego poziomu klas pracujących i czy dzisiejsze skutki nie pochodzą od przyczyn, na które rozsądek publiczny oddawna zwracał uwagę?

Smutne doświadczenia dni dzisiejszych zapisaćby sobie powinni majstrowie, rodzice, fabrykanci i wszelkiego rodzaju zwierzchnicy. W społeczeństwie jak i w naturze nie ma przyczyn bez skutków, nie należy więc nigdy pozwalać na gromadzenie się złego, ale przeciwnie, wszelkiemi siłami siać dobre. A czy się u nas tak robi?

Demoralizacya między rzemieślnikami uczy nas innéj jeszcze prawdy, téj mianowicie, że dla ludzi ukształcenie fachowe niewiele znaczy bez ukształcenia umysłowego i moralnego. Cóż ztąd, że dzisiejszy szewc lepiéj i ładniéj szyje kamasze aniżeli dawny, jeżeli jednocześnie jest oszustem hulaką i w ogóle ograniczonym obywatelem, niezdolnym do krytycznego zastanowienia się nad błędnemi teoryami, które szerzą się wśród klas roboczych na Zachodzie i do kraju naszego coraz bardziéj zbliżają.

Należałoby szczerze wziąć się do poprawienia naszych zastępów rzemieślniczych, już to kształcąc dzieci, już to uzupełniając edukacyą starszych. Tym ostatnim bardzo przydałyby się odczyty systematyczne, nie tylko z zakresu rzemiosł i nauk przyrodniczych, ale także z dziedziny ekonomii, etyki i estetyki.

Te ostatnie mogą pomyślnie wpłynąć na złagodzenie dzikich popędów, jakie się coraz silniéj wśród klas pracujących przejawiają. Miejmy nadzieję, że znajdzie się grono ludzi dobréj woli, które sprawę tę podniesie, i że władze ze swéj strony poparcia mu nie odmówią.

Jak w latach zeszłych tak i w roku bieżącym nawiedzają kraj nasz większe pożary, których ofiarami padły osada Mstów i miasteczko Opole.

Kilka większych klęsk tego rodzaju w Cesarstwie zwróciło uwagę władz, skutkiem czego p. minister spraw wewnętrznych wydał do podwładnych mu organów okólnik. Dokument ten zaleca trzymanie w porządku narzędzi ogniowych, straże nocne i dozór nad włóczęgami. Kończy się zaś wzmianką, że często powtarzające się wypadki ognia w jednéj i téj saméj miejscowości, uważane będą za dowód lekceważenia obowiązków przez naczelników policyi i pociągnie za sobą odpowiedzialność ich osobistą.

Nie ulega kwestyi, że zwiększona baczność ze strony policyi w pewnéj cząstce może wpłynąć na zmniejszenie się klęski pożarów; wszelako i największa jéj gorliwość stanowczo zapobiedz złemu nie zdoła. Pominąwszy nieostrożność lub złą wolę, prawdziwie ważnemi przyczynami pożarów wielkich są: najprzód, drewniane budowle, powtóre ciasne ustawienie ich obok siebie, potrzecie, brak wszelkiego rozsądnego ratunku, któryby pożar mógł ograniczyć.

Trudno dziś myśléć o zmianie systemu budowania się naszych wsi, osad i miasteczek, chociaż na nowo wznoszone domy należałoby zwracać uwagę i przynajmniéj ustawiać je w pewnéj odległości od dawnych. Ta więc przyczyna, jak obecnie, usunąć się nie da. Natomiast jednak możnaby wziąć się do zorganizowania sił zdolnych do zwalczania pożarów w małych miasteczkach.

Przedewszystkiém więc należałoby zrewidować studnie, przyczém przekonanoby się, że zaledwie setna miejscowość kraju posiada dostateczny zapas wody na wypadek ognia. Daléj godziłoby się zwrócić uwagę na zupełny brak, lub straszliwie zaniedbany stan sikawek, beczek, bosaków itd. w miejscowościach, gdzie narzędzia te, wedle raportów, znajdują się w stanie pożądanym. Nareszcie należałoby obeznać ludność miejscową ze sposobami ograniczania pożarów, o czém ani mieszkańcy, ani ich przewodnicy wyobrażenia nie mają.

Dla osiągnięcia jednak tych celów wypada odwołać się do udziału publiczności. Publiczność nie tylko dostarczy ludzi do niezbędnych straży ochotniczych i funduszu na ich utrzymanie, ale nadto ona rozciągać może najtroskliwszy nadzór nad narzędziami ratunkowemi i wodą. Policya zaś jest przeciążona pracą i choćby najszczersze chęci miała nie zapobiegnie szerzeniu się pożaru, gdy takowy raz wybuchnie. Przytém, nie znając się na sztuce gaszenia ognia i przedmiotach z nią związanych, w ogóle dość obojętnie patrzy ona na ruinę narzędzi ogniowych.

Bezpieczeństwo mienia obchodzi przedewszystkiém ogół; jeżeli więc on czegoś w téj sprawie nie zrobi, to już go chyba nikt nie zastąpi.

Szkoły wiejskie ciągle niewesoły przedstawiają obraz. Wybornie charakteryzuje te instyntucye korespondencya z Pułtuskiego. W pewnéj gminie, która płaciła 240 rs. nauczycielowi rocznie, przesunęło się w ciągu kilku lat aż trzech pedagogów, tak namiętnie pijących, że w skutek zażaleń mieszkańców władza usuwać ich po kolei musiała. Po tylu niefortunnych próbach wizytator zaproponował nareszcie gminie, aby wybrała dla szkółki nadzorcę, któregoby obowiązkiem było: pilnować jak postępuje, w jaki sposób i czego uczy nauczyciel i jakie są potrzeby szkoły?

Przy piérwszéj wizycie nadzorca był świadkiem egzaminu, nadzwyczaj oryginalnego, gdyż odbywał się na komendę. „Raz, dwa, try: wyjmi dosoczki (Uczniowie dobywają tablice). „Raz, dwa, try: umnoży 128 na 15!“ Naturalnie, żadne z dzieci nie wykonało zadania, ponieważ nie uczono ich tabliczki mnożenia.

Potém znowu na komendę, odśpiéwano piosenkę rosyjską i na niéj skończył się egzamin.

W skutek gorliwego zajęcia się nadzorcy szkołą, zmienił się ten niesłychany system uczenia, a i sam nauczyciel oprzytomniał podobno i dziś nadaje się do swoich obowiązków. Iluż to jednak jest nauczycieli kształcących wedle powyższéj metody młode pokolenie i ilu szkołom brakuje nadzorców, którzy na podobne herezye mogliby zwrócić uwagę!

Bolesna kwestya szkółek posiada jeszcze inną stronę. Nie tylko ogół skarży się na nauczycieli, ale i oni mają też coś do powiedzenia. Ich byt materyalny jest nędzny. W wielu miejscowościach budynki szkolne są stare, ciasne i zimne. Płaca nauczycieli jest niewielka, a i wydobyć ją z gminy nie łatwo. Trafia się także, iż wychowawca nie ma co jeść, choć ukończył seminarium pedagogiczne.

To téż nauczyciele gorzko żalą się na inteligencyą wiejską, która nie dba o nich; poznawszy z własnego doświadczenia braki szkoły upominają się oni:

O lepszą pensyą, którąby na posady te przyciągała ukształconą młodzież.

O wygodniejsze lokale dla szkółek. O zaopatrzenie szkółek w środki pomocnicze do nauczania za pomocą metody poglądowéj.

Uznajemy słuszność żądań nauczycieli, odczuwany ich niedolę, ale zdaje nam się, że sami nauczyciele nie dość jasno zdają sobie sprawę z przyczyn smutnego swego położenia. Jeżeli uposażenie szkoły jest zbyt szczupłe, to skuteczna na to rada znalazłaby się niewątpliwie w ofiarności tych zamożniejszych jednostek, którym oświata ludu wcale nie jest obojętną.

W końcu musimy zwrócić uwagę na interesujący artykuł p. B. Danielewicza, pomieszczony w *Ekonomiście* p. t. „Loterya czy oszczędność?“

Gra w loteryą stanowi dziś wśród mniéj zamożnych taką epidemią, jak handel domami wśród bogatych, bardzo więc w porę p. Danielewicz sprawie téj poświęcił swoję pracę.

Oryginalną cechę artykułu stanowi to, że autor nie piorunuje przeciw loteryi, ale, oparłszy się na rachunku prawdopodobieństwa, oblicza zyski jakie gra przynosi. Bierze on za przykład człowieka, który od 20-go roku do końca życia, t. j. przez 39 lat trzyma jeden i ten sam numer i wykazuje:

Że w tym czasie człowiek ów wygrać może 4 razy po 30 rs. 4 razy po 45 rs., 20 razy po 80 rs., raz 100 rs. na cały los, czyli ogółem wygra 38 razy sumy bardzo niewielkie.

Że większe wygrane są mało prawdopodobne, i tak: na 500 rs. czekaćby należało 2.350 lat, na 5.000 rs. 5.875 lat, a na 75.000 rs. na które każdy się ogląda 11.750 lat!

Że ogólna prawdopodobna suma wygranych w ciągu życia wynosi na ½ losu zaledwie 582 rs. 25 kop.

Gdyby ów człowiek każdą wygraną odnosił do kasy oszczędności, wówczas przy schyłku życia miałby 1.349 rs. 80 kop. Gdyby zaś nie grając składał stawki miesięczne, tworzące, po odtrąceniu biletów gratysowych, 28 rs. 7 kop. rocznie, wówczas uzbiérałby 2.537 rs. 77 kop. Oszczędność więc jest lepszym a nadewszystko pewniejszym interesem, aniżeli wygrane na loteryi losy. Tak mówi rachunek prawdopodobieństwa, który dla jednostek daje rezultaty niepewne, ale odnośnie do całéj masy grających jest najzupełniéj prawdziwy.

Między przyczynami, które wpłynęły na rozwój szału loteryjnego, p. Danielewicz wymienia nader charakterystyczną. Oto, podczas gdy na każdéj ulicy znajduje się po parę kantorów loteryi, kasa oszczędności jest tylko jedna w Warszawie, a przyjmuje wkłady zaledwie dwa razy na tydzień!

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**